



BRAŁ ŁAPÓWKI ZA ŚMIECI I OFEROWAŁ PRACĘ ZA SEKS!

Bohater afery śmieciowej w Bogatyni został nagrodzony posadą w PGE

100 największych afier

które wstrząsnęły Polską

Miał być interwencyjny skup jabłek, a był przekręt na grubą kasę



Jak minister z Eskimosem przewalili

100 milionów

Anna Paluch

z PiS płaci za mieszkanie ledwie

116,43 zł

czynszu, a zarabia krocie!

Posłanka zajmuje mieszkanie komunalne, choć biedne rodziny czekają



Stanisław Karczewski

łamał przepisy, by zarabiać setki tysięcy złotych

A lekarzom i nauczycielom kazał pracować dla idei!



FIRMY POWIĄZANE Z PiS OSZUKAŁY ROLNIKÓW NA ZBOŻU!

Przez błędy rządu ukraińskie zboże zostało w Polsce zamiast płynąć do Afryki

Spis treści

Wstęp

Jak minister z Eskimosem przewalili 100 milionów

Fanaberia ministra Gróbarczyka za setki milionów złotych

PiS ośmieszył wizerunek polskich policjantów

Tak olsztyński polityk PiS potraktował stanowisko w OHP

Wstrzymali wydobycie dla zaręczyn asystenta Kaczyńskiego

Przez błędy rządu ukraińskie zboże zostało w Polsce zamiast płynąć do Afryki

Kukiz bierze miliony z budżetu. Tyle zostało mu z ideałów

Z chrustem żartował, ale z drewnem nie jest do śmiechu

Opieszalność, która kosztowała nas setki milionów

Uważa, że Polacy wzbogacili się na pandemii

Działacze PiS finansowali kampanię wyborczą ze środków PCK

Wańka-wstańka z serca układu wrocławskiego

Poseł, który kręcił biznes na cierpieniu dzieci

Senator PiS uznał, że kto miał pozwolenie na broń, ten musiał być ubekiem

Tak poseł Andruszkiewicz dorabia do niemałych apanaży polityka

Kaczyński załatwił Danielowi Obajtkowi nietykalność

Bohater afery śmieciowej w Bogatyni został nagrodzony posesją w PGE

Przemysław Czarnecki nie mógł znaleźć miejsca w życiu, więc trafił do Sejmu

Posłowi Cieślakowi spod Kielc władza szybko uderzyła do głowy

Jak syn lodziarza został głównym kadrowym ostrołęckiej elektrowni

Premier wini Błaszczaka, ten generałów, a nasze bezpieczeństwo mają w nosie!

Zadziwiająca historia tzw. prezes Trybunału Konstytucyjnego

Odlot marszałka, czyli jak Kuchciński latał do domu za nasze

Ma wyrok na karku, ale promuje ją premier
Stowarzyszenie Kobiety Karpat założyła była posłanka PiS Krystyna Wróblewska
Rafał Bochenek dobrze wyszedł na „dobrej zmianie”
Każe rodzicom skazanym na życie z renty socjalnej przeżyć za 1600 złotych!
Zamieniła elektrownię w Belchatowie we własny folwark
Dziwne przypadki wiceministra rolnictwa Norberta Kaczmarczyka
Wiele branż w pandemii dałoby wszystko, by mieć w rządzie swojego człowieka
Zgarniał kasę z resortu kultury i Grupy Azoty, potem z PZU, a teraz z PKN Orlen
Waldemar Buda jest ministrem rozwoju... majątków swoich znajomych
Mąż Elżbiety Witek ponad 2 lata zajmował łóżko na OIOM, wbrew przepisom
Jak Krzysztof Jurgiel zniszczył dumę Polski, czyli stadniny z Janowa i Michałowa
Żona sekretarza generalnego PiS zarobiła kokosy w państwowych spółkach
Policjanci pilnowali mu domu i rzucali na niego konfetti
Tak poseł od Ziobry ciągnie kasę z Sejmu
To jest dopiero kariera! Z podstawówki do zarządu strategicznej spółki!
Prorosyjscy doradcy i tajemnice państwowe wysyłane prywatnym mejlem
Lech Kołakowski po „piątce dla zwierząt” zarzekał się, że nigdy już z PiS...
Piotr Gliński uważa, że ta transakcja to majstersztyk. A to ogromny skandal!
Ludzie Marcina Horały koszą miliony na łące zwanej CPK
Stanisław Karczewski łamał przepisy, by zarabiać setki tysięcy złotych
Chciał wyrzucić urzędnika, bo spóźnił się na samolot i hotel był za słaby
Jak PiS wspiera hierarchów w usprawiedliwianiu pedofilii
Głos Baszki w Sejmie warty miliony na LZS
Telefon wiceministra ważniejszy niż pomoc ludziom
Lekką ręką wydał dziesiątki milionów należących do podatników na fikcyjne wybory
Mimo kłamstw, Leonard Krasulski wciąż cieszy się pełnym zaufaniem prezesa
Anna Paluch z PiS płaci za mieszkanie ledwie 116,43 zł czynszu, a zarabia krocie
Został wicemarszałkiem sejmiku, a jak PiS straciło większość – wiceprezesem JSW
Jak PiS broni SKOK Wołomin, a atakuje urzędników
PFN – Polska Fundacja Nieprawidłowości

Suwerenna Polska woli kasę z lasu niż porządek w sądach
To on rządzi prokuraturą. I będzie to robić, nawet jak PiS przegra!
Rolnicy nagrali asystenta wiceministra rolnictwa, jak obiecywał załatwić dzierżawę
Z inwestycji w centrum stolicy prezes PiS się wycofał tylko z obawy o przegraną w wyborach
Marek Suski jest z Radomia i chciał tam międzynarodowego portu lotniczego. I ma!
TVN nazwał to układem radomskim, czyli dziwne koleje odcinka drogi S12
Sebastian Chwałek to siódmy prezes PGZ od 2016 roku. I tak samo nieudaczny
Jak minister Wąsik kazał inwigilować działacza organizacji pozarządowej
Krzysztof Tchórzewski i rosyjski węgiel, czyli energetyka w wydaniu PiS
Kazimierz Kujda był współpracownikiem SB, donosił na kolegów i to zataił
Jak polski rząd dał Rydyzkowi miliony
Andrzej Jaworski wrócił do PiS, bo nie ma żadnych hamulców
Jak śledczy z PRL załatwił córce karierę w prokuraturze
Oto finał głośnej inwestycji PiS, czyli przekopu Mierzei Wiślanej
Jacek Kurski zniszczył wizerunek telewizji publicznej, ale o siebie zadbał
Bezkarne pupilek Morawieckiego i lewe respiratory
Jak minister sprawiedliwości chroni hejtera, który niszczył sędziów
Tak Marcin Warchoń wykorzystuje miliony złotych z Funduszu Sprawiedliwości
Tak wiceminister od Ziobry tworzy wyższą uczelnię w stolicy
Minister od kolei zajmuje stanowisko ósmy rok, choć nie ma żadnych sukcesów!
Jak nieudolnie Kempa niosła pomoc uchodźcom
Prezes Narodowego Banku Prawa i Sprawiedliwości
Były prokurator krajowy schował się za sędziowskim immunitetem
PiS daje miliony z podatków na nacjonalistę Bąkiewicza
Ustalenia mediów potwierdziła NIK: minister edukacji działał nielegalnie!
Polski nie-ład, czyli jak zapłaciliśmy za niekompetencję rządu
Artur Soboń był pewny, że Mieszkanie Plus będzie sukcesem
Taki mamy klimat, że minister się na nim nie zna
Jak Narodowe Centrum Badań i Rozwoju stało się politycznym łupem
Agencja nie do Rozwoju Przemysłu, bo kolega premiera rządzi

Zemsta za ujawnienie, że pracował na lewym etacie w Lasach Państwowych?
Paweł Borys za grube miliony realizuje każdą zachciankę PiS. I Morawieckiego
Specjalistka od głupich wypowiedzi, którą zrobili wiceministrem
Antoni Macierewicz zamienił wyjaśnianie katastrofy smoleńskiej w hucpę
PiS rozpętało histerię, że UE chce nam przysłać 2 tys. migrantów. Sami ściągają o wiele więcej!
Marszałek lubelski sypie kasą, a na szpital w rodzinnym mieście nie ma
Tajemnica apartamentu Brudzińskiego
Poszła do PZU, bo... znała program PiS
Miała utopić Tuska, a pogrążyła samą siebie
Dziwni koledzy ministra Bortniczuka
Ulubieniec Macierewicza, który kosztował nas miliony
Jak Kaczyński NIE rozbija lokalnych układów
Zamiast odpowiedzieć za brak nadzoru, Ernest Bejda dostał zarząd PZU!
Jak poseł został lobbystą, a potem wrócił do polityki
Adam Hofman obłowił się na fuzji Orlenu z Lotosem. Płacił węgierski MOL
Najpierw jeździła po Polsce Szydłobusem, potem rozbijała się limuzyną
Prawdziwa twarz Morawieckiego – liberał udający obrońcę biednych

A czy wymienieni tu politycy PiS próbowali bronić swego „dobrego imienia” przed sądem?
Lista „bohaterów” tej broszury

Czarne myśli. Hasłówka

Szanowni Państwo!

Drodzy Czytelnicy tej broszury!

Często w różnych rozmowach słyszę: tyle tych afer, że ciężko już spa-
miętać. To prawda. Żyjemy w czasach wojny na Wschodzie, pande-
mii, drożyzny i inflacji. Politycy zaś traktują nas jak dzieci, mówią, że
jest tanio, kiedy każdy z nas w sklepie widzi, że podróżało. Mówią, że
jest **spokój** i jesteście bezpieczni, kiedy rosyjskie czy białoruskie rakiety
dolatują pod Bydgoszcz. Co miesiąc dostaję coraz wyższy rachunek za
prąd, wraz z listem, że jest ten prąd tani. Oni cały czas myślą, że
„ciemny lud to kupi”.

W telewizji opowiadają o tym, jacy to są uczciwi. W tym samym cza-
sie rozdają sobie miliony z naszych pieniędzy, wille swoim kumplom,
dobrze płatne posady krewnym i znajomym. To jest ta uczciwość?

Kiedy ich oszustwa wychodzą na jaw, jak wytrawni złodzieje „idą
w zaparte”, mówią, że **czarne**⁽⁸⁾ jest **białe**⁽⁸⁾, zastraszają tych, którzy
odkrywają ich przekręty.

Mówią, że chronią rolnictwo, po czym nie chcą ujawnić, kto zapełnił
magazyny ukraińskim zbożem i mrożonymi owocami. Oczywiście za
każdym razem mówią, że to nie oni, nie ich wina! Jakby to nie oni rzą-
dzili. Jakby to nie oni uchwalali ustawy, rozdzielali nasze pieniądze,
przyznawali koncesje i pozwolenia.

O tym jest ta broszura. Znajdziecie w niej opis 100 afer, które wstrzą-
snęły Polską w ostatnich latach. Wstrząsnęły, a często już o nich nie pa-
miętamy, bo były kolejne, bo były szybko ukrywane, bo świadkowie byli
zastraszani, a większość mediów, które są na usługach partii i polity-
ków, o nich nie mówiła. Nie pamiętamy, bo było ich o wiele więcej,

praca nad tym wydawnictwem to był naprawdę ciężki wybór akurat tych 100 tu opisanych.

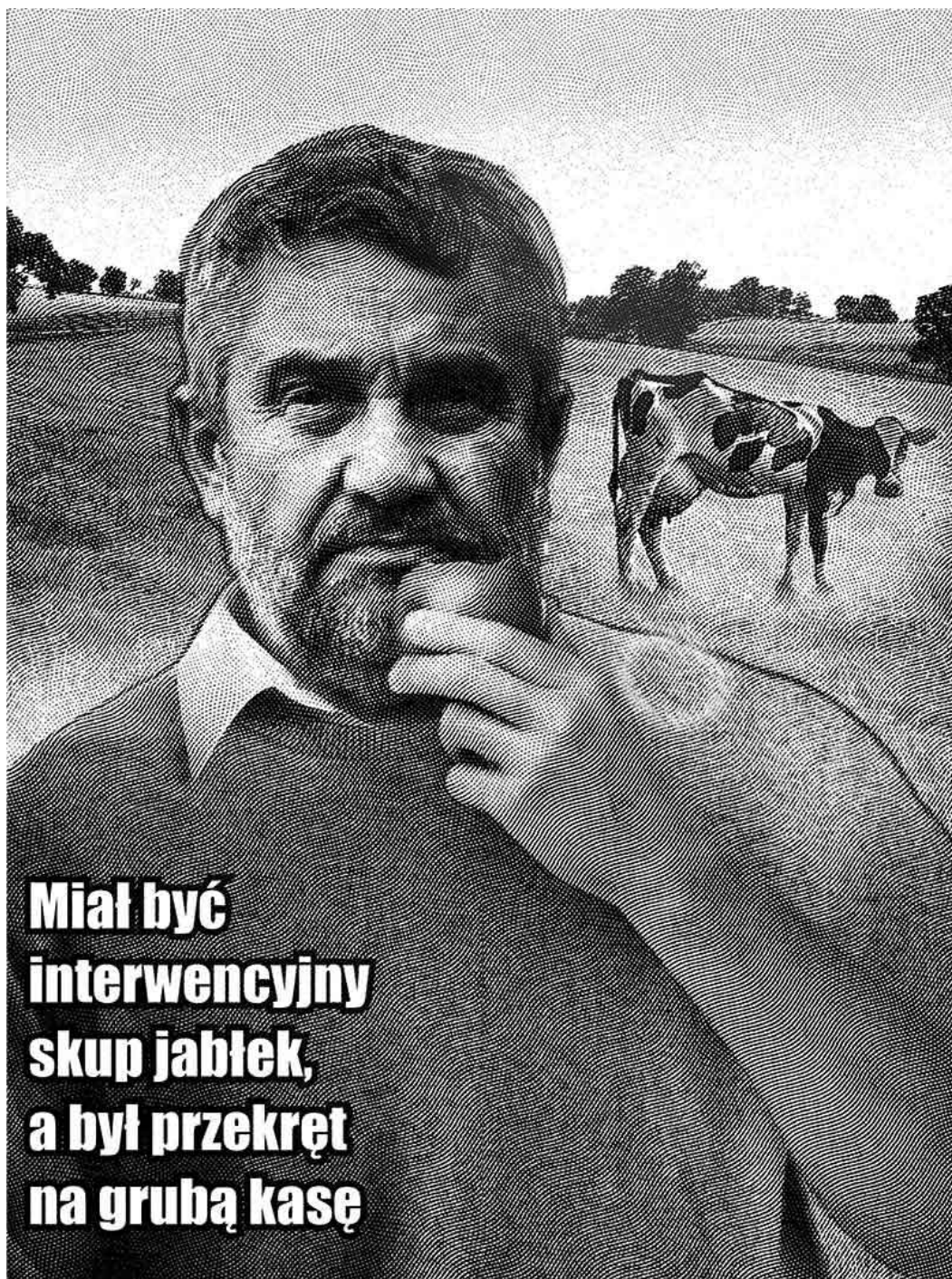
Przypomnijmy je sobie.

Marcin Piplowski

Jak minister z Eskimosem przewalili 100 milionów

W Polsce rządzonej przez PiS publiczne pieniądze można przewalić praktycznie na wszystko. W sprawie, w którą zamieszany jest prominentny polityk tej partii i ówczesny minister rolnictwa Krzysztof Ardanowski, zrobiono przekręt na jabłkach. A potem mechanizm powtórzono na mleku.

Jan Krzysztof Ardanowski został ministrem rolnictwa po tym, jak inni fachowcy od wsi w PiS skompromitowali się przed rolnikami forsowaniem słynnej „piątki dla zwierząt” autorstwa Jarosława Kaczyńskiego. Ardanowski, który ma ogromne ambicje polityczne, postawił się wówczas prezesowi. Został ministrem, by rolnicy uwierzyli, że piątka dla zwierząt to już przeszłość. Ardanowski poczuł się bardzo pewnie. Bo w PiS tak to już **jest**⁽²⁾, że polityków rozbestwia albo pełne zaufanie prezesa, albo fakt, że ktoś się postawił, a nie wyleciał z partii.



W 2018 r., jak opisuje Wirtualna Polska, Ardanowski wymyślił skup od rolników 500 tysięcy ton jabłek. Miało to zahamować gwałtowny spadek cen tych owoców. Mieliśmy bowiem klęskę urodzaju. W stylu Kaczyńskiego, czyli „bez żadnego trybu”, minister wskazał, że akcję ma zorganizować krakowska spółka Eskimos. Ta jednak nie poradziła sobie

z realizacją pomysłu. Sadownicy narzekali na opóźnienia w płatnościach. Eskimos szukał pieniędzy. I znalazł je. Ardanowski kazał, by podległy mu Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa podpisał bankową gwarancję spłaty 40 mln zł kredytu przez Eskimosa. Minęło kilka miesięcy i okazało się, że potrzeba... kolejnych 40 mln zł! Dyrektor KOWR i jego zastępca tym razem odmówili podpisania gwarancji, więc... stracili stanowiska. A nowi, na polecenie wiceministra Tadeusza Romańczuka, przyjaciela Ardanowskiego, podpisali i te gwarancje, i kolejne. Kilka miesięcy później Eskimos ogłosił, że kredytów nie spłaci. Należności, bagatela, 100 mln zł, musiał więc uregulować KOWR. Najwyższa Izba Kontroli złożyła w tej sprawie zawiadomienie do prokuratury. Sprawą jednak śledczy już się zajmowali, bo po zawiadomieniu od posłów Koalicji Obywatelskiej zajęło się tym CBA. Zarzuty usłyszał już też zarząd spółki Eskimos.

Prokuratura Regionalna w Warszawie połączyła śledztwo w sprawie Eskimosa z inną aferą z czasów ministrowania Ardanowskiego, czyli aferą Bielmleku. Tu też chodziło o gwarancje bankowe bezprawnie przyznane przez KOWR. W tym wątku zarzuty usłyszał były wiceminister rolnictwa Romańczuk. Nic dziwnego – Romańczuk był prezesem Bielmleku od 1998 r.! Romańczuk uważa, że Bielmlek upadł, bo komuś na tym zależało. Ardanowski, już jako były minister, **jest**⁽⁸⁾ po jego stronie. Uważa, że działania opisane przez Romańczuka układają się w logiczną całość i „komuś mogło zależeć na tym, żeby zniszczyć i przejąć spółdzielnię”. Tymczasem śledczy postawili Romańczukowi zarzuty działania na szkodę interesów majątkowych Spółdzielni Mleczarskiej Bielmlek w okresie od kwietnia 2014 r. do listopada 2019 r. Chodzi m.in. o nadużycie uprawnień i niedopełnienie obowiązków, podejmowanie nieuzasadnionych ekonomicznie decyzji wiążących się z obciążaniem spółdzielni wysoko nakładowymi inwestycjami, zaciąganiem kredytów oraz innych zobowiązań finansowych, bez możliwości ich spłaty. Chodzi o, bagatela, 80 mln zł.

W czerwcu 2022 r. śledczy zażądali od resortu rolnictwa dokumentów dotyczących Eskimosa i Bielmleku. Części dokumentów brakowało. Co z odpowiedzialnością samego Ardanowskiego?■

Fanaberia ministra Gróbarczyka za setki milionów złotych

Każdy zna powiedzenie, że dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane. A co brukuje się politycznymi mirażami, snami o potędze i milionami przepalonymi na utopijne wizje? Wystarczy pojechać do Szczecina i popłynąć polskim promem. Uprzedzając pytania – tak, to niemożliwe. Promów nie ma.

Program budowy własnych promów morskich pod dumną nazwą „Batory” miał sprawić, że Polska znów będzie stoczniową potęgą. Bo promy miały być sposobem na uratowanie szczecińskiej stoczni. Jak ujawnił potem jeden z polityków PiS, plan zmieścił się rządowi... na jednej kartce formatu A4, ledwie kilka punktów. Głównym pomysłodawcą był Marek Gróbarczyk, protegowany Joachima Brudzińskiego, dawny minister gospodarki morskiej, a dzisiaj wiceminister infrastruktury. Dlaczego Szczecin? Żeby nie Gdańsk, bo tam rządzi Platforma. Ale prom budowany jest teraz... w Gdańsku.



**Miały być polskie promy,
a trasy przejęli Niemcy**

Spółki, które obsługują promy, chciały kupić używane jednostki, by móc obsługiwać trasy i zarabiać. Armatorzy mieli jednak problemy z zakupem floty, bo – jak twierdzą rozmówcy money.pl – minister Gróbarczyk chciał w ten sposób przymusić ich do inwestowania w rządowy

program. Tak zrobiły, ale losów rządowego programu z jednej kartki A4 to nie poprawiło. Za to NIK skierowała zawiadomienie do prokuratury dotyczące uzasadnionego podejrzenia popełnienia przestępstwa niedopełnienia obowiązków i nadużycia uprawnień przez członków zarządu MSR Gryfia w latach 2017–2021. Filip Byczkowski, wicedyrektor Departamentu Strategii NIK, podkreślał w styczniu br. na sejmowej komisji gospodarki morskiej, że mimo wdrożenia czterech (!) planów naprawczych sytuacja finansowa stoczni się nie poprawiła. Zakład w Świnoujściu został zlikwidowany. Stocznia sprzedaje nieruchomości. Wszczęto procedurę zwolnień grupowych, a zwolnienia przeprowadzono wbrew związkom zawodowym.

Ministerstwo Infrastruktury zapewnia, że prom – budowany przez rząd od połowy 2017 r. w ramach programu „Batory” – będzie oddany do użytku najdalej w marcu 2025 r., bo to „priorytet”. Prawda jest taka, że budowniczy, czyli Polskie Promy, ma problem z uzyskaniem kredytu na jednostki, z których każda ma kosztować 600 mln zł. Warunki wypłaty nie zostały spełnione i pierwsza transza kredytu, zaplanowana na marzec, nie została wypłacona. Jest obawa, że nawet jak promy powstaną, to przez utratę rynku na rzecz niemieckiego TT Line... już na siebie nie zarobią. W tym roku ze Świnoujścia mają też zacząć pływać Włosi (Grimaldi), duński DFDS i szwedzka Stena.

W wypowiedzi dla money.pl były członek rządu PiS tak podsumował program ministra Gróbarczyka: – To rządowy program, dzięki któremu połączenia na Bałtyku obsługują dziś głównie Niemcy i Włosi, a my nie mamy ani promów, ani stoczni w Świnoujściu, ani żadnych z tego pieniędzy.

Jak podliczył Rafał Zahorski, ekspert branży morskiej i pełnomocnik marszałka zachodniopomorskiego ds. gospodarki morskiej, prom, który jest budowany, powstaje według dziewiątej już koncepcji, a z początkowych 129 mln euro, które zakładano wydać, zrobiło się dziś niemal 280 mln euro. – To dwa razy więcej niż zapłaciła nasza konkurencja pro-

mowa na Bałtyku, i to za jednostki większe od tych budowanych dla Polskich Promów – podkreśla ekspert.

Wygląda na to, że wstaliśmy z kolan i utopiliśmy się w stoczniowym doku...■

PiS ośmieszył wizerunek polskich policjantów

Przez dwie kadencje swoich rządów PiS zrobiło wiele, by narażać na szwank wizerunek policji. Szefowie ośmieszali funkcjonariuszy poprzez angażowanie ich w pilnowanie pomnika smoleńskiego, domu prezesa PiS, aktywny udział w pacyfikowaniu pokojowych marszów kobiet. Sytuacja z komendantem głównym policji gen. Jarosławem Szymczykiem, któremu w gabinecie wybuchł granatnik, była wisienką na torcie.

Cależ prawdy wciąż nie znamy, bo od miesiący trwa śledztwo i jego tajemnicą zasłania się MSWiA. Jednak pewne fakty są znane. I kompromitują szefa polskiej policji. Po kolei. W grudniu 2022 r. gen. Jarosław Szymczyk był z wizytą w Ukrainie. Jak donosi RMF FM, generał otrzymał tam dwa granatniki przeciwpancerne (prawdopodobnie RGW-90), które – jak ponoć przekonywali Ukraińcy – miały być zużyte. Pierwszy prezent pochodził od Komendanta Głównego Narodowej Policji Ukrainy Ihora Kłymenki: zużyty granatnik przeciwpancerny, przerebiony na głośnik. Później polska delegacja spotkała się jeszcze z szefem Państwowej Służby Ukrainy ds. Sytuacji Nadzwyczajnych generałem Sierhijem Krukiem i jego zastępca dał Szymczykowi identyczną tubę granatnika, ale już nieprzerobioną. Delegacja samochodami wróciła do Warszawy, na granicy nie zgłosiła przewożonych zużytych granatników, a prezenty gen. Szymczyk zostawił na zapleczu swojego gabinetu. Kilka dni później w komendzie głównej doszło do wybuchu. W jego efekcie zawalił się sufit w jednym z pomieszczeń na parterze, ale uszko-

dzony zostały też pomieszczenia powyżej, aż do drugiego piętra, na którym swój gabinet ma szef policji. Na miejsce przyjechały straż pożarna i pogotowie. Powiadomiono prokuraturę. Na miejscu sprawdzono, czy nie było zagrożenia chemicznego i radiacyjnego. Według naszych informatorów generał Szymczyk był trzeźwy. Ratownicy opatrzyli go i zabrali do szpitala. Doznał „lekkich obrażeń”. Lekko ranny został też cywilny pracownik komendy. Pokrzywdzona została także jeszcze jedna osoba.



**Komendantowi
wybuchł
granatnik
w gabinecie,
a Kamiński
go broni**

Eksperci wojskowości twierdzą, że taki granatnik nie mógł wystrzelić sam. Komendant zapewnia, że tylko je przestawiał, i wtedy doszło do eksplozji. Informację o zdarzeniu przekazano ponad 30 godzin po zdarzeniu. Wszyscy byli pewni, że Szymczyk straci stanowisko. Nic z tego. – To, co robicie wokół komendanta głównego policji, to jest próba poli-

tycznego linczu na człowieku. Chcecie go zniszczyć i pozbawić godności! – krzyczał w jego obronie z mównicy szef MSWiA Mariusz Kamiński.

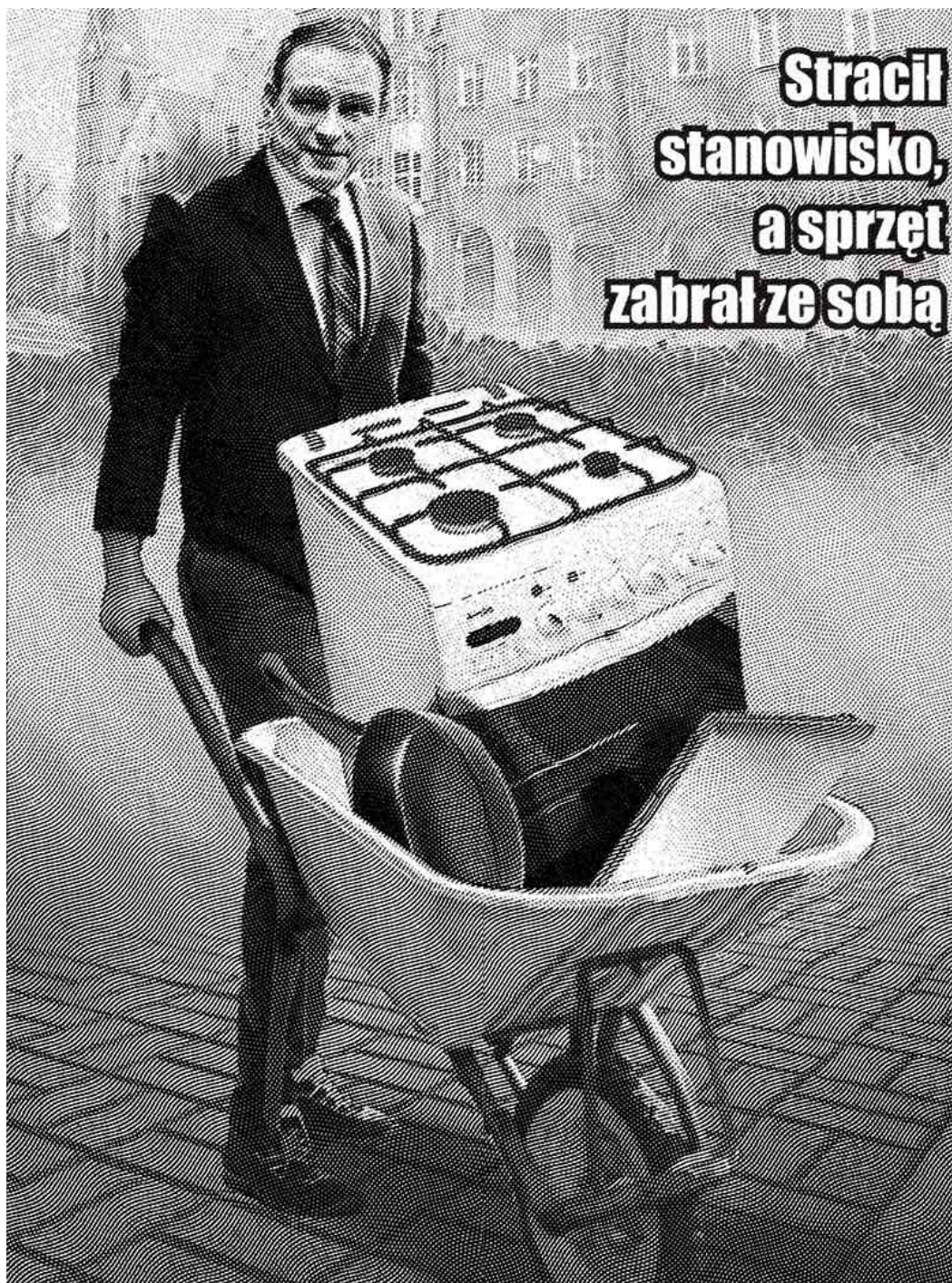
Kompromitacja z granatnikiem to nie był jedyny powód w ostatnich latach, dla którego w normalnym państwie szef policji straciłby pracę. Za jego przyzwoleniem policjanci organizowali kotły podczas legalnych demonstracji, próbując zniechęcić ludzi do protestów przeciw władzy. W sierpniu 2021 r. biuro Rzecznika Praw Obywatelskich prowadziło ponad 30 spraw, w których doszło do śmierci w trakcie lub po interwencji policji. A w końcu jeszcze brat...

Wiadomo, brata czy siostry się nie wybiera. Jednak są sytuacje w życiu publicznym, w których rodzina obciąża na tyle, by usunąć się w cień. Łukasz Sz., brat szefa policji, jest podejrzanym o udział w grupie przestępczej, tzw. karuzeli vatowskiej na skalę kilkudziesięciu milionów złotych! Dwaj podejrzeni siedzą w areszcie. A Łukasz Sz. nie, bo – zgodnie z ustaleniami „Gazety Wyborczej” – interweniował w jego sprawie sam szef Prokuratury Regionalnej w Lublinie Jerzy Ziarkiewicz, zaufany człowiek ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry.■

Tak olsztyński polityk PiS potraktował stanowisko w OHP

W PiS zdaje się obowiązywać zasada, że im bardziej wszystkim wydaje się, że dana osoba nie nadaje się na żadne stanowisko, tym większa jest szansa, że zajmie to najbardziej eksponowane. Tak jest też z Dariuszem Rudnikiem, wieloletnim szefem miejskich struktur partii Jarosława Kaczyńskiego w Olsztynie i komendantem OHP w województwie.

Rudnik jest również radnym sejmiku a prywatnie nauczycielem WF w jednej ze szkół zasadniczych. Zrobił dzięki partii zawrotną karierę. Nie zaszkodziło, a wręcz pomogło mu, że w czasie lokalnego Marszu Kobiet skandował w stronę protestujących, że są „Hitlerjugend”. W 2016 r. Rudnik został wojewódzkim komendantem Ochotniczych Hufców Pracy. Jego miesięczne uposażenie wzrosło kilkakrotnie. Jednak eldorado skończyło się w końcu 2020 r. Resort pracy objął Jarosław Gowin, a komendy OHP – jego ludzie. Rudnik stracił stanowisko. Nie oddał go jednak łatwo. Nie zwrócił kluczy do gabinetu, więc nowy komendant urządowanie musiał rozpocząć od wizyty ślusarza. Niedługo potem musiał jednak prosić o wsparcie prawników.



Nowe władze OHP postanowiły przyjrzeć się działaniom poprzedników ze „zjednoczonej prawicy”. Po przeprowadzeniu inwentaryzacji – jak donosiła olsztyńska „Gazeta Wyborcza” – okazało się, że Rudnik nie zwrócił wykorzystywanego sprzętu elektronicznego, który otrzymał jako komendant. Chodziło m.in. o laptop, smartfon i tablet. W sumie

koszt niezwróconych urządzeń wyliczony został na przeszło 24 tys. zł. Nowy komendant złożył pozew cywilny, który wpłynął 12 sierpnia 2021 r. do Sądu Rejonowego w Olsztynie. Pełnomocnik nowych władz wojewódzkiej komendy OHP wniósł o nakazanie pozwanemu, aby wydał rzeczy z obowiązkiem zwrotu lub do wyliczenia. W sumie rzeczy nabierało się... aż 20! Laptop nie był jeden, były też słuchawki bezprzewodowe.

Na tym jednak nie koniec. Zaginął bowiem również sprzęt kuchenny, i to o wartości ok. 47 tys. zł! Pochodził z likwidowanej kuchni w placówce OHP w Elblągu. Po przewiezieniu go do Olsztyna nie doliczono się urządzeń o największej wartości: piekarników, lodówek, zamrażarek, stołów, szatkownic czy pralek. Do prokuratury w Olsztynie złożone zostało zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. Według ustaleń sprzęty dotarły do magazynu w Olsztynie, ale szybko, bo jeszcze latem 2019 r. zniknęły. Jak donosi „Gazeta Wyborcza”, w środowisku prawicowym krąży informacja, że zbiegło się to w czasie z rozpoczęciem na terenie Olsztyna działalności przez jedną z firm cateringowych, którą założyli... krewni działacze PiS i pracowników OHP.

Gdy Gowin odszedł z rządu, a resort pracy wrócił pod rządy PiS, Rudnik... znów został komendantem OHP w Olsztynie. Wydał też oświadczenie, że artykuły na jego temat były oszczercze, prowadzony był „ciągły atak polityczno-medialny”, a zarzuty to „stek kłamstw, pomówień, wymysłów i konfabulacji” oraz „perfidna prowokacja”. Okazało się też, że zaraz po tym, jak znów został komendantem, zawarł z komendą OHP... ugodę, a w niej zapis, że komenda „zobowiązuje się do uznania, że dotychczasowy stosunek pracy, łączący Pana Dariusza Rudnika z WM WK OHP, nie zakończył się w dniu 31.03.2021 r. i trwa nadal na dotychczasowych warunkach zatrudnienia”. Sprzętu więc oddawać nie musiał. I o co tyle hałasu?■

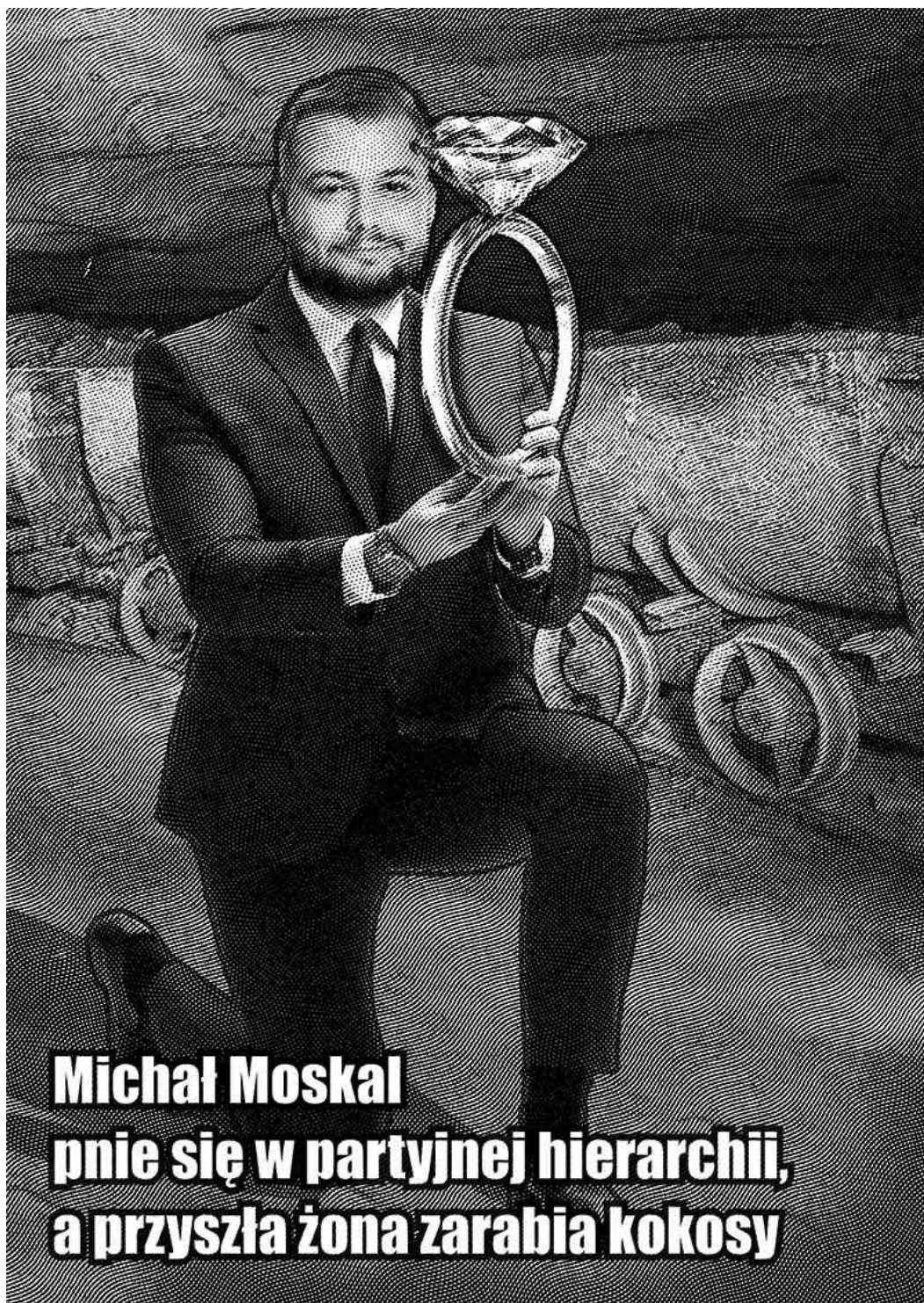
Wstrzymali wydobyć dla zaręczyn asystenta Kaczyńskiego

Od dziecka wszyscy wiemy, że Mikołaj Kopernik wstrzymał Słońce i ruszył Ziemię. Nie wszyscy jednak jeszcze słyszeli o asystencie Jarosława Kaczyńskiego, który... wstrzymał pracę kopalni, żeby się w niej oświadczyć. Najpierw jednak załatwił koledze posadę wiceprezesa, a potem prezesa tej kopalni. A potem narzeczonej wysoko płatne stanowisko w innej spółce.

Do oświadczyn Michała Moskala z jego wybranką Marią Cholewińską doszło 30 grudnia 960 metrów pod ziemią. Młodym towarzyszył m.in. ówczesny wiceprezes, a dzisiaj prezes KWK Bogdanka Kasjan Wyligala, przyjaciel Moskala. Sprawę ujawnił Onet. Z kolei lubelska „Gazeta Wyborcza” ustaliła, że na czas wizyty Moskala i jego wybranki wstrzymano pracę kopalni na pół godziny i wyproszono górników. – Żadnemu pracownikowi kopalni, choćby przepracował na dole 20 lat, nie pozwolono by na taki kaprys. My jesteśmy rozliczani z każdej minuty postoj, bada się dogłębnie przyczyny każdej awarii i próbuje się karać ludzi za jej nieumyślne spowodowanie – mówił tvn24.pl jeden z górników. Po publikacjach prasowych wszczęto w KWK dochodzenie. Ale nie w sprawie wstrzymania pracy kopalni, ale tego, kto poinformował dziennikarzy! A koledzy Moskala z PiS bagatelizowali tę sytuację.

Lubelski Węgiel Bogdanka SA jest spółką akcyjną, w której 66 proc. akcji posiada państwowa Enea. To najbardziej rentowna polska kopalnia. Do 12 stycznia trwało przyjmowanie zgłoszeń na jej prezesa. Wyli-

gała także ubiegał się o to stanowisko. I – nie uwierzą państwo – wygrał ten konkurs!



Do osoby prezesa jeszcze wrócimy. Warto się jednak przyjrzeć wybrance Moskala, któremu Jarosław Kaczyński zdaje się ufać bezgranicznie. Cholewińska znalazła zatrudnienie w KGHM Polska Miedź SA na stanowisku zastępcy dyrektora departamentu nowych kierunków biznesowych. Zarabia nawet ok. 30 tys. zł! Założyła też Fundację Instytut Kazimierza Promyka, która jest wspierana z funduszy Fundacji New Direction. Fundacji tej prezesuje europoseł PiS Tomasz Poręba, do niedawna szef sztabu wyborczego PiS. Jak opisał „Newsweek”, Cholewińska razem z Porębą organizowali w Polsce konferencję o „zielonym konserwatyzmie”. Imprezę sfinansowały spółki z udziałem skarbu państwa, a wśród prelegentów był... Kasjan Wyligała.

Fundacja Cholewińskiej dostała w ciągu 2 lat z Narodowego Instytutu Wolności, powołanego przez ministra kultury Piotra Glińskiego, aż 1,4 mln zł. Zanim znalazła pracę w KGHM, Cholewińska była dyrektorem w NFOŚ. Zresztą KGHM także wpłacał na jej fundację.

Moskal rzadko wychodzi z cienia Jarosława Kaczyńskiego, bo swoją pozycję buduje przez jego zaufanie. W partii już od paru lat wszyscy muszą się z nim liczyć. A on liczy już benefity, jakie ma z wyboru takiej ścieżki kariery. Wiadomo, że w tegorocznych wyborach parlamentarnych zamierza kandydować z rodzinnego Janowa Podlaskiego. Pewnie jako jeden z nielicznych kandydatów w Polsce będzie mógł liczyć na plakaty ze zdjęciem popierającego go Jarosława Kaczyńskiego. A znając hojność kolegów, których powsadzał na różne stołki w spółkach, plakatów będzie miał sporo. Wyligała jeszcze przed zaręczynami Moskala w Bogdance przelał na konto PiS 27 tys. zł. Już pewnie szykuje suty przelew na kampanię. ■

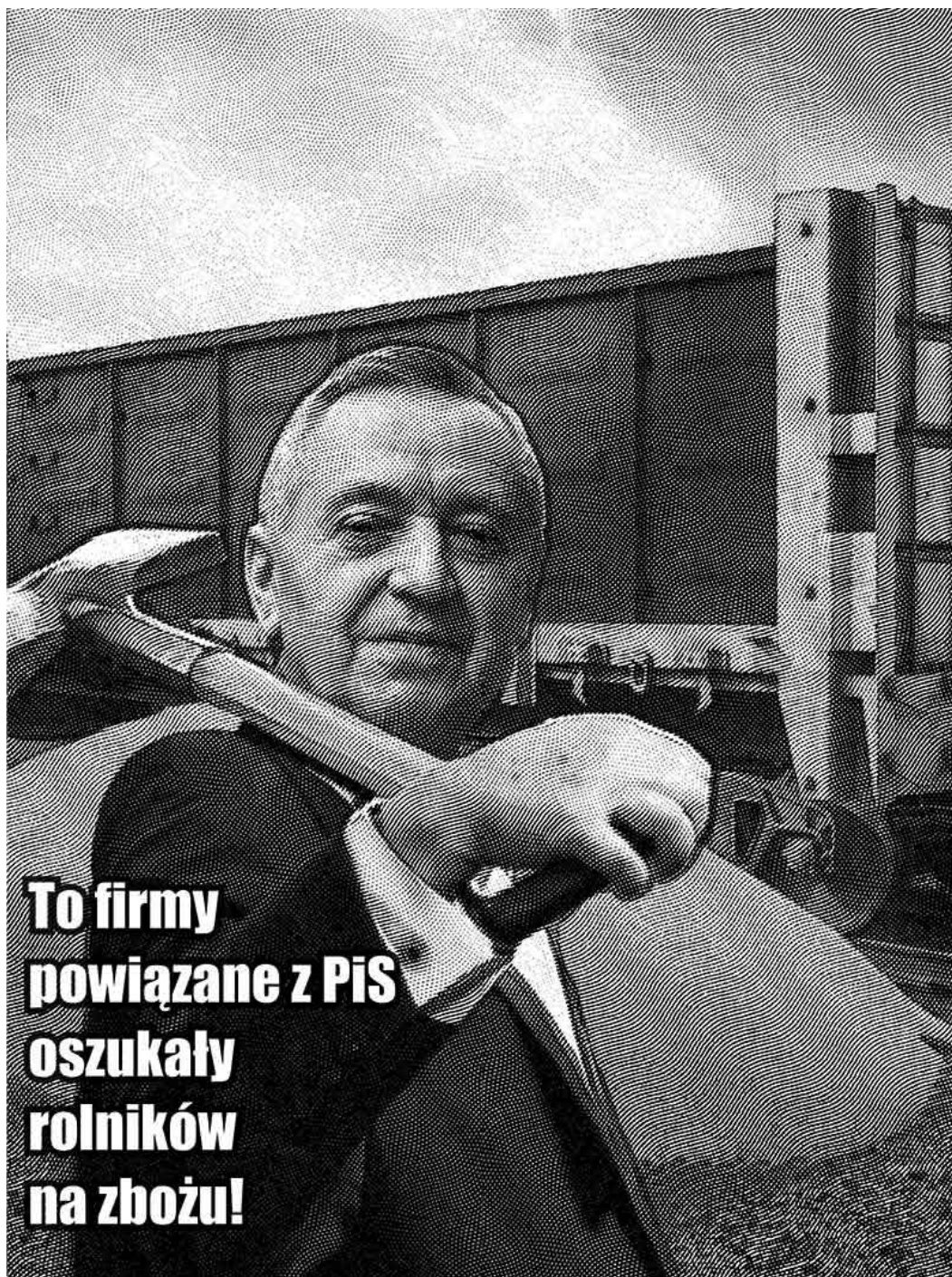
Przez błędy rządu ukraińskie zboże zostało w Polsce zamiast płynąć do Afryki

Najpierw kazał rolnikom nie sprzedawać zboża. Potem pozwolił na to, by w sposób niekontrolowany do Polski wjechało – i tu zostało – kilka milionów ton zboża z Ukrainy! Gdy to wyszło na jaw, przekonywał, że rolnicy „źle go zrozumieli”. Henryk Kowalczyk jako minister rolnictwa miał uspokoić wieś. Doprowadził do kryzysu, jakich mało.

Kontekst tej historii wszyscy znamy. Putin napadł na Ukrainę na początku 2022 r. Wojna opanowała niemal cały kraj. A Ukraina to obok Rosji główny eksporter zbóż do państw afrykańskich. Tej części świata głód zajrzał w oczy. Długie tygodnie trwały negocjacje dotyczące umożliwienia eksportu zboża z Ukrainy. Znaczną część tego tranzytu wzięła na siebie Polska, kolejną. Od początku opozycja i organizacje rolnicze apelowały do rządu, by zabezpieczyć te przewozy tak, by tańsze niemal o połowę i niepodlegające unijnym wymogom zboże nie trafiło do polskich spichlerzy. Minister Kowalczyk zapewniał, że wszystko ma pod kontrolą.

Bomba wybuchła w kwietniu 2023 r. Okazało się, że co najmniej 3 mln ton zboża z Ukrainy sprowadzono do Polski bez kontroli. W efekcie pojawiła się gigantyczna nadpodaż zbóż. Rolnicy nie mieli jak sprzedać zboża, bo magazyny są przepełnione. Cena tony pszenicy spadła o 50 proc. A Kowalczyk w Polsat News winę próbował zrzucić na Unię Euro-

pejską i firmy, które nie chcą kupować zboża od rolników. Stwierdził też, że rolnicy nie zrozumieli intencji jego wypowiedzi, gdy mówił, że „w czasie żniw nie powinno się w sposób paniczny sprzedawać zboża, bo cena spada”. Zapomniał dodać, by zrobili to po żniwach.



Za skandal Kowalczyk zapłacił stanowiskiem. Ale ministerialnym, bo wicepremierem pozostał. Na jego miejsce do resortu rolnictwa przyszedł Robert Telus. Też szybko wskoczył na „unijnego konika”. Dziennikarze jednak nie odpuszczali i dopytywali, kto oszukał rolników na zbożu.

14 kwietnia minister Telus deklaruje: – Za kilka dni ujawnię listę firm, które kupowały zboże z Ukrainy. W tym samym czasie jednak Wirtualna Polska ujawnia, że rękę do tego przyłożyły przedsiębiorstwa, które związane są z politykami i członkami PiS. Mowa między innymi o byłym pośle PiS Marku Zagórskim, który zrezygnował z mandatu, żeby zostać szefem Krajowej Grupy Spożywczej. Lista, do której dotarli dziennikarze, zawierała ponad 20 przedsiębiorstw. Zgodnie z danymi Głównego Lekarza Weterynarii 16 transportów pszenicy i kukurydzy miało trafić do Cedrobu – największego producenta drobiu w Polsce. Prezes Cedrobu to Andrzej Goździkowski, od 2015 r. członek PiS. Plotek było więcej. Wszyscy czekali na listę od ministra. Zapytany o to 22 kwietnia Telus powiedział: „Potrzeba czasu, żeby to ogłosić”. Dopytywany, czy dni, czy tygodni, zapewnił, że dni. Pięć dni później znów powiedział, że to kwestia kilku dni. A już 4 maja w TVN24 rzucił, że... w sumie to nic się nie stało, bo firmy nie łamały prawa, tylko zachowywały się nieetycznie. Jego zdaniem opublikowanie tej listy nic by nie dało, więc listy nie będzie. A rolników próbuje się uciszyć interwencyjnym skupem. Za błędy Kowalczyka i zysk działaczy PiS płacą polscy podatnicy.■

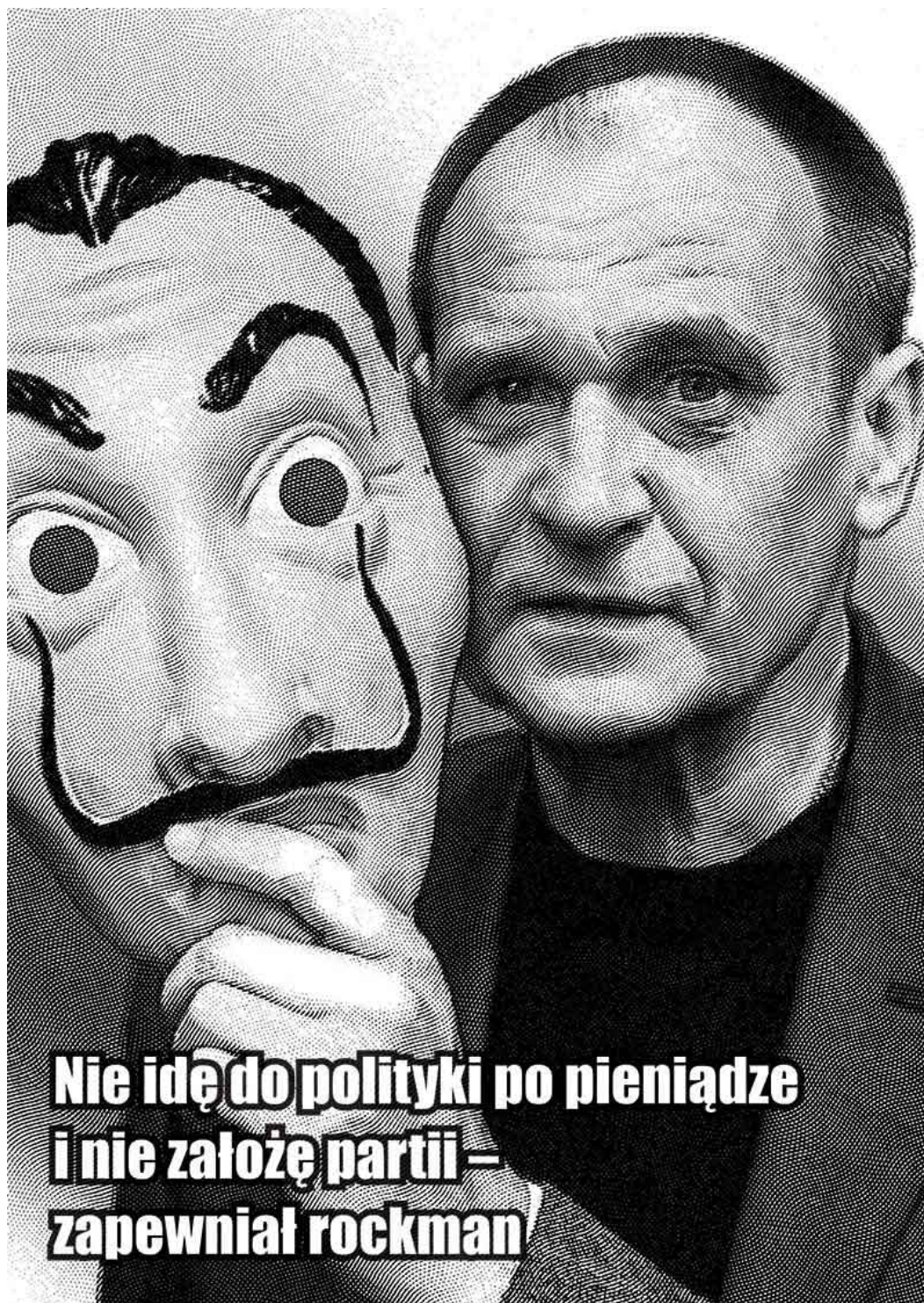
Kukiz bierze miliony z budżetu. Tyle zostało mu z ideałów

Paweł Kukiz, idąc do polityki, zapewniał, że nie będzie brał żadnych pieniędzy publicznych. Krytykował polityków za sięganie po takie środki, a partie polityczne – za branie subwencji. Teraz jego stowarzyszenie i fundacja dostają miliony. I to z rezerwy budżetowej, z której środki rozdaje premier, a które powinny być wykorzystywane na nadzwyczajne potrzeby, np. w przypadku stanu klęski żywiołowej.

Kukiz, który uważał partie za największe zło demokracji, w 2020 r. sam założył partię polityczną. Niedawno ją zlikwidował i założył nową. Powód? Nie złożył w terminie sprawozdania finansowego, a to oznacza, że nie mógłby liczyć na dotację budżetową po kolejnych wyborach. A Kukiz i jego ludzie już się z tym nie kryją: chcą pieniędzy z budżetu. I już je biorą, choć na razie nie jako partia.

Pierwszy pieniądze dostał Instytut Demokracji Bezpośredniej. Ujawniła to Wirtualna Polska w kwietniu tego roku. Fundacja związana z Kukizem otrzymała z budżetu 4,3 mln zł. Ma za te pieniądze... popularyzować referenda. – Myśmy się starali o te pieniądze w różnych miejscach, było ciężko. Uważam, że powinniśmy natychmiast wyedukować społeczeństwo i wprowadzić przynajmniej elementy edukacji bezpośredniej, dlatego że za chwileczkę się pozabijamy – tłumaczył Kukiz w radiowej Trójce. Minęło kilka tygodni i kolejna fundacja Kukiza – Potrafisz Polsko! – też złożyła wniosek o miliony z budżetu. Tym razem o 3,17 mln zł na projekt „Niezapomniani: nowoczesne technologie

w służbie pamięci o wspólnoty pokoleń”. Nazwa fundacji to hasło wyborcze ugrupowania Kukiza z wyborów 2015 r. Organizacja chce m.in. „upamiętniać cmentarze”, nagrywając je dronami.



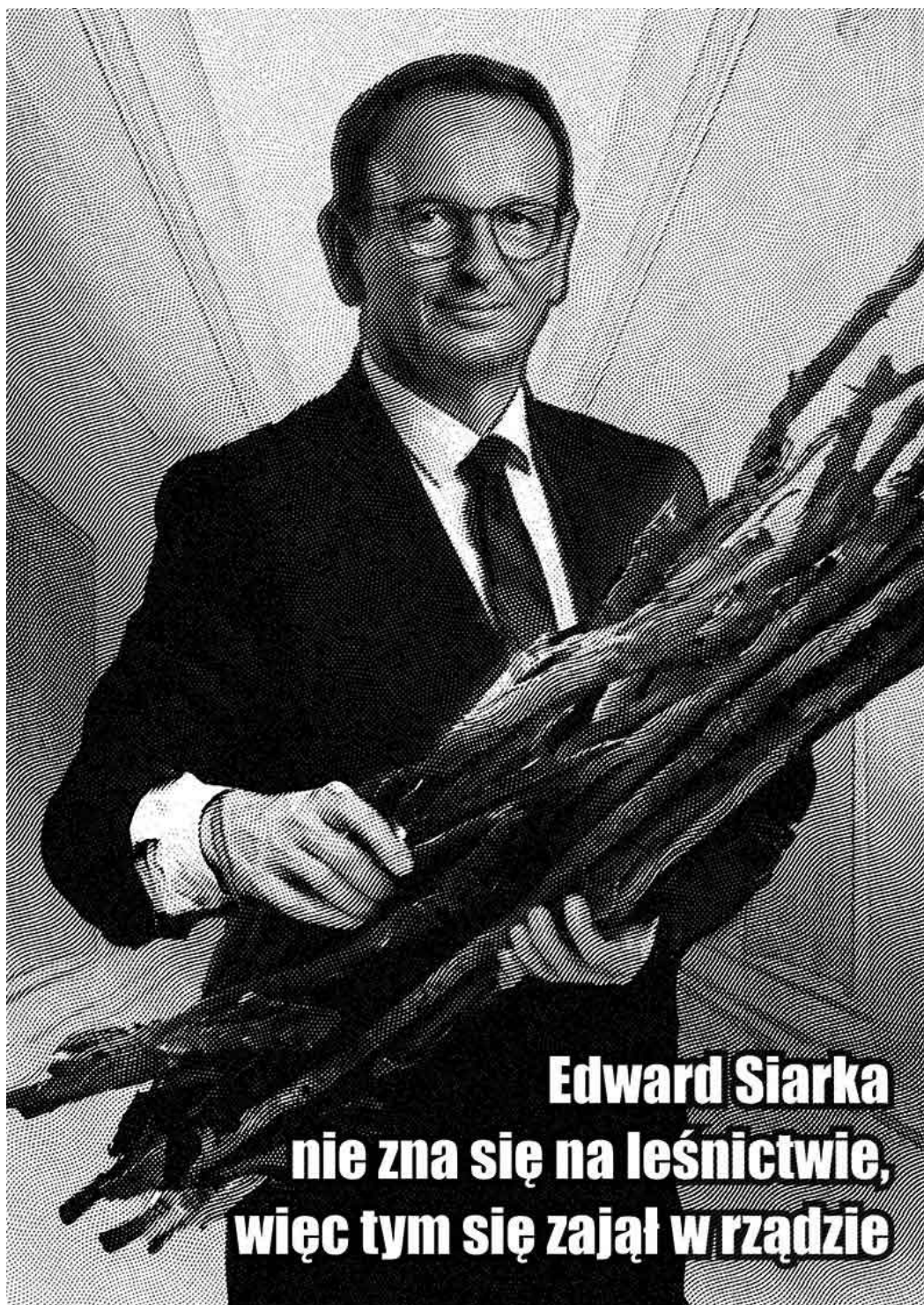
Nie jest to pierwszy przypadek wykorzystywania rezerwy budżetowej w zupełnie innym celu niż ten, do czego jest związana. Premier dał np. 5,7 mln zł dotacji Fundacji Niezależne Media, kojarzonej z Tomaszem Sakiewiczem, szefem „Gazety Polskiej” i TV Republika. Środki miały służyć realizacji projektu „Akademia Demokracji”. To kolejne pieniądze z kieszeni podatników, które popłynęły do podmiotów powiązanych z Sakiewiczem. Najstławniejszym pozostaje 7 mln zł za „wygrany” konkurs na dofinansowanie w ramach projektu ekologicznego. Pieniądze od Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej poszły na projekt Puszcza TV. Obraz z niskobudżetowej kamery ustawionej w środku puszczy oglądało w internecie przeciętnie sześć osób...

Ostatnio dużo kontrowersji wzbudziło też przekazanie przez premiera niemal 9 mln zł (a w sumie niemal 29 mln zł!) na budowę Centrum Krucjaty Wyzwolenia Człowieka w Krościenku nad Dunajcem. To ośrodek słynnego katolickiego Ruchu Światło-Życie. Nie dlatego jednak dostali pieniądze, że od kilkudziesięciu lat zajmują się młodzieżą. We władzach stowarzyszenia jest minister Henryk Kowalczyk. I on publicznie przyznał, że lobbował za tymi pieniędzmi u Mateusza Morawieckiego. To jest w tym wszystkim najgorsze. Budżetowe pieniądze trafiają niekoniecznie tam, gdzie są niezbędne. Trafiają tam, gdzie są ludzie związani z PiS albo potrzebni tej formacji do utrzymania władzy. A PiS utrzymuje swoją pozycję z naszych pieniędzy. Płaci Kukizowi, Sakiewiczowi, płaci na ośrodek powiązany z Kowalczykiem i wiele innych przedsięwzięć, które opisujemy również w tej broszurze. Nadchodzące wybory są też o tym, czy Polacy mają dalej pozwalać, by traktować budżet państwa i wpływy z naszych podatków jako źródło finansowania utrzymania się PiS u władzy.■

Z chrustem żartował, ale z drewnem nie jest do śmiechu

Na kilka miesięcy przed zimą przełomu 2022 i 2023 roku rząd PiS był przerażony perspektywą mroźnej zimy, w której Polakom będzie zimno. To by niechybnie oznaczało, że w wyborach kilka miesięcy później to władzy będzie „gorąco”. Politycy rządu namawiali nawet Polaków, by zbierali chrust w lesie.

Wypowiedzią, która w mig stała się tematem w całym internecie, popisał się poseł Edward Siarka. – Cały czas obowiązuje, za zgodą leśniczego, możliwość zbierania gałęzi na opał – mówił w czerwcu 2022 polityk, który zajmuje stanowisko wiceministra środowiska. Zna się na środowisku i lasach jak prawie każdy w partii Zbigniewa Ziobry – czyli wcale. Kiedyś uczył w podstawówce historii, kilka lat był wójtem, a potem już zawodowo posłem, od 18 lat. W końcu miał okazję załapać się do rządu. I został pełnomocnikiem rządu (jest ich w klubie PiS kilkudziesięciu od różnych obszarów, bo to sposób na to, by więcej posłów było wiceministrami). Zajął się leśnictwem i łowiectwem.



**Edward Siarka
nie zna się na leśnictwie,
więc tym się zajął w rządzie**

W internecie zawrzało. „Po 7 latach rządów PiS będziemy jeść miskę ryżu, zbierać chrust i może przesiądziemy się na furmanki”, „Chrust+, nowy program społeczny PiS” czy „Nowe hasło wyborcze PiS: Chrust za darmo” – komentowali internauci. – Sądzę, że to przejdzie do jakiejś hi-

storii takich niezręcznych wypowiedzi. Oby tak było, że będą się z tego śmiać – komentował swego rodzaju fachowiec od takich lapsusów, Marek Suski. Jego marzenie się spełniło, bo zima nie była tak ostra, by zabrakło węgla czy drewna na opał. Kilka dni jednak od wypowiedzi ministra Siarki pokazało, że gdyby było inaczej, to mielibyśmy problem. Bo raz, że chrust w lesie nie tak łatwo zbierać. A dwa, że drewna w ogóle brakuje. I nie chodzi tylko o opał, ale również o tętniący dotąd życiem polski przemysł meblarski. Przedsiębiorcy od dawna alarmują, że trwa masowa wywózka drewna z Polski, i to cios dla całej gospodarki, bo przez takie działania Lasów Państwowych ceny surowca są droższe dla polskiego biznesu o nawet 30 proc. Analitycy rynkowi potwierdzają, że sprzedaż drewna z Polski do... Chin wzrosła ponad czterokrotnie w porównaniu z rokiem 2021. A wzrost trwa od 2018 r.!

Tak jak przedsiębiorcy z branży meblowej alarmują, że drewno wyjeżdża z Polski i go brakuje na rynku, tak działacze ekologiczni alarmują, że trwa masowa wycinka lasów w naszym kraju. Nie do końca tak jest – inni eksperci zwracają uwagę, że przez ocieplenie klimatu lasy szybko rosną. Także wycina się stare drzewa, a sadzi nowe. Inna sprawa, że 95 procent dochodów Lasów Państwowych pochodzi właśnie ze sprzedaży drewna. LP, szczególnie pod wpływem polityków, chętniej więc lasy wycinają, niż o nie dbają, np. tworząc parki narodowe. Dość powiedzieć, że te stanowią w Polsce zaledwie 1,5 procent powierzchni wszystkich lasów w Polsce! Histeria, którą w kampanii rozpętuje Zbigniew Ziobro, krzycząc, że Bruksela chce w Polsce powstania nowych rezerwatów, jest więc kompletnie nie na miejscu. Na powstanie parku narodowego zgodę musi wyrazić lokalna społeczność, ale od 20 lat nie powstał w naszym kraju żaden nowy park narodowy! Duża część lasów to obszar Natura 2000, ale tam wycinka nie jest zabroniona. Chrustu więc na pewno nie zabraknie. Tyle że z tego można się pośmiać, a z tego, że producenci mebli muszą kupować drewno za granicą, choć Polska jest 12. producentem drewna na świecie – już nie bardzo. **Czyste⁽²⁾ szaleństwo.■**

Opieszałość, która kosztowała nas setki milionów

Zamiast dogadać się z czeskim rządem w sprawie elektrowni w Turowie na długo przed kampanią wyborczą w tym kraju, minister klimatu Michał Kurtyka chodził i opowiadał, że ich warunki są nie do przyjęcia. W efekcie i tak zapłaciliśmy Czechom, ile chcieli, ale ponad drugie tyle musieliśmy zapłacić kar orzeczonych przez unijny trybunał!

Oco chodziło z Turowem, który w tej kampanii wrócił jako temat polityczny? Dotychczasowa koncesja na działalność kopalni odkrywkowej, z której węgiel zasila elektrownię została wydłużona w 2020 r. do 2026 r. Decyzję wydało ministerstwo klimatu, wiedząc dobrze, że tak przygotowane oceny środowiskowe i decyzje zostaną zaskarżone przed unijny trybunał. Turów bowiem od lat jest ślepy na problemy sąsiadów. A tymi nie jest fakt, że kopalnia „przeszkadza”. Ona sprawia, że w okolicznych miastach i wsiach nie ma wody! Nawet bardzo głębokie studnie wywiercone u Czechów w latach 80. zaczynają wysychać. To za kilkunastoma tysiącami mieszkańców Vaclavic czy Uhelny wstawiał się najpierw Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej, a niedawno polski sąd administracyjny. Od lat wiadomo, że Turów w takiej postaci nie ma szans przetrwać, a ówczesny minister klimatu Michał Kurtyka nie wykonał nawet gestu, by udobruchać Czechów.



**To przez ministra klimatu
Michała Kurtykę
zapłaciliśmy kary za Turów**

Czesi, jeszcze na poziomie lokalnym, żądali od 2016 r. ok. 45 mln euro na załatwienie sprawy gospodarki wodnej na terenie przygranicznym. Kurtyka długo zwlekał z załatwieniem tematu, aż w końcu zbiegły się w czasie dwie rzeczy: wydłużenie koncesji dla kopalni do 2026 r. i kam-

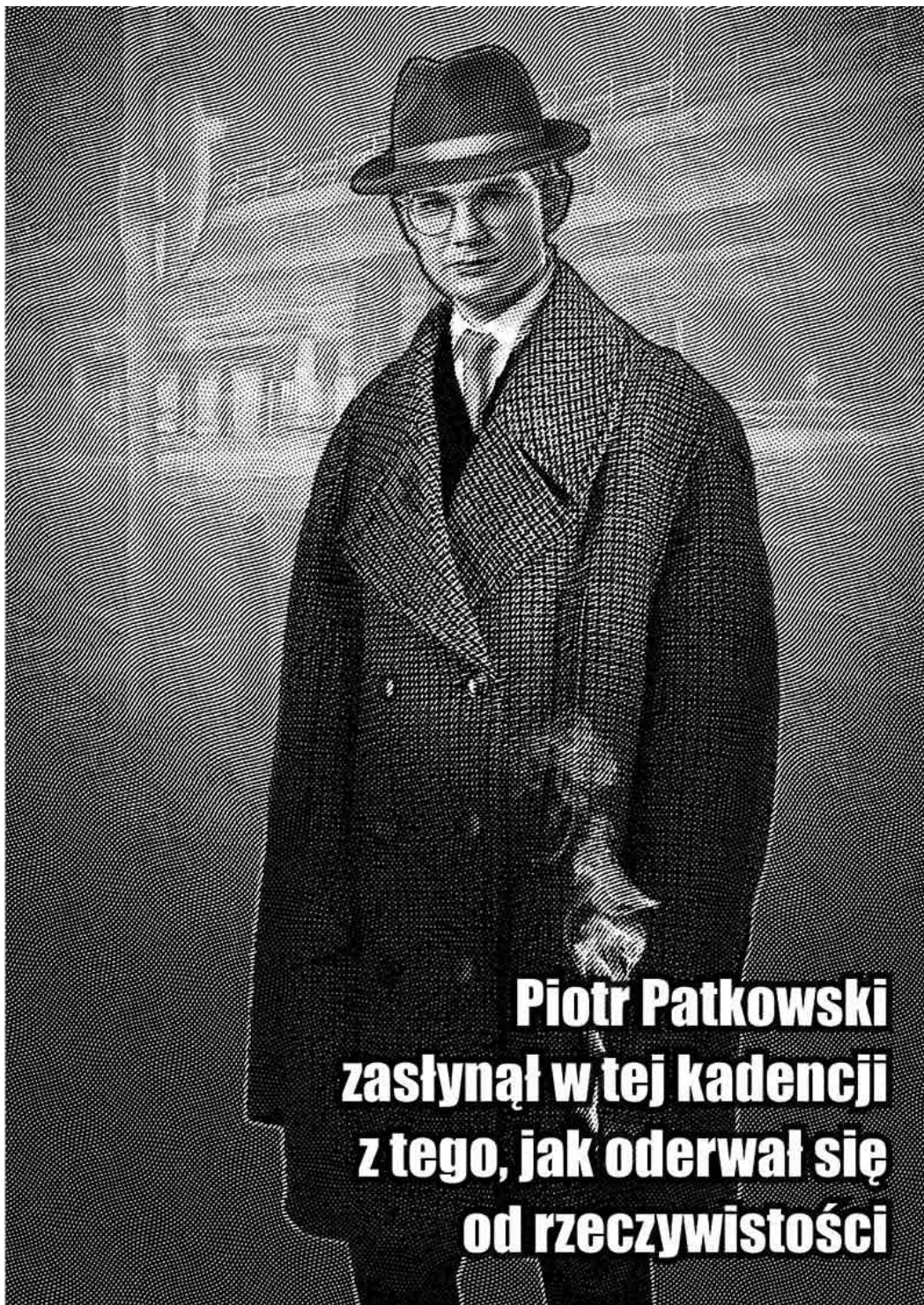
pania wyborcza, w której rząd Andreja Babiša był w bardzo trudnej sytuacji. Jak 2+2 zawsze jest 4, tak i w tym wypadku było pewne, że Czesi wykorzystają tę sytuację, by zakończyć nieskuteczną ścieżkę dyplomatyczną i uderzyć mocniej. Trafili do TSUE, a ten we wrześniu 2021 r. nałożył na Polskę bardzo ostrą karę: do czasu załatwienia sprawy z Czechami mamy wstrzymać wydobycie, a jeśli tego nie zrobimy, płacić pół miliona euro za każdy dzień pracy kopalni! Niedługo potem Kurtyka stracił stanowisko, a jego następcy w kilka miesięcy dali Czechom to, co powinniśmy wiele miesięcy wcześniej: odszkodowanie 35 mln euro i jeszcze 10 mln euro na Fundusz Małych Projektów Środowiskowych. Ile zapłaciliśmy kar w związku z decyzją TSUE? Aż 68 mln euro! Ile żądali Czesi od 2016 r.? 45 mln euro. Czyli nicnierobienie Kurtyki kosztowało nas całkiem sporo...

Gdy wydawało się, że temat Turowa jest załatwiony i będzie elementem już tylko wewnętrznej rozgrywki między PiS a Suwerenną Polską (to ludzie Zbigniewa Ziobry wciąż jeździli do Turowa, pokazując, że bardziej bronią polskiej energetyki niż rząd Mateusza Morawieckiego, do którego należą), wybuchł na nowo. Już nie w relacjach z Czechami, bo umowa podpisana w lutym 2022 r. obowiązuje przez 5 lat i Czesi (przynajmniej na poziomie rządowym) są z niej zadowoleni. Polski rząd przyznał dla kopalni w Turowie koncesję na rozbudowę działalności do 2044 r. Organizacje ekologiczne zaskarżyły decyzję do polskiego sądu administracyjnego, a ten nakazał wstrzymanie tej rozbudowy. Premier Mateusz Morawiecki od razu uderzył w tony, że to Niemcy chcą zablokować polską gospodarkę i zabrać Polakom energię elektryczną. Prawda jest taka, że przez lata rządów PiS nie zrobił wiele, by przeprowadzić transformację energetyczną. Jest niewolnikiem własnych deklaracji, często wynikających z niewiedzy lub braku odwagi do podejmowania trudnych decyzji. Łatwiej przecież powiedzieć, że „to Niemcy”...■

Uważa, że Polacy wzbogacili się na pandemii

Pandemia i związane z nią obostrzenia w poruszaniu się i funkcjonowaniu społecznym przez długie lata będą odbijać się nam czkawką, i to z wielu powodów. Jednak zdaniem wiceministra Piotra Patkowskiego lockdown to musiał być cudowny czas dla Polaków, bo zaoszczędzili mnóstwo pieniędzy!

W listopadzie 2020 r. w czasie debaty zorganizowanej przez jedną z organizacji przedsiębiorców Piotr Patkowski stwierdził, że Polacy nie odczuli bezpośrednio w swoich kieszeniach skutków epidemii. – W momencie kiedy utrzymamy miejsca pracy, nie ma potrzeby stosowania dalszych środków dla konsumentów, bo z ich punktu widzenia nic się nie zmienia – mówił. I tłumaczył, że skoro konsumenci mają taki sam dochód jak przed pandemią, to nie potrzebują wsparcia. Patkowski poszedł dalej! – W tym momencie konsument ma czasami większą kwotę do dyspozycji – stwierdził, czym oburzył wielu Polaków. Patkowski wyjaśniał, że pewne „ograniczenia sanitarne” są związane ze spędzaniem wolnego czasu i skoro zamknięte są restauracje, kina, baseny czy kluby fitness, a więc nie ma gdzie wydawać pieniędzy na rozrywkę i rekreację, to w takiej sytuacji pieniądze zostają w kieszeni konsumentów. I to „bogacenie się” to oczywiście zasługa wprowadzonych obostrzeń i zamykania przedsiębiorstw.



Patkowski w Ministerstwie Finansów odpowiada za finanse publiczne i politykę makroekonomiczną. Od człowieka na takim stanowisku należałoby wymagać czegoś więcej niż tylko bycia propagandystą rządu, którego politycy próbowali wmówić Polakom, że pandemia nie

była dla nich katastrofą. Jej skutki były i są opłakane w dłuższej perspektywie. Ale i wówczas wydatki wielu osób wzrosły. Dzieci nie chodziły do szkół, więc tysiące z nich nie mogły skorzystać z tanich lub nawet darmowych posiłków. Dla wielu gospodarstw domowych zamknięcie w domach wiązało się z koniecznością kupienia nowego komputera, by dzieci mogły uczestniczyć w zajęciach lekcyjnych. Towary w sklepach stały się trudniej dostępne, a przez to droższe. A to tylko skutki z wiosny 2020 r. Długofalowe były znacznie poważniejsze: wpompowanie do firm dziesiątków miliardów złotych napędziło inflację. Nastroje konsumentów poleciały na łeb na szyję. Drożyzna sprawiła, że Polacy zaczęli rezygnować z coraz większej liczby wydatków. Ci, którzy mają kredyty hipoteczne, nagle z miesiąca na miesiąc musieli płacić nawet dwa razy więcej za swoje zobowiązania, bo Rada Polityki Pieniężnej, chcąc hamować inflację, podnosiła stopy procentowe.

I tylko optymizm ministra Patkowskiego nie zmałał. On zaczął nawet zarabiać więcej, bo rząd wyznaczył go jako swojego reprezentanta do rady dyrektorów Europejskiego Banku Inwestycyjnego, gdzie za każdy dzień pracy dostaje się, bagatela, 600 euro plus zwrot kosztów (to dodatkowa praca). Nic dziwnego, że stać go było na wyprawienie hucznego wesela w modnej restauracji w pobliżu Starego Miasta w Warszawie. Z pewnością, według swojej własnej definicji, mieści się w pojęciu „klasy wyższej”. Zdaniem Patkowskiego to wszyscy ci, którzy zarabiają powyżej 10 tys. zł brutto miesięcznie. Z kolei klasa średnia według niego to ci, którzy rok temu zarabiali co najmniej 4000 zł brutto. Ta wypowiedź wzbudziła kontrowersje nie mniejsze niż bogacenie się Polaków na pandemii. Wszystko przez to, że 4000 zł to było niewiele więcej, niż wynosi płaca... minimalna w Polsce. Od tego poziomu do klasy średniej jeszcze daleka droga.■

Działacze PiS finansowali kampanię wyborczą ze środków PCK

Kampania wyborcza byłej już minister edukacji i europosłanki PiS Anny Zalewskiej była współfinansowana z pieniędzy, które lokalni działacze PiS ukradli z Polskiego Czerwonego Krzyża. Prokuratorzy bali się badać jej wątek w śledztwie, ale dowody w sprawie są tak mocne, że cała plejada działaczy PiS siedzi na ławie oskarżonych!

O wyczynach współpracowników Zalewskiej rozpisywały się największe media na świecie, łącznie z „New York Times” i „Washington Post”. Nic dziwnego, Czerwony Krzyż to organizacja znana wszędzie. I wiele osób oraz instytucji wpłaca na nią pieniądze. Nikt nie słyszał, by ją okradać. Aż do tego razu...

Śledczy ustalili, a „Gazeta Wyborcza” opisuje, że w dolnośląskim PCK dało się **kraść**⁽³⁾ na trzy sposoby. Z kontenerów, do których ludzie oddawali odzież dla potrzebujących, pracownicy i kierownictwo PCK ją wyciągali i sprzedawali w zaprzyjaźnionych firmach i lumpeksach. Były poseł PiS i wieloletni szef wrocławskich struktur tej partii Piotr B. miał zarobić na tym procederze 126 tys. zł.



**Anna Zalewska udaje,
że jej ta sprawa nie dotyczy,
a oskarżeni to jej ludzie!**

Po drugie, wyciągając pieniądze na założoną przez ówczesnego prezesa dolnośląskiego PCK (także działacza PiS) Rafała Holanowskiego fundację Supra. Wreszcie poprzez sieć zarejestrowanych na szeregowych pracowników PCK spółek, których zakładanie nakazywał im dy-

rektor oddziału Jerzy G., wówczas radny dolnośląskiego sejmiku z klubu PiS i jeden z najbliższych współpracowników Anny Zalewskiej, dziś eurodeputowanej, a w latach 2015–2019 minister edukacji w rządzie PiS.

Lista zarzutów dla zarządzających dolnośląskim oddziałem PCK członków PiS liczy aż 196 stron. Chodzi w sumie o niemal 3 mln zł! Mózg operacji, czyli wspomniany Jerzy G. (od 20 lat Zalewska rekomendowała go w wielu miejscach) został już wcześniej skazany za udział w wyprowadzeniu z nieistniejącej już Południowo-Zachodniej SKOK aż 168 mln zł.

Sprawą okradania PCK zajmuje się już sąd. Ale śledczy skutecznie unikali zajęcia się wątkiem przeznaczenia części ukradzionych pieniędzy na kampanię wyborczą PiS! A śledczy ustalili, że były poseł Piotr B. przyjął od innego z oskarżonych – Bartłomieja Ł.-T. pieniądze pochodzące z okradania PCK i sfinansował z nich swoje materiały wyborcze. Ł.-T. zeznał też, że przelewał środki na fundusz Zalewskiej. I śledczy znaleźli potwierdzenie tych słów w aktach Państwowej Komisji Wyborczej. Łukasz Apolenis, szef PiS w powiecie świdnickim, a przez lata asystent byłej już minister edukacji, przyznał, że Zalewska wiedziała, od kogo pochodzą wpłacane na jej kampanię pieniądze.

Co więcej, gdy księgowa oddziału PCK zeznała przed prokuratorem, że „Ł.-T. powiedział, że dawał pieniądze na kampanię Anny Zalewskiej”, Jerzy G. zrobił jej awanturę. „On nie zarzucał mi kłamstwa, tylko mi kazał o tym nie mówić, bo to jest tajemnica” – zeznała. Lokalne media opisywały, jak prokuratorzy robili wszystko, by się tym wątkiem nie zajmować.

Inna sprawa, że nie zajęli się też doniesieniem samej Zalewskiej. Europosłanka chciała ścigać dziennikarzy z art. 212 kk za łączenie jej z aferą w PCK. Śledztwo w tej sprawie zostało przez prokuratorów z Jeleniej Góry umorzone „wobec stwierdzenia, że czyn jest ścigany z oskarżenia prywatnego, a brak jest uzasadnionego interesu społecznego w objęciu go ściganiem z urzędu”. Wcześniej Zalewska w podobnej sprawie pozwała Grzegorza Schetynę. Przegrała.■

Wańka-wstańka z serca układu wrocławskiego

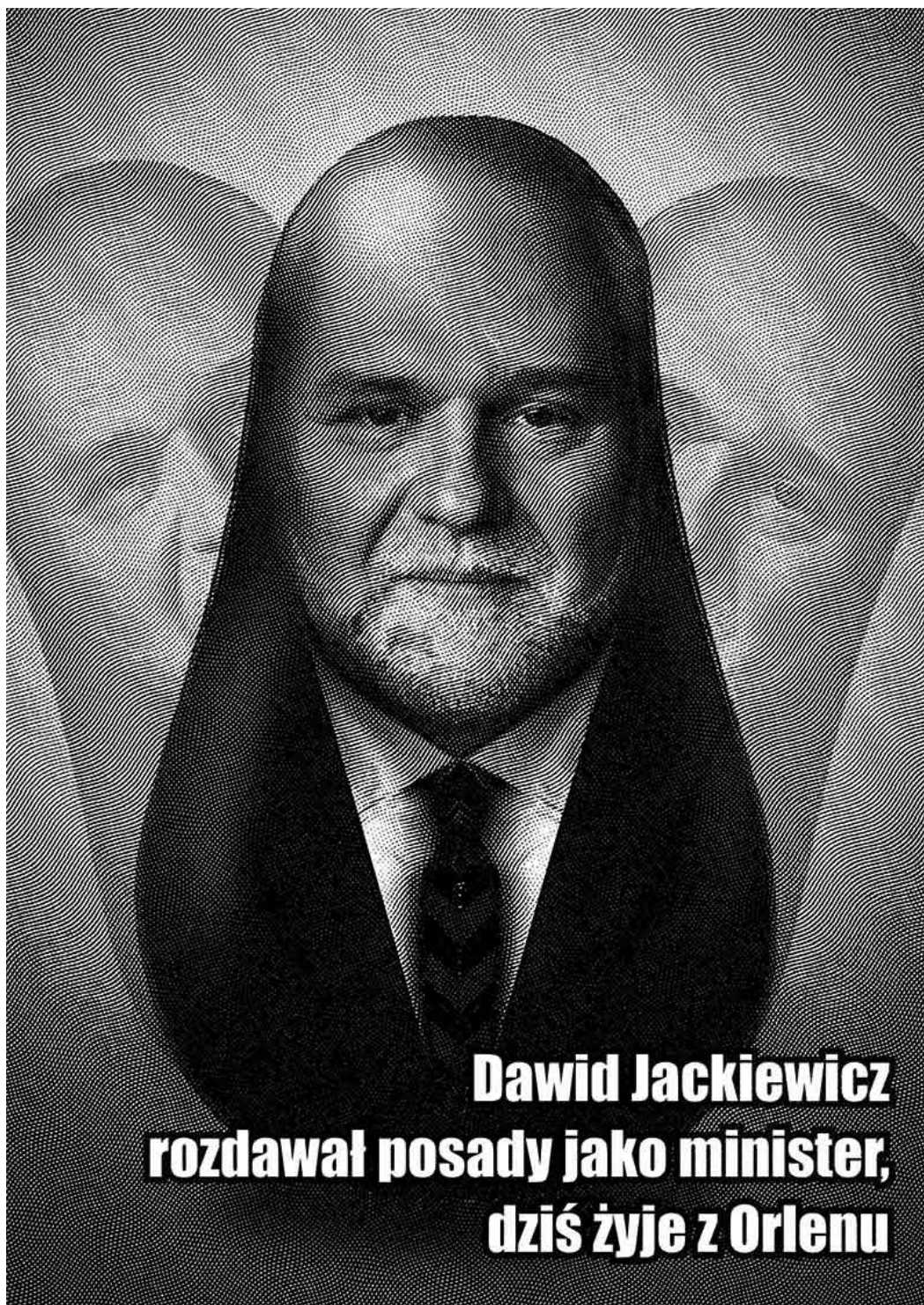
Dzisiaj zajmuje się budową tzw. małego atomu z Orlenem. Pracował dla GetBacku, który zostawił na lodzie tysiące ludzi – stracili setki milionów złotych. Jednak najbardziej znana jest historia, gdy jako minister skarbu w rządzie PiS znalazł się pod lupą CBA. Akcję służb spalił przeciek. A Dawida Jackiewicza rozgrzeszy, a jakże, Jarosław Kaczyński.

Już wydawało się, że przepadł na dobre, gdy w lutym 2022 r. głos w jego sprawie zabrał Jarosław Kaczyński. – W ramach Orlenu ma powstać nowa spółka córka, która zajmie się energetyką atomową. Są już przymiarki do kierownictwa. Do zarządu wrócą też ludzie, którzy przez jakiś czas na skutek różnego rodzaju nieporozumień byli odsunięci. Dawid Jackiewicz między innymi tam ma być. To właśnie jedna z tych osób, które przez jakiś czas funkcjonowały poza, ale bardzo energiczny i sprawny – powiedział na antenie Polskiego Radia 24 prezes PiS.

Jakie „różnego rodzaju nieporozumienia” miał na myśli Kaczyński? Najpewniej chodzi o lata 2016–2017 i najpierw czas ministrowania Jackiewicza, a potem jego aktywność pozapolityczną. Ale po kolei.

Po wyborach w 2015 r. Jackiewicz został ministrem skarbu. Od razu dla wszystkich w PiS było oczywiste, co się wydarzy. Koledzy jego i Adama Hofmana objęli rządy w największych spółkach Skarbu Państwa. Jackiewicza i Hofmana łączy znajomość od 20 lat. Gdy w 2002 r. niespełna 30-letni Jackiewicz został wiceprezydentem Wrocławia, Hofman był jego asystentem. Razem budowali struktury PiS na

Dolnym Śląsku. Teraz budują swój układ w spółkach ramię w ramię z ministrem sprawiedliwości Zbigniewem Ziobrą. Znajomi Jackiewicza i Hofmana wchodzi do zarządów i rad nadzorczych Grupy Azoty, KGHM, PLL LOT, Totalizatora Sportowego, Tauronu czy Energi. Tam, gdzie prezesem spółki zostaje człowiek ministra sprawiedliwości, do zarządu dołącza też osoba rekomendowana przez Jackiewicza i Hofmana. I odwrotnie. Wszystko po latach opisze Jacek Harłukowicz – najpierw w „Gazecie Wyborczej”, a potem w Onet.pl. To on dotarł do raportu CBA z operacji Argon.



Gdy robi się głośno o tym, jak działa układ Jackiewicza i Hofmana w spółkach, CBA zaczyna ich śledzić. Niemal pół roku później operacja nagle napotyka na problemy. Obserwowany przez CBA Jackiewicz zaczął zachowywać się nietypowo jak na ministra. Kupił kilka telefonicz-

nych kart pre-paid, które utrudniały namierzenie właściciela numeru (wówczas nie było jeszcze wymogu rejestrowania numeru z dowodem osobistym). Powodem takiego działania jest przeciek z CBA. Jak opisuje Harłukowicz, ktoś zauważa, że dziwne zachowanie „figurantów” zbiegło się z awansem Piotra S. To wieloletni znajomy Roberta Pietryszyna (wspólnik Hofmana, wcześniej prezes Lotosu). Razem studiowali. S. pracuje w CBA, a po wyborach został naczelnikiem jednego z wydziałów delegatury CBA we Wrocławiu. Operacja spaliła na panewce, ale Jackiewicz traci stanowisko. Zaraz po nim z Lotosem żegna się Pietryszyn, odchodzi wielu innych prezesów.

Niedługo potem Jackiewicz zaczyna pracować jako doradca spółki GetBack. Prezesowi firmy Konradowi K. załatwia spotkania z politykami PiS i przedstawicielami rządu. Potem znów znika, by odnaleźć się w Unipetrolu należącym do Orlenu. Teraz ma budować „mały atom”. O „drobnych nieporozumieniach” chyba nikt już nie chce w PiS pamiętać. ■

Poseł, który kręcił biznes na cierpieniu dzieci

Łukasz Mejza jeszcze jesienią 2021 r. był nikomu nieznanym posłem niezrzeszonym. Najpierw stał się znany, bo był posłem brakującym PiS do większości w Sejmie. A niedługo potem Wirtualna Polska ujawniła, że w czasie pandemii poseł wymyślił „biznes”. Polegał on na mamieniu schorowanych seniorów oraz rodziców ciężko chorych dzieci, że istnieje terapia, która ich wyleczy.

Vinci NeoClinic wystartowała 17 lipca 2020 r. 2 miesiące później powstał pierwszy folder skierowany do pacjentów cierpiących na choroby neurologiczne. Już dwa tygodnie później firma Łukasza Mejzy oferowała leczenie nowotworów. W końcu października foldery firmy oferowały już seniorom m.in. regenerację mózgu, poprawę sprawności seksualnej, redukcję blizn oraz wydłużenie długości i jakości życia „nawet o 14 proc.”. Wszystko to miały zagwarantować „pluripotencjalne komórki macierzyste”. Cena: 80 tys. dolarów, a w cenie przelot do San Diego, transport na miejscu do kliniki, opiekun, noclegi oraz sama terapia polegająca na wlewach dożylnych.

Zapytani przez Wirtualną Polskę eksperci **nie**⁽³⁾ zostawiają suchej nitki na tej eksperymentalnej metodzie. Przyznają, że komórki macierzyste mają ogromny potencjał, ale nie ma żadnych dowodów naukowych, że dzięki nim leczy się różne choroby, a takie zabiegi mogą być wręcz niebezpieczne dla pacjenta.



W firmie Mejzy żadnych ekspertów czy lekarzy nie było. Szybko okazało się, że na seniorach trudno zrobić biznes. Lepiej spróbować z dziećmi. Tym bardziej, że ich rodzice przez różne stowarzyszenia prowadzą w internecie zbiórki pieniędzy. Współpracownicy Mejzy opowia-

dali dziennikarzom, jak wylapywali je na Facebooku i obdzwaniali rodziców. Wysyłali tysiące wiadomości. W naganianiu ofiar miała pomóc siatka 21 stowarzyszeń, które w 2 miesiące zarejestrowali asystenci społeczni Mejzy. Zamysł był taki, by rodzice przekazywali prawa do prowadzenia zbiórek. Jednak biznes nie wypalił. – Chorych przestaliśmy szukać chyba jakoś w lutym. Przyszedł któryś z chłopaków od Łukasza i powiedział, że teraz przerzucamy się na fotowoltaikę – wspomina były pracownik firmy Mejzy.

W sprawie Mejzy trwają przynajmniej dwa śledztwa. W każdym z nich prokuratorzy gromadzą materiały dokumentujące jego biznesową działalność. Jedno jest w sprawie organizowania szkoleń za unijne pieniądze. Drugie właśnie w sprawie firmy medycznej, która miała wysyłać chorych na leczenie za ocean. Z rozmów dziennikarzy z osobami, które były już przesłuchiwane, wynika, że prokuratorzy są doskonale zorientowani w działalności Mejzy, szczegółowo dopytują o konkretne zdarzenia i procedury. Cały czas gromadzą dowody obciążające działalność posła.

Pod koniec 2022 r. Mejza oskarżył autora publikacji o zniesławienie. Sprawa dotyczy jednak wpisów na Twitterze, a nie publikacji, które doprowadziły do jego dymisji z funkcji wiceministra sportu. Mejza przekonywał wówczas wszystkich, że padł ofiarą „najbardziej brutalnego ataku medialnego w historii III RP”. Po publikacjach zapowiadał pozwy – przeciwko redakcji oraz dziennikarzom podpisanym pod tekstami. Do dziś nie złożył jednak żadnego...■

Senator PiS uznał, że kto miał pozwolenie na broń, ten musiał być ubekiem

PiS od zawsze chce uchodzić za partię, której bliski jest lud⁽¹⁾, a już szczególnie przyjazną wsi. Kiedy jednak coś im nie idzie, zawsze muszą znaleźć się winni. Najczęściej wystarczy powiedzieć, że to „wina Tuska”. Tylko że rolnicy takich bajek nie kupują. Dla nich PiS ma zawsze innych winowajców. Albo Putina, albo Unię Europejską, albo zachodnie sieci handlowe. A senator Jacek Bogucki jako wroga wskazał między innymi myśliwych.

Senator Jacek Bogucki, ten sam, który niedawno zasłynął określeniem, że Donald Tusk ma „hitlerowską twarz”, był wiceministrem rolnictwa w czasach, gdy rząd PiS przez kilka lat nieudolnie walczył z ASF, czyli afrykańskim pomorem świń. Błędem rządu winni byli wszyscy, tylko nie rządzący. Kiedy więc Bogucki przemawiał w Sejmie, najpierw przejechał się po mediach, że tworzą atmosferę paniki. Potem po opozycji, nazywając ją „świńską”. Wreszcie, co ujawnił „Fakt”, jako winnych wskazał myśliwych.

– Gdybyśmy mieli łowiectwo zmilitaryzowane, w mundurach, wysłalibyśmy je, by wystrzelało wszystkie dziki. Łowiectwo polskie jest ochotnicze. Jest poubeckie! No bo przecież ubowcy byli myśliwymi za komuny, bo normalny człowiek nie dostał pozwolenia na broń! – mówił.

Mimo głosów oburzenia na sali, brnął dalej. Twierdził, że po wojnie z myślistwa zrobiono „elitarny sport dla ubowców, no bo przecież trzeba było być albo w ORMO, albo w PZPR, albo w PSL-u, albo w jakiejś innej partii, żeby dostać pozwolenie na broń”. – Po moim dziadku mój ojciec nie mógł zostać myśliwym. Ja też nie jestem myśliwym, bo za komuny nie dostałbym pozwolenia na broń – przekonywał.



**Obraził myśliwych,
którzy ratowali nas
przed dzikami z ASF**

Niedługo potem Bogucki stracił stanowisko w rządzie. – Trzeba na głowę upaść, żeby takie rzeczy opowiadać. Myśliwi to ważna grupa naszego elektoratu! W dodatku mamy ogromny problem z ASF i niezadowolonymi rolnikami, a PSL tylko ręce zaciera – tłumaczył tę decyzję

w „Fakcie” polityk z władz PiS. Czy faktycznie w PiS przejęto się reakcją ludzi, czy zadziałało... wewnętrzne lobby myśliwskie? Na jego czele stoi w PiS jeszcze niedawny wicepremier Henryk Kowalczyk, który jest raptem kilka lat starszy od Boguckiego. Jakim więc cudem jest myśliwym? Jakim cudem był nim nieżyjący już Jan Szyszko, który również wstąpił do koła łowieckiego w czasach komuny?

Myśliwych w Polsce jest ponad 120 tysięcy. Swoje święto obchodzą 3 listopada. Nie jest to żadna PRL-owska rocznica tylko... wspomnienie św. Huberta, który jest patronem myśliwych.■

Tak poseł Andruszkiewicz dorabia do niemałych apanaży polityka

Adam Andruszkiewicz wszedł do Sejmu w grupie Pawła Kukiza, który przez lata opowiadał, że do polityki nie idzie dla pieniędzy. Gdy jednak PiS zaczął kupować sobie większość sejmową, na lep rządowych fuch złapali się właśnie Andruszkiewicz i koledzy. Nic zaskakującego, skoro polityk od pierwszych chwil na Wiejskiej pokazał, co się dla niego liczy.

Zanim Andruszkiewicz został wiceministrem w rządzie (powierzono mu pieczę nad cyfryzacją, choć nigdy wcześniej nie zajmował się tym obszarem), zasłynął z pobierania w Sejmie ogromnych pieniędzy z tytułu tzw. kilometrówki. Jednym z przywilejów parlamentarzysty jest możliwość zwrotu kosztów przejazdu prywatnym samochodem po kraju, o ile te podróże związane były z wykonywaniem mandatu. Rozliczając przejazdy, posłowie muszą podać jedynie kwotę wynikającą z przemnożenia dwóch liczb: faktycznie przejechanych kilometrów w okresie objętym rozliczeniem (miesięczny limit przejazdów to 3500 km) i obowiązującej stawki za 1 km przebiegu. Mimo wielu publikacji prasowych od lat nie doprecyzowano tych przepisów. Nie trzeba wpisywać, jakim samochodem się jeździło, a urzędnicy nie weryfikują nawet, czy poseł bądź senator faktycznie posiadają uprawnienia do kierowania pojazdem. Nie ma też mowy o sprawdzaniu, czy faktycznie były to obowiązki służbowe, a nie np. kampania wyborcza czy imieniny cioci.



Andruszkiewicz po wejściu do Sejmu szybko się zorientował, że na tym przywileju można nieźle dorobić do uposażenia i diety posła. W sumie w trzech pierwszych latach spędzonych przy Wiejskiej wziął z sejmowej kasy niemal 90 tys. zł! – donosi „Super Express”. W 2016 r. wziął na paliwo z publicznej kasy 35 542,38 zł, rok później 27 907,34 zł, a w ko-

lejnym roku 24 463,85 zł. Nie jest rekordzistą, ale uwagę zwraca co innego. Andruszkiewicz nie ma samochodu. Pewnie pożyczył – ktoś powie. Nic z tego, bo poseł... nie ma prawa jazdy!

– Żeby pobierać ryczałt na paliwo, tak samo jak żeby korzystać z przelotów samolotami, nie ma ustawowego obowiązku, żeby mieć ku temu uprawnienia. Bardzo wielu posłów nie ma prawa jazdy – powiedział Andruszkiewicz. Zrównanie prawa jazdy z byciem pasażerem samolotu ma się jak pięść do nosa, ale posłowi to nie przeszkadza. Podobnie jak rzucanie słów na wiatr. Bo po publikacjach „Super Expressu”, Andruszkiewicz zapowiedział: „Przedstawię wykaz miejsc i kilometrów, które musiałem pokonać, by dostać się na umówione wcześniej spotkania z Polakami”. Minął rok i takiego wykazu nie pokazał. Wtedy w Polsat News tłumaczył się, że wykaz „jest nie do przedstawienia”. – Przez cały rok poseł jeździ wszędzie. Staralem się to wszystko zebrać, ale to jest niemożliwe – stwierdził. Dodał też, że „jeśli wszyscy posłowie będą musieli pisać dokładnie, gdzie są, to niech każdy poseł prowadzi taki kalendarzyk i tak będziemy się zachowywać”. Czyli jak urzędnicy sejmowi nakazą posłom uczciwość, to wtedy będą **uczciwi**⁽⁴⁾? Ciekawe podejście polityka, który ślubował „rzetelnie i sumiennie” wykonywać swoje obowiązki.

Gdy poseł wszedł do rządu, próbował znaleźć nowy sposób na większe zarobki. Jego świeżo poślubiona małżonka Kamila została prezesem rządowej Fundacji Agencji Rozwoju Przemysłu. Jak informowały media, miesięczna pensja na tym stanowisku to 15 tys. zł. Wybuchła afera, bo oczywiście nie miała kompetencji do tej pracy. Stanowisko straciła. Czyli posłowi pozostała kilometrówka... ■

Kaczyński załatwił Danielowi Obajtkowi nietykalność

Klął jak szewc na swojego wuja na ujawnionych taśmach. Powstało o nim chyba więcej tekstów śledczych niż wobec jakiegokolwiek innej postaci obozu PiS przez 8 lat rządzenia. Daniel Obajtek, o którym już lata temu Jarosław Kaczyński mówił, że „wszystko może”, faktycznie udowodnił, że wszystko może. I bez względu na dowody, uchodzi mu to płazem.

„Skur... Ten ch... pierd..., brudna pała. (...) Stary buc, który na emeryturze powinien siedzieć po sześćdziesiątce, a drugi już, k...a, koło siedemdziesiątki ma. (...) Nie damy się, my go i tak weźmiemy. Ch...a trypla” – tak na nagranej taśmie ujawnionej przez „Gazetę Wyborczą” Obajtek – jeszcze jako wójt Pcimia – mówił o swoim wuju, który dał mu kiedyś pierwszą pracę. Taśma ujrzała światło dzienne, gdy Obajtek został prezesem PKN Orlen. Ale w przeciwieństwie do taśm od Sowy, gdy słownictwo stało się przyczyną żądania dymisji ministrów, w tej sprawie PiS żadnych kroków wobec Obajtka nie podjął. Nic dziwnego. Przecież nie po to wcześniej tworzyli dla niego specjalne prawo, by teraz pozbawiać go stanowisk.



**Zamiast siedzieć
z gangsterami,
został prezesem
Orlenu**

Taśmy, oprócz tego, że Obajtek zachowuje się jak gangster, dowodziły, że obecny prezes Orlenu łamał zapisy ustawy o pracownikach samorządowych. Zabrania ona łączenia posady wójta z działalnością w biznesie. Dlaczego prokuratura go za to nie ścigała, mimo że za złamanie tego zakazu grozi do 8 lat więzienia? Dlaczego nie ścigała go za

krzywoprzysięstwo (a Obajtek w sądzie zeznawał, że biznesu się wtedy nie tykał – taśmy potwierdzają, że kłamał)? Odpowiedź daje sam Kaczyński. Nie tak dawno mówił o Obajtku, że ma on „ogromne możliwości, ma niezwykłą determinację i coś takiego, co daje pan Bóg, a co trudno zdefiniować – aurę, która pozwala mu ludzi mobilizować, jednoczyć wokół jakiegoś celu”. W latach rządu PiS tym celem był sam Obajtek i jego kariera.

Choć były wójt Pcimia było o krok od skazania za fikcyjne zakupy granulatu razem z kilkoma gangsterami z półświatka (akt oskarżenia był już w sądzie), po dojściu PiS do władzy rząd specjalnie dla niego wprowadził przepis pozwalający na wycofanie takiego aktu bez żadnego powodu. Prokurator i sędzia, którzy to załatwili dostali szybkie awanse. Agentka CBA, która zbierała przeciw niemu dowody – pracę w Orleniu.

Politycy PiS bronią Obajtkę, pokazując wyniki finansowe Orlenu. Sytuacja z sylwestra 2022 r. najlepiej jednak pokazuje, że sukcesy te zostały osiągnięte kosztem naszych kieszeni. Wówczas z dnia na dzień hurtowa cena PB95 z Orlenu spadła z 5936 zł za metr sześcienny aż o 691 zł, a oleju napędowego z 6895 zł aż o 838 zł! Co za przypadek, od Nowego Roku rosła stawka podatku VAT i dzięki temu manewrowi 1 stycznia 2023 r. Polacy nie musieli na stacjach pomstować na rząd, że znów jest drożej. Tyle że to dowód na to, że Orlen sztucznie zawyżał te ceny! Już kilka miesięcy wcześniej eksperci i opozycja zarzucali koncernowi rządzonemu przez Obajtkę, że utrzymuje swoje marże na bardzo wysokim poziomie. Rzeczniczka zaprzeczała temu, twierdząc, że marża „jedynie odzwierciedla warunki makroekonomiczne”. I co? Z dnia na dzień warunki makroekonomiczne tak się zmieniły, że marża spadła o kilkaset złotych? Jedyne powód to wizerunek rządu, który musiałby wejść w nowy rok z tłumaczeniem się Polakom z nagłego wzrostu cen paliw. A chwilę później pewnie wielu innych artykułów w sklepach. A narrację rządu i Obajtkę podawały dalej media rządowe czy gazety lokalne, które należą... do Orlenu.■

Bohater afery śmieciowej w Bogatyni został nagrodzony posadą w PGE

Jedno z najważniejszych wydarzeń trwającej kampanii wyborczej PiS zorganizowało w Bogatyni. To rzeczywiście wyjątkowe miejsce na mapie Polski. Nie dlatego nawet, że działacze PiS zorganizowali tam przestępczy proceder. Wyjątkowe jest to, że trafili za kratki w czasach rządów własnej partii. Nic dziwnego, bo o wydarzeniach było głośno.

Było ich trzech. Pan burmistrz Andrzej G. z PiS. Przewodniczący Rady Miasta Tomasz T. – także z PiS. I najbardziej znany w tym gronie Sławomir Z. W czasie, gdy doszło do przestępstw w Bogatyni, był członkiem zarządu Gminnego Przedsiębiorstwa Oczyszczania. Ale w PiS był szefem powiatowych struktur w Zgorzelcu. Na stanowiska samorządowe był promowany przez obecną marszałek Sejmu Elżbietę Witek. Był też społecznym asystentem posłanki Marzeny Machałek (która oczywiście potem w ogóle go nie znała).

Zanim o historii Sławomira Z., przybliżmy historię z Bogatyni. Działający w samorządzie układ opisał tygodnik „Polityka” jeszcze w lutym 2017 r., 2 lata przed tym, jak CBŚP na zlecenie prokuratury zatrzymało naszych „bohaterów”. Jak pisali reporterzy, w 2013 r. z różnych stron Polski do Bogatyni przyjeżdżały tiry, zwożąc śmieci na bogatyńskie wysypiska. Śmierdziało po nich tak, że na teren składowisk weszła inspekcja sanitarna. Urzędnicy stwierdzili m.in. zastoisko odcieków z odpa-

dów czy brak systemu odprowadzania wód odciekowych. Najciekawsze było jednak to, że spółka, która je tam składowała... zniknęła. Zostały po niej tylko zwały 40 tys. ton odpadów niewiadomego pochodzenia. Jak ustalono, władze Gminnego Przedsiębiorstwa Oczyszczania – a wśród nich Sławomir Z. – fałszowali dokumentację. W efekcie tych zabiegów na teren składowiska i do miejscowej spalarni trafiało 20 razy więcej odpadów, niż wytwarzano w gminie. Oczywiście nie za darmo. Śledczy ustalili, że do kieszeni panów polityków z miejscowego PiS trafiło za to niemal 5 mln złotych! Po przeszukaniach w ich domach znaleziono sprzęt i kosztowności o wartości prawie 2 mln zł, na które nie mieli potwierdzenia w dochodach.



**Brał łapówki za śmieci
i oferował pracę za seks!**

Choć śledztwo szybko ruszyło, zamieszani w nie działacze wcale nie byli w PiS na cenzurowanym. Sławomir Z. bardzo szybko po wygranych w 2015 r. wyborach został prezesem prestiżowej spółki PGE Górnictwo Konwencjonalne i Energetyka w Bełchatowie. Kiedy skonfliktował się ze

związkami zawodowymi działającymi w tej spółce, odszedł, obejmując funkcję prezesa w PGE Energia Odnawialna. To było raptem kilkanaście tygodni przed zatrzymaniem!

– Miał potężne wsparcie ze strony frakcji Antoniego Macierewicza, był blisko z jego rzecznikiem i szefem gabinetu politycznego, czyli aresztowanym Bartłomiejem M. – tłumaczył tvn24.pl jeden z polityków PiS.

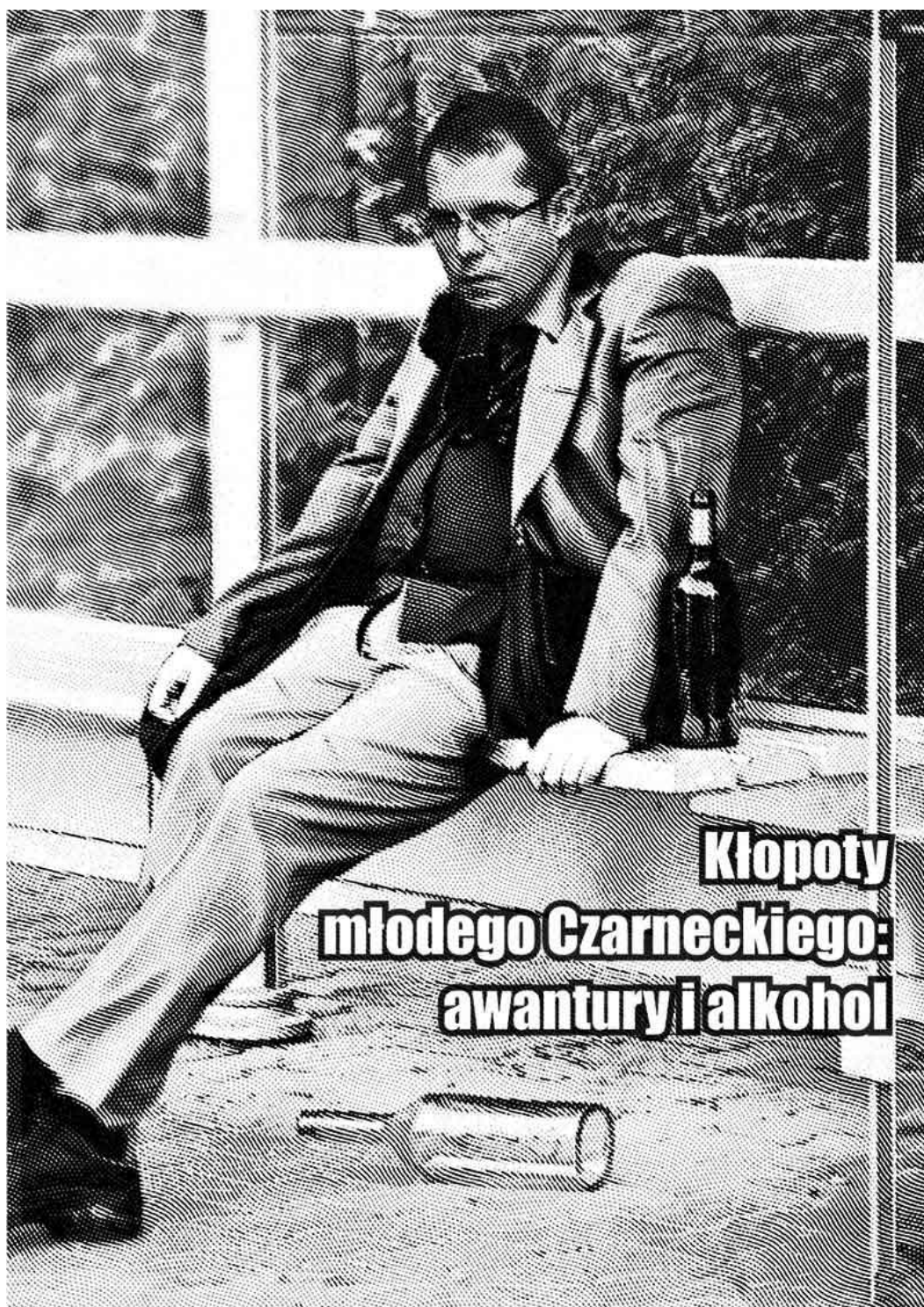
„Gazeta Wyborcza” opisała, że prokuratura prowadzi śledztwo w sprawie oferowania pracy w PGE GiEK za **seks**⁽⁷⁾! Do zdarzenia miało dojść podczas jednej z wizyt Bartłomieja M. w Bełchatowie, u Sławomira Z. Obaj przeprowadzali rekrutację do pracy, będąc pod wpływem alkoholu i – jak opisuje „Gazeta Wyborcza” – jednej z kandydatek proponowali, że dostanie pracę w zamian za to, co w Kodeksie karnym nazywane jest „innymi czynnościami seksualnymi”. Dziewczyna odmówiła, po czym opisała zdarzenie w liście do prezesa PiS. Takie to kadry promuje PiS u władzy...■

Przemysław Czarnecki nie mógł znaleźć miejsca w życiu, więc trafił do Sejmu

Przez lata nie mógł skończyć studiów ani znaleźć pracy. Jak nigdzie sobie nie poradzisz, to w polityce sobie poradzisz. Zwłaszcza, gdy twoim ojcem jest Ryszard Czarnecki (w polityce od zawsze, zaczął w ZChN, potem Samoobrona, a wreszcie PiS). Tak to Przemysław Czarnecki dochrapał się mandatu posła, wiceszefa ważnej komisji i trwa mimo zarzutów i pijaństwa.

Jesień 2022 r. Portal TVN Warszawa podaje informację, że poseł PiS Przemysław Czarnecki trafił w nocy na izbę wytrzeźwień. Ratownicy medyczni znaleźli na przystanku mężczyznę. Spał, bo był pijany. Został przekazany strażnikom miejskim, a ci przetransportowali go do izby wytrzeźwień. Mężczyzna, znany w Sejmie jako „młody Czarnecki”, miał ponad 2 promile alkoholu. Następnego dnia prezes PiS Jarosław Kaczyński zawiesił go w prawach członka partii posła. Skierował też wniosek o wszczęcie postępowania do rzecznika dyscyplinarnego PiS. Ciekawostką jest, że funkcję tę w partii pełni Karol Karski. Ten sam, który przed laty był bohaterem głośnego skandalu w trakcie wizyty delegacji Rady Europy na Cyprze. Wraz z innym partyjnym kolegą, w przypiływie pijackiej euforii, porwali hotelowy meleks i rozbili go. Karski tak wyjaśnia sprawę pijanego Czarneckiego, że jeszcze jej nie wyjaśnił. Nie prze-

szkadza to jednak „zawieszonemu” pełnić dalej funkcji w Sejmie – a jest wiceszefem prestiżowej komisji spraw zagranicznych.



**Kłopoty
młodego Czarneckiego:
awantury i alkohol**

Ciekawostką jest fakt, że w ciągu ostatnich lat nie była to pierwsza głośna sprawa związana z synem Ryszarda Czarneckiego i alkoholem. W sylwestrową noc kończącą 2018 rok, w domu posła bawili się on, jego żona Łucja oraz przyjaciel i ojciec chrzestny ich córki Krzysztof K. W noworoczny poranek poseł miał zejść wyspany na dół i zastać oboje w dwuznacznej sytuacji – jak opisywał „Fakt” w tekście **Krzyki**⁽⁸⁾ *i szarpanina w domu posła PiS*. Doszło do szarpaniny, w czasie której K. został ranny nożem. Interweniowała policja, którą wezwała żona posła, mówiąc, że „mąż grozi pozbawieniem życia”. Był pijany? Ależ skąd! Jako jedyny był trzeźwy. I przekonywał dziennikarzy, że to on zadzwonił po policję i nie wie, jak „mężczyzna rozciął sobie dłoń”. 11 miesięcy później okazało się, że jego wersji nie podzielają śledczy. Prokuratura Okręgowa w Warszawie za pośrednictwem Prokuratora Generalnego skierowała do marszałek Sejmu wnioski o uchylenie immunitetu Czarneckiego. Wniosek dotyczył czynu określonego w art. 157 paragraf 1 Kodeksu karnego. Przepis ten mówi o „naruszeniu czynności narządu ciała lub rozstroju zdrowia”. Grozi za to kara od 3 miesięcy do 5 lat pozbawienia wolności. Czarnecki sam się zrzekł immunitetu.

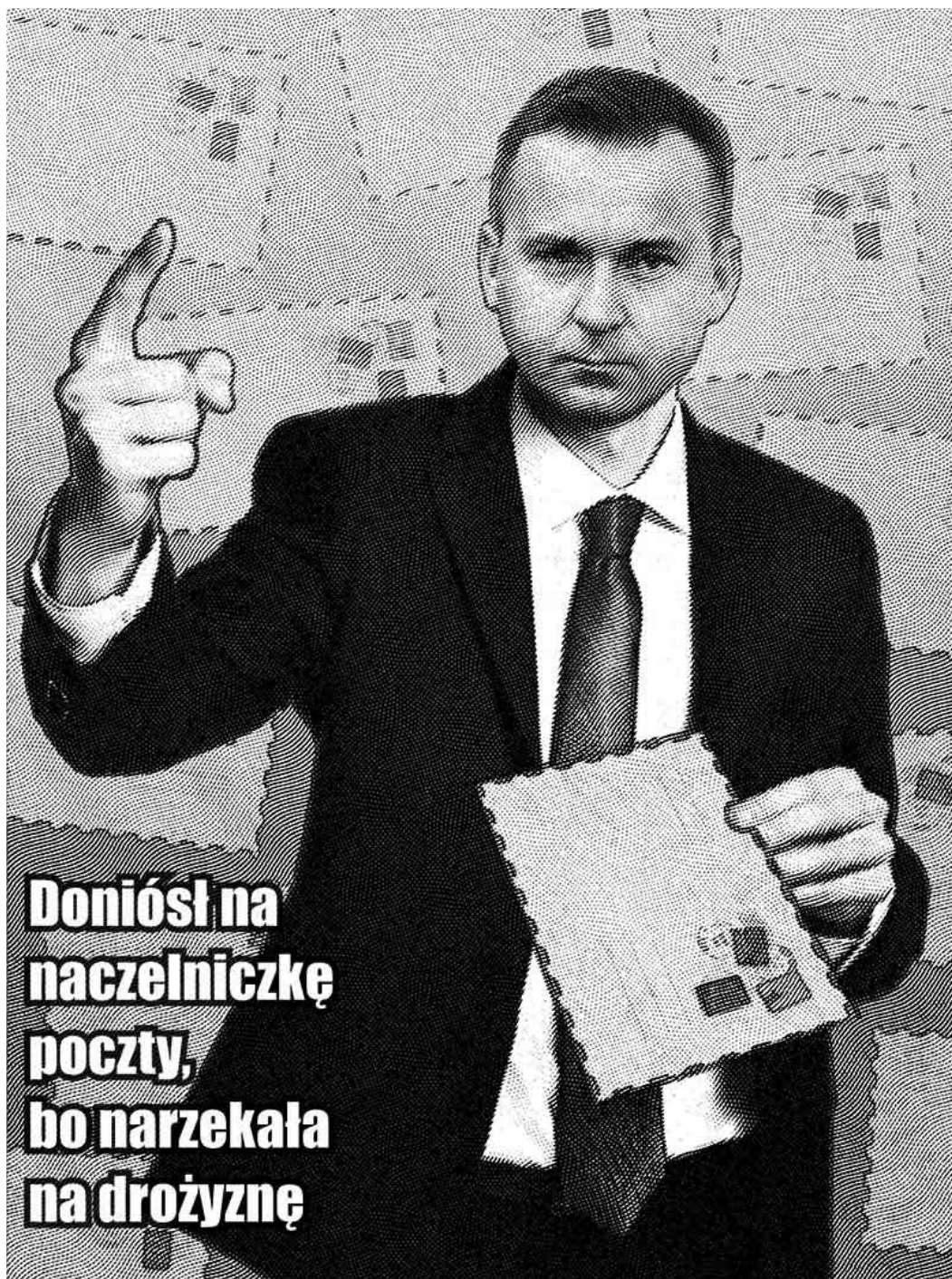
O tym, że istnieje ktoś taki jak Przemysław Czarnecki, świat dowiedział się jeszcze przed feralnym Sylwestrem. Otóż w październiku 2018 r. Onet opisał taśmę nagraną w restauracji Sowa i Przyjaciele, na której ówczesny prezes PKO BP Zbigniew Jagiełło żalił się na naszego bohatera... Mateuszowi Morawieckiemu. Ówczesny prezes banku BZ WBK załatwił pracę synowi Ryszarda Czarneckiego. A Jagiełło tłumaczył, że Przemysław nie chce jej kontynuować. – On oczywiście mówi, że chciałby więcej zarabiać – tłumaczył Morawieckiemu znany tata. A Przemysław Czarnecki tłumaczył potem w TVN24, że on był na stażu, ledwie 2 miesiące. A na staż miał go przyjmować prezes Jagiełło. Brzmiało to równie wiarygodne jak to, że w sylwestra sam wezwał policję.■

Posłowi Cieślakowi spod Kielc władza szybko uderzyła do głowy

Skutki bezpośredniego kontaktu władzy z obywatelami bywają katastrofalne. Przekonała się o tym Agnieszka Głazek, naczelniczka poczty w Pacanowie. Minister Michał Cieślak przyszedł odebrać list, a niedługo potem kobieta straciła pracę!

Pani Agnieszka na poczcie pracuje od ćwierć wieku. Od 2011 r. jest naczelniczką w Pacanowie. Obsłużyła w życiu tysiące mieszkańców, którzy wysłali list, odebrali awizo czy nadali paczkę. Tego jednego klienta zapamięta do końca życia.

Pan Michał w polityce jest od 2014 r. Wstąpił wtedy w szeregi Polski Razem, nowej partii zakładanej m.in. przez Jarosława Gowina. Od 2015 r. jest posłem. Gdy Gowin, wówczas już lider partii o nazwie Porozumienie, ostatecznie sprzeciwił się Jarosławowi Kaczyńskiemu, Cieślak stanął po stronie tych polityków, którzy wybrali miejsca w rządzie, a nie resztki przyzwoitości. Był październik 2020 r. Pan Michał stał się jednym z głównych beneficjentów nowego układu. Dotychczas nie udało mu się być nawet wiceszefem sejmowej komisji. Teraz został ministrem w kancelarii premiera.



7 lat w Sejmie i 20 miesięcy w rządzie – tyle potrzebował Michał Cieslak, by można było powiedzieć, że całkowicie oderwał się od ludzkich spraw, problemów i rzeczywistości. Ujawnił to 3 czerwca 2022 r. około południa na poczcie w Pacanowie. A sprawę opisał w szczegółach portal wyborcza.pl.

Gdy Cieślak pojawił się odebrać list, urzędniczki właśnie dyskutowały o cenach w sklepach, cenie paliwa, wysokości rat kredytów. Nic nadzwyczajnego: to tematy, o których wówczas i dziś dyskutują miliony Polek i Polaków. Gdy pani Agnieszka rozpoznała w petencie lokalnego posła, pożaliła mu się na drożyznę. – Powiedziałam, ile wydaję pieniędzy, kiedy jadę zatankować. A ile ja zarabiam? Trzy tysiące, kiedy spłacę kredyty, zostają mi jakieś grosze na życie. Powiedziałam, że poseł zarabia więcej ode **mnie**⁽²⁾, więc nie zna takich problemów – opowiadała pani Agnieszka dziennikarzowi. Co odpowiedział jej minister? Że nic nie stoi na przeszkodzie, by... sama kandydowała do Sejmu! Miała mu odpowiedzieć, że sobie tego nie wyobraża, bo... nie umie kłamać.

Niedługo po tym, jak Cieślak wyszedł z poczty, do pani Agnieszki zadzwoniono z sekretariatu dyrektora poczty z Kielc. Wezwano ją do natchmiastowego przyjazdu. Dyrektor powiedział jej na miejscu, że zostanie dyscyplinarnie zwolniona, bo „wpłynęła na nią skarga ministerialna i rozmawiała na tematy polityczne z panem Cieślakiem”. – Zarzucił mi, że używałam wulgaryzmów, co nie było prawdą. Tłumaczyłam, że ja niczym nie zawiniłam, po prostu frustracja w człowieku narasta, kiedy wszystko tak drożeje. Usłyszałam, że jest słowo przeciwko słowu, ale i tak wszyscy uwierzą ministrowi, nie mnie – żaliła się dziennikarzowi pani Agnieszka.

Zdaniem Cieślaka, naczelniczka „wykazała się brakiem profesjonalizmu i kultury osobistej oraz szacunku do drugiej osoby”. Rzecznik Poczty Polskiej wyjaśnił, że wpłynęła skarga, pani naczelniczka miała prawo się do niej odnieść. A nadzorujący spółkę w rządzie minister aktywów państwowych Jacek Sasin rzucił dziennikarzom, że skarżyć się każdy może. Prezes PiS tak nie uważał. Wykorzystał sytuację i przymusił Cieślaka do dymisji z rządu. Ale miejsce na liście wyborczej znów znajdzie.■

Jak syn lodziarza został głównym kadrowym ostrołęckiej elektrowni

To jego ludzie zajmowali kluczowe stanowiska w Elektrowni Ostrołęka. Tej samej, której działalność zdaniem Najwyższej Izby Kontroli przyniosła Skarbowi Państwa gigantyczne straty. U posła Arkadiusza Czartoryskiego byli w tej sprawie nawet agenci CBA. Jednak, gdy prezes PiS dał mu świadectwo moralności, sprawa przycichła.

Arkadiusz Czartoryski niemal całe dorosłe życie spędził w polityce. W wieku 32 lat został prezydentem rodzinnej Ostrołęki, potem wicemarszałkiem województwa mazowieckiego, a od 2005 r. nieprzerwanie zasiada w ławach poselskich. Przed laty przyznawał, że jego nazwisko robiło wrażenie na Zachodzie, co pomogło mu ściągnąć na Mazowsze zagranicznych inwestorów. Faktycznie jednak nie ma ono nic wspólnego ze słynnym magnackim rodem. Rodzina posła wywodzi się z Czartorii, wsi między Łomżą a Ostrołęką. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu pisało się je Czartoryjski. A ojciec wiceministra nie ma pałaców, ale... lodziarnię. Czyżby syn zamiast uczyć się od ojca, jak robić pyszne *gelato*, wolał nauczyć się „kręcić lody”?



**To ludzie posła Czartoryskiego
odpowiadają za gigantyczne straty**

We wrześniu 2020 r. funkcjonariusze CBA na zlecenie prokuratury zatrzymali cztery osoby związane z energetyką, w tym byłego prezesa Elektrowni Ostrołęka Edwarda S. To dobry znajomy Czartoryskiego. – W 50-tysięcznym mieście zna się większość osób – bagatelizował poseł

w rozmowie z Tok FM. Agenci CBA weszli z nakazami przeszukania do wielu nieruchomości, w tym do domu posła Czartoryskiego. Z informacji Onetu w prokuraturze wynika, że w trakcie czynności operacyjnych agenci CBA zabezpieczyli wiele dokumentów, także od posła, zgromadzili również wiele nagrań z rozmów głównych podejrzanych, w tym także z udziałem wpływowych lokalnych polityków. A Czartoryski od lat jest tu prawdziwym baronem.

Ostrołęka to co prawda niewielkie miasto, ale dość bogate dzięki istniejącej od lat 50. elektrowni. Z raportu NIK wynika jednak, że na rozbudowie Elektrowni Ostrołęka – a był to sztandarowy projekt PiS – Skarb Państwa stracił co najmniej 1,3 mld zł! Co więcej, w ocenie kontrolerów NIK do tych strat doprowadziły decyzje państwowych spółek i lokalnych polityków PiS. PiS broniło się, że Ostrołęka C upadła przez proekologiczną politykę UE. Dowody mówią co innego – do zarządzania inwestycją zamiast ekspertów trafili lokalni działacze PiS, by napchać kieszenie. A Czartoryski był głównym kadrowym elektrowni.

O Czartoryskim zrobiło się głośno w czerwcu 2021 r., gdy z dwójką posłów opuścił szeregi klubu PiS. Rzeczniczka PiS Anita Czerwińska mówiła wówczas, że poseł za pozostanie w klubie oczekiwał ingerencji w śledztwo. Ponieważ jednak był to moment, w którym realnie rząd Mateusza Morawieckiego stracił większość w Sejmie i groziło to utratą władzy, Jarosław Kaczyński osobiście negocjował z każdym z odchodzących posłów jego powrót na łono „zjednoczonej prawicy”. Także z Czartoryskim. Kilkanaście dni po odejściu, poseł więc... wrócił. A prezes PiS na wspólnej z nim konferencji prasowej... publicznie go przeproszał! Stwierdził, że „wszystko, co czyniono w sprawie Czartoryskiego, było bezpodstawne, zakończyło się stwierdzeniem braku jakichś czynów”. Czartoryski przyznał wtedy, że toczy się przeciwko niemu sprawa, ale jest ona „banalnie śmieszna i banalnie prosta”. Dlaczego więc CBA było u posła? Nikt nie wie. A po słowach prezesa PiS pewnie zrobiono wiele, by nikt nigdy się nie dowiedział...■

Premier wini Błaszczaka, ten generałów, a nasze bezpieczeństwo mają w nosie!

Oczekujemy od rządzących zapewnienia nam poczucia bezpieczeństwa. Nie tylko w sytuacji, gdy 200 km od polskiej granicy trwa wojna, ale w takiej szczególnie. To dlatego sprawa zaginionej rakiety pod Bydgoszczą jest aferą. Bo nieważne, czy szef MON Mariusz Błaszczak wiedział o niej, czy nie wiedział. Ważne, że Polacy nie wiedzieli. A dzisiaj wiedzą.

Rosyjska rakiet spadła w lesie pod wsią Zamość koło Bydgoszczy (ok. 500 km w linii prostej od granicy z Ukrainą) 16 grudnia 2022 r. Dziś wiemy, że Centrum Operacji Powietrznych otrzymało od strony ukraińskiej informację, że obiekt, który może być rakieta, wleci na nasze terytorium. Uruchomiono procedury współpracy sojuszniczej. W powietrze poderwano samoloty, polskie i amerykańskie. A mimo to, jak pół roku później przekonywał szef MON, w sprawozdaniu operacyjnym z tego dnia nie odnotowano naruszenia ani przekroczenia przestrzeni powietrznej RP. Rakiety zaczęto szukać trzy dni później. Zwłokę tłumaczono złą pogodą. Dobra odpowiedź dla wroga: jak chcecie atakować, to uderzcie, gdy będzie plucha i mgła.



O niczym byśmy się nie dowiedzieli, gdyby nie przypadkowa kobieta jadąca konno, która znalazła raketę pod koniec kwietnia. Od tego dnia służby zabezpieczyły teren w lesie. 2 dni później MON poinformował, że znaleziono szczątki niezidentyfikowanego obiektu wojskowego, ale sytuacja nie zagraża bezpieczeństwu mieszkańców okolic Zamościa.

O tym, że nie rakietą, ale działania państwa zagrażają bezpieczeństwu wszystkich mieszkańców Polski dowiedzieliśmy się po kolejnych kilkunastu dniach.

Premier Mateusz Morawiecki zapytany o raketę przyznał, że przed 27 kwietnia nie miał żadnej informacji o tym, że coś wleciało na polskie terytorium. MSZ próbowało tłumaczyć słowa szefa rządu, że oczywiście premier wiedział, gdy to się stało, ale takich niepotwierdzonych informacji nie przekazuje się opinii publicznej. Premier jednak uznał, że lepiej wypadnie w oczach Polaków, twierdząc, że nic nie wiedział. Wszystkie oczy zostały skierowane na Błaszczaka. A ten... zwał winę na dowódców, sugerując, że też nie wiedział o zdarzeniu. Niedługo potem okazało się, że i prezydent Andrzej Duda, czyli zwierzchnik Sił Zbrojnych RP, dowiedział się o zdarzeniu pod koniec kwietnia. Wziął jednak w obronę generałów, dając do zrozumienia, że wini za to MON. Czyli przyznając, że Błaszczak wiedział. I nie powiedział.

Dlaczego do tego doszło? **Wystarczy**⁽³⁾ przypomnieć sobie wydarzenia z drugiej połowy grudnia 2022 r., by poznać odpowiedź na to pytanie. Polacy szykują się do świąt Bożego Narodzenia, najdroższych w ich życiu przez szalejącą inflację. Pojawiają się coraz częściej wątpliwości, czy rząd zrobił wszystko, by zadbać o bezpieczeństwo naszych portfeli. Ale dopiero co prezes NBP Adam Glapiński przekonywał nas, że zamiast słuchać „alarmistycznych informacji, to warto samemu pójść do sklepu”. I że on tak zrobił. – Wbrew niektórym stacjom telewizyjnym cena chleba jest o wiele niższa, niż się informuje – stwierdził Glapiński. No a parę dni później, o czym w innej historii w tej broszurze, szef policji wypalił sobie w gabinecie granatnikiem. Bo myślał, że to atrapa. Gdyby dołożyć do tego rosyjską raketę, temat przy wigilijnym stole mógłby być tylko jeden. A to była ostatnia Wigilia przed wyborami...■

Zadziwiająca historia tzw. prezes Trybunału Konstytucyjnego

Jarosław Kaczyński nazwał ją swoim „odkryciem towarzyskim”, choć wystarczyło, by poprzedni prezes Trybunału Konstytucyjnego porozmawiał w Sejmie z posłami PO, żeby uznać go za partyjnego sędziego. Julia Przyłębska – przeciętna sędzia z Poznania – została jedną z najważniejszych osób w państwie, bo tak chciał Kaczyński.

Jako magister prawa egzamin sędziowski zdała „na trójkę”. „Brak stabilności orzecznictwa”, „przeterminowanie uzasadnień”, „wysoka absencja w pracy”, „Jej powrót do orzekania byłby niekorzystny dla wymiaru sprawiedliwości” – brzmiała opinia Kolegium Sędziów z Poznania, gdy w 2001 r. chciała wrócić do zawodu sędziego. Miała przerwę, bo jej mąż Andrzej robił karierę w dyplomacji. Mieszkali w Wiedniu, a potem w Berlinie, gdzie Przyłębski w latach 1996—2001 był attaché kulturalnym polskiej ambasady. Ponieważ nie została sędzią, znów wyjechała do Berlina. Tym razem ona pracowała w ambasadzie. Do pracy w sądzie wróciła w 2007 r. decyzją prezydenta Lecha Kaczyńskiego.



**„Trybunał Julii Przyłębskiej”:
wyroki, rauty
i pierogi na zamówienie**

Jej mąż jest zresztą podejrzewany o bycie tajnym współpracownikiem SB, ale Instytut Pamięci Narodowej zależny od PiS uznał, że nie zapyta o tę sprawę sądu. Skąd taki wyjątek? Przyłębscy zapracowali na swoją karierę pod rządami PiS w 2010 r., gdy powstał Akademicki Klub Oby-

watelski im. Lecha Kaczyńskiego. W imieniu Klubu Przyłębski rozdał kilka orderów. Dostał go m.in. Jarosław Kaczyński.

Na początku grudnia 2015 klub PiS zgłosił ją na sędziego Trybunału Konstytucyjnego na miejsce, na które Sejm przed upływem poprzedniej kadencji wybrał już Andrzeja Sokalę. Jednak po zdobyciu większości przez PiS kolejny Sejm podjął uchwałę „w sprawie stwierdzenia braku mocy prawnej” uchwały o wyborze Sokali. Prezydent Andrzej Duda odebrał ślubowanie od Przyłębskiej, a od Sokali nie. Jest więc nazywana „sędzią dublerką”. Rok później została prezesem TK. I choć 20 grudnia 2022 r. zakończyła się jej ustawowa, 6-letnia kadencja, uważa, że prezesowanie należy jej się do końca jej pobytu w Trybunale, czyli aż do 9 grudnia 2024 r.

Determinacja Przyłębskiej, ale i całego PiS, w utrzymaniu przez nią tej posady ma dwie podstawy. Pierwsza to taka, że są dowody, że zarówno kształt agendy Trybunału, jak i jego wyroki Przyłębska albo uzgadnia z władzami PiS (prezesem Kaczyńskim lub premierem), albo w wybitny sposób odczytuje ich cele. Poszlaki wskazują, że nie mamy do czynienia z nadzwyczajną intuicją, ale regularnymi kontaktami. Furtka w płocie, który dzieli kancelarię premiera i budynek TK od kilku lat jest otwarta. A Kaczyński, Morawiecki (i grupa młodych polityków mu bliskich) czy szef MON Mariusz Błaszczak są regularnymi gośćmi w mieszkaniu Przyłębskiej. Legendą obrosły pierogi, które dla nich gotuje. Trybunał wynajmuje dla pani prezes luksusowy apartament w pobliżu. I to mimo że od niedawna Przyłębska jest właścicielką rezydencji z basenem raptem 25 kilometrów od centrum Warszawy. Mieszkanie służbowe przysługuje sędziom, którzy nie mieszkają w Warszawie. Być może właśnie dlatego Przyłębska długo próbowała utajnić swoje oświadczenie majątkowe. Ma w tym doświadczenie, bo prace jej Trybunału też są praktycznie tajne. Oczywiście nie dla władz PiS. Taki to mamy „trójpodział władz”.■

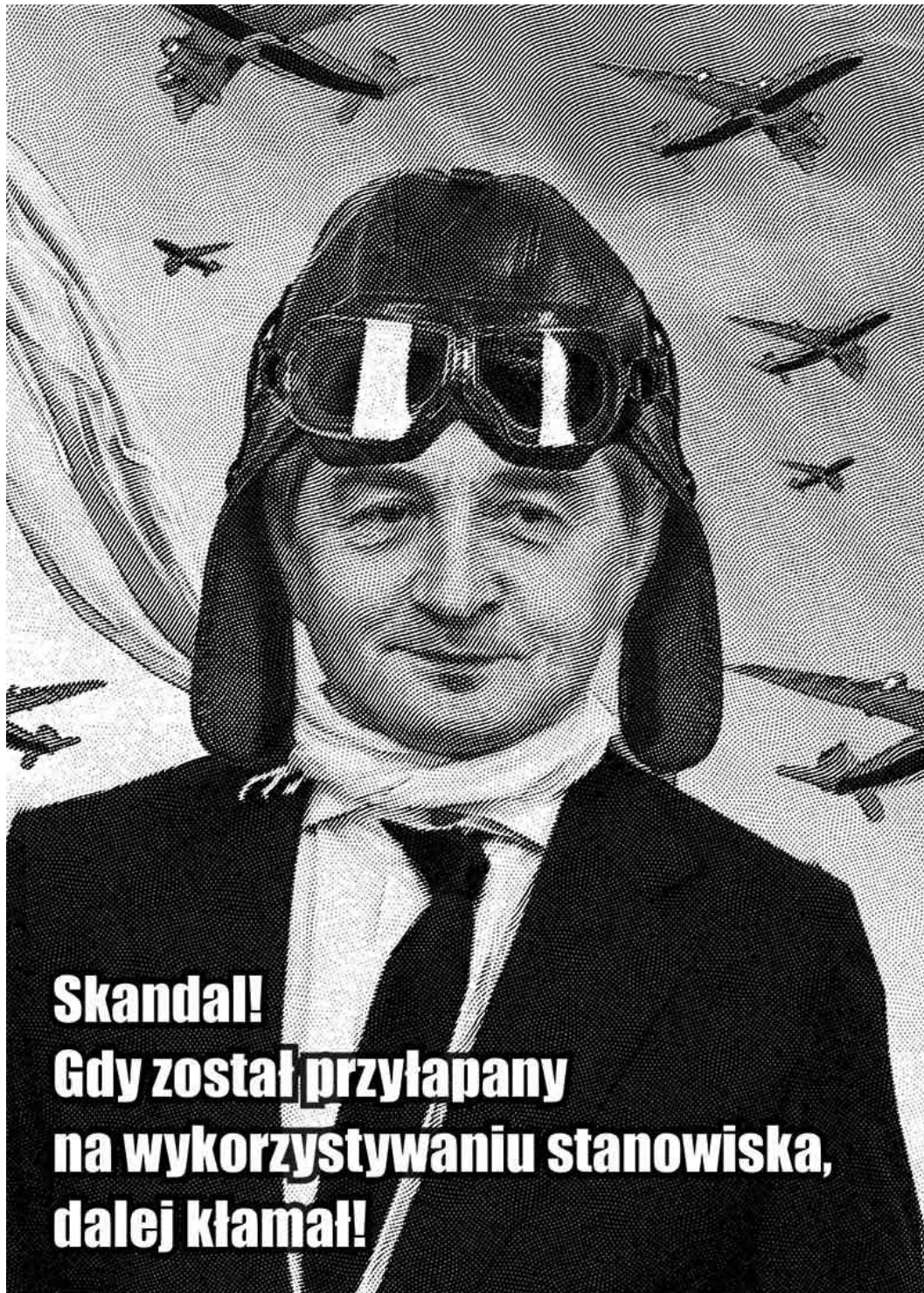
Odlot marszałka, czyli jak Kuchciński latał do domu za nasze

Podróż z Warszawy do Rzeszowa to jakieś 3–4 godziny za kółkiem. Oczywiście, mogą być korki, i – co ważne – trzeba zapłacić za paliwo. I to niemało, szczególnie odkąd kosztuje między 6 a 8 zł za litr – tu odpowiednie warknięcie wysyłamy Danielowi Obajtkowi, który nabija kabzę Orlenu kosztem Polaków. Ale nie o nim ten tekst, a o Marku Kuchcińskim. Ten bowiem, będąc marszałkiem, nie tylko nie stał w korkach i nie płacił za paliwo. My za nie płaciliśmy. I to miliony, bo Kuchciński latał... samolotami lub helikopterami!

Od marca 2018 r. do maja 2019 r. marszałek Marek Kuchciński odbył ponad sto podróży z Rzeszowa do Warszawy i z powrotem samolotami, które kosztowały podatników ponad 4 mln zł – wyliczył „Onet” na podstawie dostępnej dokumentacji. Dlaczego dostępnej? Bo nie wiadomo, ile lotów było naprawdę. Gdy dziennikarze ujawnili, że Kuchciński wykorzystuje bycie marszałkiem Sejmu i zamawia sobie samoloty jak taksówki, okazało się, że dokumentacja z większości miesięcy jego marszałkowania została zniszczona – donosi „Rzeczpospolita”.

Koszty podróży marszałka podwyższał fakt, że wszystkie loty miały status HEAD. A takie loty wymagają specjalnego przygotowania lotnisk: zwiększenia ochrony, próbnych lotów, gotowości maszyny zapasowej. Te dodatkowe procedury kosztowały podatników aż 2 mln zł – donosi Onet. Tyle samo latanie Kuchcińskiego. Co więcej, wyliczenia te nie

obejmują takich kosztów jak np. wysłanie samochodu w towarzystwie pracowników Służby Ochrony Państwa samochodami na miejsce lądowania. Funkcjonariusze jechali z Rzeszowa do Warszawy lub z Warszawy do Rzeszowa służbowym autem tylko po to, by... przywitać marszałka na lotnisku.



**Skandal!
Gdy został przyłapany
na wykorzystywaniu stanowiska,
dalej kłamał!**

Kuchciński latał na zmianę trzema maszynami: rządowym samolotem Gulfstream G550, wojskowym samolotem transportowym CASA, a także wojskowym śmigłowcem Sokół. Zazwyczaj podróżował z Warszawy do Rzeszowa lub odwrotnie. Czasem zabierał na pokład kolegę

czy koleżankę z partii – tak zresztą jego luksusy wyszły na jaw. Posłanka Krystyna Wróblewska wrzuciła na swoje media społecznościowe zdjęcie z pokładu gulfstreama. I wybuchła burza. Potem okazało się, że marszałek woził swoje dzieci, córkę Julię i syna Ignacego. Razu pewnego na pokład maszyny z marszałkiem lecącej z Rzeszowa do Warszawy zabrał się europoseł Zdzisław Krasnodębski z żoną. Innym razem były PRL-owski prokurator, a dzisiaj tak zwany sędzia tak zwanego Trybunału Konstytucyjnego Stanisław Piotrowicz z żoną.

Gdy afera wyszła na jaw, wściekł się Jarosław Kaczyński. Ale nie na to, że Kuchciński zrobił sobie prywatny folwark z rządowej floty samolotów. To Kaczyńskiemu nie przeszkadza nigdy. On interweniuje tylko, gdy ujawnienie skandalu zagraża partii oraz gdy jego protegowany go oszuka przy wyjaśnianiu okoliczności. A że Kuchciński sądził, że jego loty nie są rejestrowane, kłamał jak najęty. Nie tylko mediom, w stanowiskach biura prasowego Sejmu, ale i prezesowi. Został odwołany. I co z tego? Nadal jest ważnym politykiem w PiS. Został nawet szefem doradców premiera! Nie zaszkodziły mu też, że jego nazwisko przewijało się w aferze z procederem sprowadzania do domów publicznych na Podkarpaciu nieletnich dziewczyn z Ukrainy.

„Miała być afera, a jest ponad 60 tysięcy głosów” – cynicznie napisał na Twitterze po wyborach w 2019 r. Czy tym razem Polacy znowu mu zaufają?■

Ma wyrok na karku, ale promuje ją premier

Została skazana za oszukiwanie w Sejmie: kamery zarejestrowały, jak głośnie za partyjnego kolegę. Ma zakaz zajmowania stanowisk w administracji publicznej. Małgorzata Zwiercan bez problemu szefuje jednak Ochotniczym Hufcom Pracy, broni jej minister rodziny i pracy, a liczne rządowe instytucje wspierają kongres organizowany przez jej firmę. Czy wszystko dlatego, że tym kolegą był nieżyjący już ojciec premiera?

Zwiercan trafiła do Sejmu dzięki liście Pawła Kukiza. Gdy zagłosowała „na dwie ręce”, odeszła z własnego koła razem z Kornelem Morawieckim. I wprost zaczęła wspierać PiS. W wyborach w 2019 r. już nie poszło jej tak dobrze. Piąty wynik na gdyńskiej liście PiS nie wystarczył, by zdobyła mandat. Jednak, choć jej sprawa była już w sądzie, nie została na lodzie. Premier dał jej posadę eksperta w KPRM. – Nie bardzo wiemy, co będzie robić, coś się jednak wymyśli – mówił wówczas jeden z urzędników kancelarii portalowi tvn24.pl. Gdy rozbita została partia Jarosława Gowina i koalicjanci stracili wpływ na ministerstwo rodziny, poszła wyżej. Została Komendantem Głównym OHP. Organizacja brzmi jak pochodząca z czasów PRL, i tak jest. Jednak faktycznie to znakomite miejsce do zarabiania pieniędzy przez wielu polityków PiS. Pensja w wysokości 20 tys. zł miesięcznie to żadna sztuka, a pracy prawie wcale. Można spokojnie godzić posadę np. z mandatem radnego.



**Małgorzata Zwiercan
znów ma ochotę zostać posłanką.
Na razie rządzi w OHP**

Pani Zwiercan jest lepsza, bo łączy pracę w OHP z dwiema rzeczami. Po pierwsze, z sądowym zakazem zajmowania stanowisk w administracji publicznej. – Dlaczego ciągle jest pani komendantem głównym OHP? Jest prawomocny wyrok, a pani nie ustępuje ze stanowiska? – pytała

niedawno w Sejmie reporterka portalu wyborcza.pl. – Czy znają państwo, jaki jest prawomocny wyrok? – odpowiedziała Zwiercan. I dodała: – Ochotnicze Hufce Pracy nie są administracją rządową, dziękuję. Podobną opinię ma jej przełożona, minister Marlena Małağ. Resort zwrócił się ponoć do sądu o interpretację wydanego wyroku i uznano, że OHP nie jest instytucją. Zakaz zajmowania stanowiska funkcjonariusza publicznego w jednostkach administracji rządowej i samorządowej na okres 2 lat nie obejmuje także mandatu posła. Nic więc dziwnego, że Zwiercan ma ochotę znowu wystartować w wyborach.

Pani komendant swoją pracę w OHP łączy także z działalnością fundacji, która co roku organizuje w Gdyni spotkanie pod nazwą Forum Wizja Rozwoju. Z roku na rok na wydarzenie to przyjeżdża coraz więcej osób z rządu. Wspierają je także instytucje państwowe. A Zwiercan do wspierania zapędziła też OHP. „Co więcej znowu nakazała nam dofinansować kosztem młodzieży swoją inwestycję Forum Wizja Rozwoju w Gdyni w ramach tak zwanych fikcyjnych Targów Pracy. Znowu musimy zaangażować młodzież w jej prywatną inicjatywę. Brakuje nam środków niemal na wszystko, w tym na wyżywienie wychowanków, ale na imprezę promującą ją i premiera Morawieckiego muszą się znaleźć środki” – czytamy w liście przedstawicieli Komend Wojewódzkich OHP, który ujawniło radiozet.pl. Według nieoficjalnych informacji Radia ZET kilkunastu pracowników pomorskiego OHP zajmowało się cateringiem, który przygotowano w ośrodku OHP w Tczewie. Zakupem artykułów spożywczych zajmowało się Centrum Kształcenia i Wychowania OHP w Gołdapi.■

Stowarzyszenie Kobiety Karpat założona była posłanka PiS Krystyna Wróblewska

Wiele stowarzyszeń czy fundacji wykonujących od lat kapitalną pracę dla swoich środowisk lokalnych czy pozostawionych samemu sobie przez państwo grup społecznych za rządów PiS zostało skazanych na wegetację. Odcięto je od wszelkich funduszy. Warunkiem ich dostawania stało się albo składanie hołdu obecnej władzy, albo po prostu członkostwo w PiS!

Stowarzyszenie Kobiety Karpat byłej posłanki PiS Krystyny Wróblewskiej dostało z Narodowego Instytutu Wolności blisko 350 tys. zł. I nie były to pierwsze tak ogromne pieniądze dla tej organizacji. Wcześniej hojnie obdarował je minister Czarnek – lekką ręką przyznając im 280 tysięcy na zorganizowanie wigilijnego spotkania. Sprawę ujawnił tygodnik „Newsweek”.

Organizacja Kobiety Karpat została założona 24 lutego 2022 r. przez znajomą Marka Kuchcińskiego, była posłankę PiS Krystynę Wróblewską. To pani, która przyczyniła się do ujawnienia afery z lotami byłego marszałka publikując swoje zdjęcie z nim wykonane w rządowym Gulfstreamie, najnowszym małym odrzutowcu, który rząd kupił za miliardy.



Stowarzyszenie od wicepremiera Piotra Glińskiego dostało niedawno aż 348 tys. zł na projekt opisany jako „Kobiety Sukcesu w Karpatach”. – Przecież głównym działaniem tego stowarzyszenia jest robienie sobie zdjęć z politykami. To bardziej Stowarzyszenie Żon Karpat. Przedsta-

wiają siebie jako kobiety biznesu, ale to głównie nauczycielki i asystentki posłów – komentował to „Newsweekowi” jeden z polityków związanych z Podkarpaciem.

Organizacją kieruje Wróblewska, która po tym jak w 2019 r. nie dostała się do Sejmu, została dyrektorką Podkarpackiego Zespołu Placówek Wojewódzkich w Rzeszowie oraz weszła do rady nadzorczej spółki Artgos, podlegającej Agencji Rozwoju Przemysłu. Poza nią w organizacji nie brak innych kobiet związanych z PiS. Natalia Atamas-Paniw to żona Andrzeja Paniwa, sekretarza podkarpackiego PiS i ulubienca prezesa Kaczyńskiego, która pracuje jako asystentka europosła Bogdana Rzońcy. W stowarzyszeniu są też szefowa komitetu terenowego PiS w Krośnie Anna Kordys czy radna PiS z sejmiku lubelskiego Magdalena Filipek-Sobczak. Na imprezach organizowanych przez stowarzyszenie często bywa również Dorota Kuchcińska, żona byłego marszałka Sejmu. Działalność wspiera również posłanka PiS Teresa Pamuła z Lubaczowa, która wstawiała się m.in. tym, że podważała legalność uczestnictwa radnych w manifestacjach Strajku Kobiet.

Pieniądze od Glińskiego to nie pierwsza dotacja dla Kobiet Karpat. Jesienią 2020 r. minister edukacji Przemysław Czarnek dał im 280 tys. zł z puli na projekt Międzypokoleniowe Centra Edukacyjne. Projekt Kobiet Karpat nosił nazwę... „Dialog międzypokoleniowy podczas Spotkań Wigilijnych Pod Strzechą”. Szybko się okazało, że w dialogu wzięli udział parlamentarzyści PiS oraz podkarpacka wojewoda Ewa Leniart. Były też występy artystyczne dzieci. Jak to przy wigilii, chciałoby się powiedzieć. Zależne od PiS tzw. publiczne Radio Rzeszów, które opisało inaugurację projektu, postanowiło wykasować artykuł o inauguracji tego projektu. Czyżby się wstydziło? Powinni! Bo takie marnotrawienie publicznych środków to wstyd, gdy tyle organizacji działających na rzecz dobrych spraw jest pomijanych przez rząd przy rozdzielaniu dotacji.■

Rafał Bochenek dobrze wyszedł na „dobrej zmianie”

Jeszcze 10 lat temu był pogodynkiem w regionalnej TVP. Dorał jako konferansjer. Po dojściu PiS do władzy zrobił błyskawiczną karierę i zarobił wielkie pieniądze. I gdy potrzebował, był z PiS, a gdy nie było to konieczne, to do partii nie należał.

Bochenek oprócz tego, że zapowiadał pogodę, dobrze się zapowiadał także w polityce. Uśmiechnięty, sympatyczny, został jedną z twarzy udanej kampanii PiS z 2015 r. Mili i sympatyczni Andrzej Duda z Beatą Szydło jeździli po Polsce i namawiali Polaków do poparcia, a Jarosław Kaczyński ze swoimi pomysłami np. zaostrenia ustawy antyaborcyjnej czy zawłaszczenia sądów i mediów publicznych siedział cicho w swojej willi na warszawskim Żoliborzu. Gdy PiS wygrało wybory, Szydło została premierem, a Bochenek jej rzecznikiem. Niedługo potem zaczął łączyć tę funkcję z mandatem radnego klubu PiS w małopolskim sejmiku. Przyszedł jednak dzień, w którym Szydło przestała być szefem rządu, a jej ludzie zostali zmuszeni do odejścia z kancelarii premiera.



Bochenek nie został jednak na lodzie. Znalazła się dla niego posada w PGNiG, jednej z największych spółek Skarbu Państwa. Został tam dyrektorem marketingu. Co z tego, że nigdy w życiu nie pracował nawet jako stażysta w podobnej branży? Najważniejsze, że – jak ujawnił wów-

czas dziennik „Fakt” – pensje na takim stanowisku sięgają 20–30 tys. zł. Tu jednak pojawia się kłopot. Bo niedługo wcześniej władze PiS przyjęły uchwałę, według której radny musi wybrać: albo zarabia więcej niż 15 tys. zł brutto, albo mandat. Jak wybrnął z tego były rzecznik rządu? – Formalnie nie jestem członkiem PiS – powiedział „Faktowi”.

Dzisiaj Bochenek jest rzecznikiem partii, do której ponoć nie należy. Od pierwszych dni tegorocznej kampanii jest też w sztabie wyborczym PiS. Niemal codziennie ruga na konferencjach prasowych dziennikarzy wolnych mediów i opozycję. Aktywnie uczestniczy też w powstawaniu materiałów wychodzących ze sztabu. Także w okrytym złą sławą filmiku, który przed marszem 4 czerwca miał zniechęcać ludzi (jak wiemy dzisiaj – nieskutecznie) do wzięcia udziału w inicjatywie Donalda Tuska.

Przed marszem znany z kontrowersyjnych wpisów w necie Tomasz Lis opublikował na Twitterze wpis, w którym ogłosił: „znajdzie się komora dla Dudy i Kaczora”. Przepraszał później i tłumaczył, że chodziło mu o celę w więzieniu. Sztabowcom PiS skojarzyło się to jednak z komorą gazową w obozie koncentracyjnym. A skoro im się skojarzyło, to połączyli to w filmiku. Wpis Lisa pojawił się na tle ujęć z Auschwitz, zresztą – jak się okazało – ukradzionych z internetu. Filmik skrytykował nawet prezydent Andrzej Duda. Oburzyła się społeczność międzynarodowa. Bo na świecie pamięć o ofiarach Auschwitz jest święta. Jak widać, dla Bochenka i sztabowców PiS – nie jest. Co więcej, nie zamierzają się z tego tłumaczyć. – Idźmy dalej. To już było, minęło – rzucił Bochenek. A zapytany, czy za spotem stoją Anna Plakwicz i Piotr Matczuk, obruszył się, że to prywatne osoby. A tak wcale nie jest, bo to byli dyrektorzy w KPRM, odpowiedzialni za kampanię „Sprawiedliwe sądy”. Jej finansowanie było sprzeczne ze statutem Polskiej Fundacji Narodowej, a cel był jednoznaczny: obrzydzić Polakom zawód sędziego i zdyskredytować sądy. „Autorzy kampanii zebrali doniesienia prasy (często brukowców) wydawane na przestrzeni wielu lat i wymieszali je z fragmentami komunikatów prasowych Ministerstwa Sprawiedliwości z 2017 r. i innymi

hasłami propagandowymi” – oponowała ówczesna Krajowa Rada Sądownictwa. Winni nigdy nie zostali ukarani. I dalej robią kampanie.■

Każde rodzicom skazanym na życie z renty socjalnej przeżyć za 1600 złotych!

Zamiast zrozumienia problemów – pogarda. Zamiast podwyższenia skromnej renty socjalnej – buta. To dla rodziców osób niepełnosprawnych mają postowie PiS. A brylował wśród nich Jacek Kurzępa, który nie ma problemu z wyobrażeniem sobie życia za 1600 zł miesięcznie. Sam tyle zarabia, ale dziennie.

Jacek Kurzępa został zapytany na antenie RMF FM, czy wyobraża sobie przeżyć miesiąc za 1600 zł brutto. Kwota pojawiła się nieprzypadkowo – to wysokość renty socjalnej dla osób niezdolnych do pracy. A w czasie, gdy poseł gościł w radio, niepełnosprawni po raz kolejny protestowali w Sejmie. Jednym z ich postulatów było podniesienie tej renty, bo 1600 zł brutto (to 1445 zł na rękę) to kwota niewystarczająca do życia. Tym bardziej, że z jej pobieraniem łączą się rozmaite ograniczenia w dorabianiu. Poseł z Zielonej Góry wypalił bez zastanowienia, że oczywiście wyobraża sobie taką sytuację.

Już po tej rozmowie „Fakt” wiele razy do niego dzwonił z prośbą o podanie recepty na takie życie. Nie podał jej. Za to był rozżalony, że został mocno skrytykowany za te słowa. – Jeśli są osoby, dla których ta wypowiedź jest trudna do zaakceptowania, to je oczywiście przepraszam. Zdaję sobie sprawę, że wielu ludzi cierpi na brak środków finansowych, ciężko im wiązać koniec z końcem, a jednak muszą sobie w życiu dać radę. Każdy z nas tę mitręgę musi realizować, zgodnie z własnymi kom-

petencjami, umiejętnościami, sposobem funkcjonowania na rynku pracy – powiedział „Faktowi”.



Jednak okazało się, że ta mitręga rodziców osób niepełnosprawnych, którzy protestowali w Sejmie, i Kurzępy jest zgoła odmienna. Poseł nie ma kredytów, a zarabia nie tylko w Sejmie. Prowadzi jednoosobową działalność gospodarczą o nazwie „Falochron Ekspertyzy Socjo-Psycho-Edukacyjne. Terapia i konsultacje”, co w rok przyniosło mu 289 tys. zł dochodu. Gdy do tego doliczyć 245 tys. zł uposażenia poselskiego, 10 tys. zł za umowy zlecenia czy 46 tys. zł z diet poselskich, to okaże się, że poseł ma 1600 zł na przeżycie, ale... dziennie! – Bardzo dużo pracuję, prowadzę wykłady, badania, seminaria. Te zarobki są wynikiem mojej pracowitości – tłumaczy Kurzępa. A rodzice osób niepełnosprawnych leżą do góry brzuchem? Ich praca to zajmowanie się dzień i noc, w dni powszednie i święta, swoimi dziećmi. I państwo, którego funkcjonariusze **mają**⁽⁴⁾ usta pełne frazesów o wsparciu najslabiej sytuowanych, o konieczności rodzenia nawet bardzo chorych dzieci, powinno im zapewnić godne życie! Jednak przez ostatnie lata zajmowali się oni głównie zapewnianiem godnego życia swoim kolegom z partii, ciotkom i pociotkom. Lista milionerów, którą opublikowała Wirtualna Polska robi kolosalne wrażenie. Posła Kurzępy na niej nie ma, ale jest wielu jego partyjnych kolegów. Może powinien, nawet nieodpłatnie, zrobić dla siebie i dla nich wykłady i seminaria z empatii?

– Przez 19 dni musieliśmy myć dzieci w umywalce. Pani marszałek Witek nie pozwoliła otworzyć okna, gdy matki mdlały. Nie było stać naszego państwa, by dać kubek zupy. Jedzenie dostaliśmy od posłów, posłanek, rodziców dzieci niepełnosprawnych, społeczeństwa – tak mówiła posłanka KO Iwona Hartwig, sama matka niepełnosprawnego, kiedy rodzice przerywali protest po 19 dniach spędzonych w tym roku na sejmowym korytarzu. Jedynym efektem było częściowe zniesienie zakazu dodatkowej pracy. Można teraz dorobić do renty socjalnej... 20 tys. zł rocznie. Czyli kolejne 1600 zł miesięcznie.■

Zamieniła elektrownię w Bełchatowie we własny folwark

Korupcja polityczna za rządów PiS osiągnęła poziomy, które można nazwać himalajami żenady. Kiedy posłanka z Bełchatowa zagroziła, że nie będzie głosować razem z rządem, prezes Jarosław Kaczyński z premierem Mateuszem Morawieckim nie tylko dali posadę jej człowiekowi, a jej samej awans, ale zmienili nawet granice dwóch gmin!

Posłance Małgorzacie Janowskiej słyszało pewnie niewielu. Nie jest jedyną z grupy posłów Kukiz'15, która w czasie mijającej kadencji Sejmu postanowiła wspierać większość rządzącą. Trzeba jednak przyznać, że rozmachu mogą jej pozazdrościć wszyscy.

Posłanka jest z Bełchatowa i kiedy trafiła do Sejmu, zmieniła też pracę – z dyrektorki oddziału prywatnego banku w Piotrkowie Trybunalskim została kierownikiem w departamencie rachunkowości należącej do PGE GiEK SA Elektrowni Bełchatów. W czerwcu 2021 r. wraz z dwójką kolegów ogłasza, że nie będzie już popierać rządu. Dla PiS to kłopot. Większość jest chwiejna, a rosnąca w siłę opozycja próbuje zebrać głosy umożliwiające zmianę marszałka Sejmu, a nawet premiera. Janowska w Onecie krytykuje propagandę w telewizji publicznej oraz brak propozycji PiS na rozwój jej miasta, Bełchatowa. Sytuacja jest tak poważna, że w negocjacje z nieistotną dotąd posłanką angażuje się sam prezes Jarosław Kaczyński. I dogaduje się z nią.

– To, co nas poróżniło z posłanką Janowską, to stosunek do pewnych spraw związanych z energetyką i przyszłością Bełchatowa. Doszliśmy

jednak do konkretnego porozumienia. Uczestniczył w tym także premier Mateusz Morawiecki – mówi na konferencji prasowej prezes PiS.



– Powodem mojego wyjścia z klubu były kwestie różnic w widzeniu energetyki, czyli, powiedzmy sobie szczerze, brak rozmów. W tej chwili te rozmowy się odbyły. Mamy wspólny cel: walczyć o bezpieczeństwo energetyczne – mówiła z kolei Janowska.

Bezpieczeństwo energetyczne? Wolne żarty! Chodziło oczywiście o posady, ale nie tylko. Kilka dni po konferencji Janowskiej i Kaczyńskiego Bełchatów kipiał od plotek o szczegółach ustaleń między PiS a posłanką. Dariusz Wieczorek z Lewicy pytał, czy to prawda, że 14 lipca na prezesa zarządu PGE GiEK został wybrany Krzysztof Kuśmierowski, ale informacja nie została ujawniona, bo elementem układu jest to, że w wyniku politycznych nacisków ma od razu złożyć rezygnację, a na tę funkcję zostanie powołany Andrzej Legeżyński, człowiek Janowskiej.

Pytany o to wicepremier Jacek Sasin nie odpowiedział, ale w sierpniu Legeżyński został prezesem. A Janowska awansowała – z eksperta od rachunkowości na dyrektora ekonomiczno-finansowego całej elektrowni. Awans był też finansowy. Wcześniej zarabiała rocznie 210 tys. zł. Teraz aż 380 tys. zł!

Na tym jednak nie koniec! We wrześniu wojewoda łódzki Tobiasz Bocheński złożył wniosek do rządu o... zmianę granic najbogatszej gminy w Polsce – Kleszczowa. Dzięki temu pieniądze z podatków od elektrowni zaczęły trafiać również do kasy Bełchatowa. Janowska wymyśliła to w 2018 r. Wtedy premier Morawiecki go odrzucił. Teraz podpisał bez mrugnięcia okiem.■

Dziwne przypadki wiceministra rolnictwa Norberta Kaczmarczyka

Kiedy był wiceministrem rolnictwa, załatwił bratu dzierżawę ziemi, próbował załatwić odszkodowanie za gradobicie, którego nie było, a w spektakularnym finale tej historii dostał w prezencie ślubnym ciągnik wart, bagatela, 1,5 mln zł i wziął udział w jego reklamie. Norberta Kaczmarczyka Polacy zapamiętają na długo. Świetnie pokazał, jak politycy od Zbigniewa Ziobry stracili azymut transparentności i uczciwości w polityce.

Popełniłem pewien błąd wizerunkowy – te słowa Kaczmarczyka już po dymisji ze stanowiska wiceministra rolnictwa najlepiej pokazują, że on nawet chyba nie rozumie, co robił. Tak dalece oderwał się od rzeczywistości, że pewne rzeczy wydają mu się normalne. A takie nie są.

Kłopoty Kaczmarczyka zaczęły się od hucznego wesela. Dostał na nim prezent od brata Konrada – wart 1,5 mln zł ciągnik amerykańskiej marki John Deere 8R 340. Kluczyki wręczał przedstawiciel firmy. Gdy nagranie z imprezy wyszło na jaw, wiceminister tłumaczył, że to w sumie nie prezent, bo... ciągnik należał i należy do brata. To była wpadka spektakularna jak jego wesele (wielu polityków wśród gości, biała limuzyna, wozy strażackie kupione wcześniej ze środków Funduszu Sprawiedliwości i koncert Bayer Full), ale nie jedyna. Na weselu wiceministra nagrano nawet profesjonalną reklamę promującą luksusowy traktor. Maszyna tej samej firmy pojawiała się w spotach i filmikach wice-

ministra Kaczmarczyka w mediach dużo wcześniej, także z udziałem Ziobry.



**Ciągnik brata
w prezencie ślubnym
i grad, którego nie było**

Warto dodać, że polityczni goście wesela nie mieli problemu z trafieniem na nie – tydzień wcześniej w tym samym miejscu odbyło się spotkanie Zbigniewa Ziobry i innych prominentów Solidarnej Polski (dziś występującej pod nazwą Suwerenna Polska) z mieszkańcami powiatu proszowickiego. Cóż za zbieg okoliczności!

Niedługo potem okazało się, że Kaczmarczyk pomagał bratu wydzierżawić 141 ha państwowej ziemi... z pominięciem wprowadzonych przez PiS przepisów. Proceder ujawniła Wirtualna Polska. Kaczmarczyk finalnie miał zapłacić za nią nawet pięć razy mniej niż gospodarze startujący w przetargu! – Nie załatwiłem bratu hektarów. W żadnym wypadku. Cała procedura była legalna – zapewnia były wiceminister.

Wirtualna Polska ujawniła też, że brat wiceszefa resortu rolnictwa wnioskował o odszkodowanie za zniszczoną gradem uprawę soi. Eksperti analizujący zjawiska pogodowe wykluczyli jednak, by w opisywanym dniu i miejscu doszło do takiego opadu! Gradu wcale nie było, więc nie miał **czego**⁽⁴⁾ zniszczyć. – Był grad – upiera się Kaczmarczyk. Przyznaje, że brat zgłosił straty na polu, ale wniosek odrzucono. Nie wie, w jakim procencie rośliny miały zostać zniszczone.

– Kaczmarczyk? To jest załatwiacz. Jeździ po remizach i załatwia swoje sprawy. To jest skandal. Oni w ten sposób tworzą swoje małe oligarchie. Ten człowiek nie powinien być w rządzie, nie tylko ze względu na sprawę ciągników, ale ze względu na swoją niekompetencję. To rolnik na pokaz, który nigdy rolnikiem nie był – mówił „Wirtualnej Polsce” Michał Kołodziejczak z AgroUnii.

Faktycznie, Kaczmarczyk pochodzi z Czajęczyca, niedaleko Proszowic, i zanim wszedł do polityki, nie był rolnikiem, lecz reporterem TVP Kraków i współpracownikiem mediów lokalnych. W 2014 r. został wybrany do Rady Miejskiej Proszowic. Rok później został posłem z listy Kukiz'15 w okręgu tarnowskim. Tuż przed wyborami w 2019 r. zmienił barwy partyjne – przeszedł do Klubu Parlamentarnego PiS. Wystartował z list Zjednoczonej Prawicy i znów został posłem. Po wyborach przystąpił do partii Zbigniewa Ziobry.■

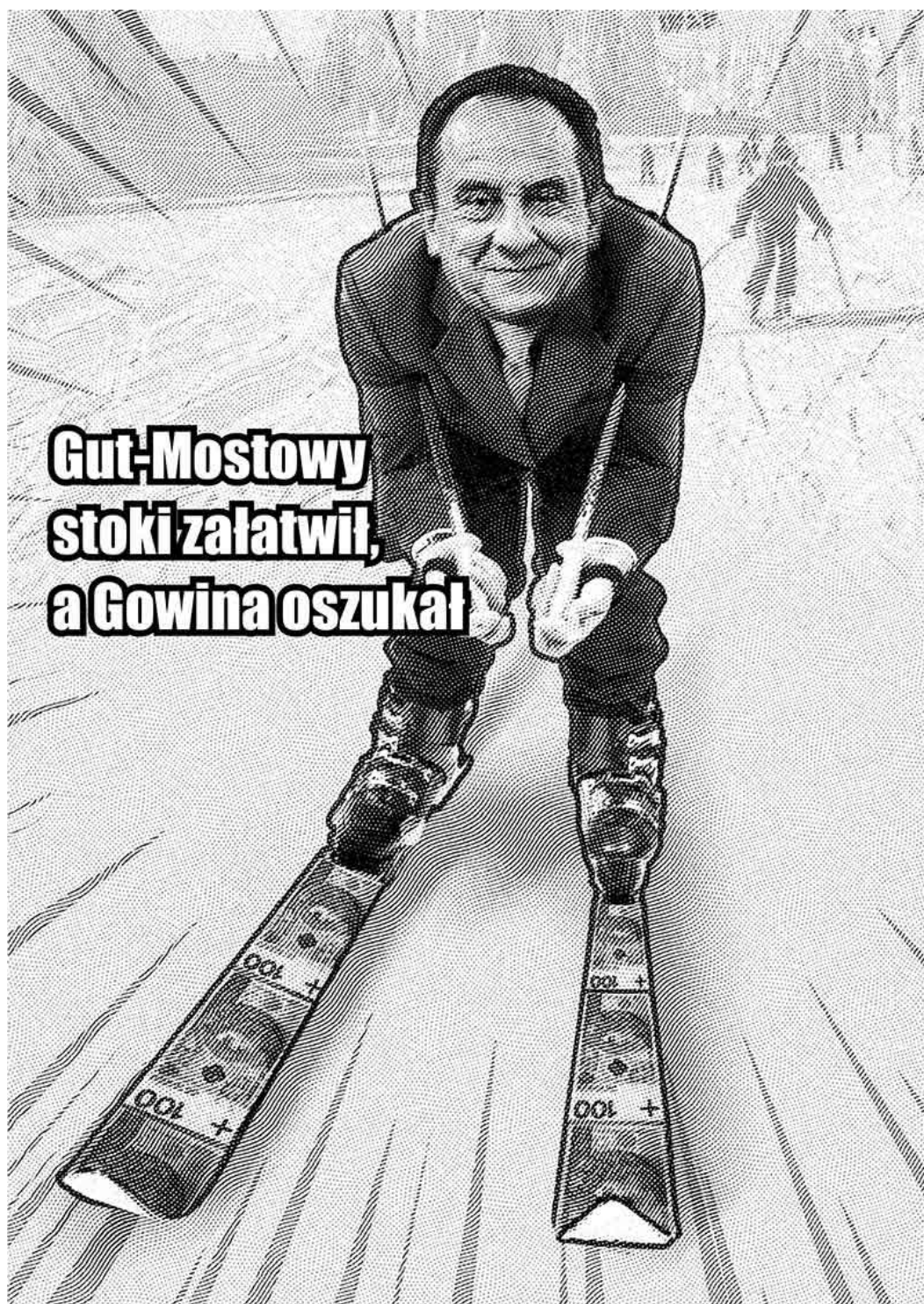
Wiele branż w pandemii dałoby wszystko, by mieć w rządzie swojego człowieka

Choć Andrzej Gut-Mostowy i jego rodzina są współwłaścicielami jednego z największych ośrodków narciarskich w Polsce, to właśnie on decydował, czy w czasie pandemii stoki będą otwarte, czy zamknięte. Wiele branż nie miało takiej szansy. On jednak zapewnia, że to nie miało żadnego znaczenia. Ale czy można wierzyć człowiekowi, który w środę ogłasza, że odchodzi z rządu, bo jego szef został nieuczciwie potraktowany, a we wtorek, jak gdyby nigdy nic, do niego wraca?

Początek listopada 2020. Rząd dzięki przepisom covidowym ma wciąż w ręku decyzje, która branża może działać, a która nie. Która działalność zagraża życiu i zdrowiu ludzi, a na której funkcjonowanie można przymknąć oko. Tym razem, z racji zbliżającego się sezonu narciarskiego, na wyrok czekają ośrodki narciarskie. Rząd – w tym wiceminister Andrzej Gut-Mostowy, odpowiedzialny za turystykę – milczy w tej sprawie.

Pytania Zarządu Polskich Stacji Narciarskich i Turystycznych skierowane są głównie do ministerstwa rozwoju, w którym za turystykę odpowiada wiceminister Andrzej Gut-Mostowy. To polityk z Zakopanego, a prywatnie... współwłaściciel dużego ośrodka narciarskiego. Gut-Mostowy jednak milczy. A czas upływa. Nikt nie wie, czy podejmować sta-

rania do otwarcia, czy nie. I dopiero trzy tygodnie później zapada decyzja: rząd wyraża zgodę na otwarcie stoków.



Jednym z głównych beneficjentów tej decyzji jest ośrodek w Witowie. Jak zauważa Wirtualna Polska, jeszcze kilka miesięcy wcześniej większość udziałów w spółce zarządzającej tym obiektem miał wiceminister Gut-Mostowy. Były warte, bagatela, niemal 3 mln zł. Gdy wszedł do rządu, podzielił się udziałami z rodziną. Na tej podstawie przekonywał, że fakt, iż pracuje nad regulacjami będącymi „być albo nie być” dla jego biznesu i całej branży, nie ma znaczenia. Zarzuty o to nazywał absurdalnymi. – Idąc takim tokiem myślenia, ministrem zdrowia nie mógłby być lekarz, a górnictwem nie mogłaby się zajmować osoba, która wcześniej pracowała w tej branży – tłumaczył dziennikarzowi portalu money.pl. To jednak znacząco odmienna sytuacja. Mówimy o czynnym biznesmenie, który jako jedyny w branży posiada unikalną wiedzę, czy i na jakich zasadach będzie funkcjonował cały sektor. „Nigdy nie ingerowałem w podejmowanie decyzji o otwarciu stoków narciarskich. Nad protokołami sanitarnymi wypracowanymi wspólnie z branżą ministerialni urzędnicy i eksperci pracowali od miesiąca” – tłumaczył się po decyzji w sprawie stoków.

Gut-Mostowy kilka miesięcy później świetnie pokazał, ile znaczą jego słowa w polityce. Gdy z rządu został odwołany szef jego partii, Jarosław Gowin, zadeklarował, że sam również odchodzi. Przekonywał razem z kilkoma koleżankami i kolegami, że tego wymaga solidarność. Sześć dni później był już z powrotem zarówno w rządzie, jak i w Zjednoczonej Prawicy. Bez Gowina. Przecież to tylko słowa...■

Zgarniał kasę z resortu kultury i Grupy Azoty, potem z PZU, a teraz z PKN Orlen

Odkąd Jadwiga Emilewicz stała się ważną postacią rządowego układu, jej mąż i jego firma zarabiają kokosy na współpracy z najważniejszymi spółkami Skarbu Państwa. Była pani wicepremier, a od niedawna ponownie członek rządu tłumaczy, że to... dla przejrzystości. Bo praca dla prywatnych firm budziłaby podejrzenia. Głupszego uzasadnienia kolesiostwa chyba jeszcze nikt nie wymyślił.

Kariera Jadwigi Emilewicz za rządów PiS zadziwia. Czy była prawą ręką Jarosława Gowina czy nie, rządowe funkcje zawsze na nią czekały. Obrotna żona ma też obrotnego męża. Marcin Emilewicz pierwszy raz pojawił się w przestrzeni publicznej raptem kilka miesięcy po objęciu rządów przez PiS. Wicepremier Jarosław Gowin (Emilewicz była wiceministrem w jego resorcie) z pompą ogłosił powstanie funduszu inwestycyjnego Witelo. Miał on inwestować w czołowe światowe fundusze, a te w polskie start-upy. Fundusz miał dostać na start aż pół miliarda złotych! A wśród sześciu osób, które miały decydować o tym, do kogo trafią pieniądze, był... mąż Emilewicz. Magister politologii, który wcześniej w biznesie pracował jedynie w departamencie strategii i rozwoju Grupy Azoty, na umowę zlecenie (etat dostał... oczywiście po wygranych przez PiS wyborach). Tak jak jego żona próbował działać na styku PO (do tej partii należała kiedyś Emilewicz). Do 2010 r. pracował

w Brukseli we frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, do której należy PiS. Wtedy jednak europoseł Tomasz Poręba uznał go za „element niepewny”.



Gdy Emilewicz stała się ważna w układzie rządowym, jej mąż już nie był niepewnym elementem. Najpierw etat w Azotach, potem rola w Witelo. Kto go tam polecił? Żona zapewnia, że nie pomagała. Emilewicz przypomina sobie jedynie, że... ktoś zadzwonił z sekretariatu PZU i zaprosił go na spotkanie. I nigdy się tym nie interesował, jakim cudem go znaleźli. Twierdzi, że PZU chciało współpracować z Europejskim Funduszem Inwestycyjnym, a Emilewicz go znał. Dlaczego więc EFI nigdy nie zainwestował w Witelo? Emilewicz nie pamięta dlaczego. Koniec końców Witelo przestało istnieć. Emilewicz jednak nie zniknął z radarów PZU. Pół roku po odejściu z funduszu jego spółka Koza Nostra Studio (założyła ją... żona) wygrała konkurs na projekt Centrum Edukacyjno-Prewencyjnego PZU. Szefem PZU był wtedy Paweł Surówka, jego kolega z Witelo. Czy nie było tu konfliktu interesów? Emilewicz zapewnia, że nie miał nic wspólnego z konkursem, bo ogłoszenie... znalazła jego współpracowniczka, a on nie miał pojęcia, iż złożyła ofertę. To rodzinne u Emilewiczów. W 2018 r. ta firma wygrała konkurs na projekt wystawy w Muzeum Dom Rodziny Pileckich. Komisji konkursowej przewodniczyła Magdalena Gawin, przyjaciółka Emilewicz ze studiów. Sprawę opisał „Fakt”. Podobnych umów z instytucjami publicznymi było kilka. Nie wiadomo, ile firma zarobiła na publicznych zleceniach, bo jej właściciele nie odpowiedzieli na to pytanie.

Po PZU Emilewicz trafił do PKN Orlen. Czym się tam zajmuje? Nie może odpowiedzieć, bo... pracodawca mu zabronił. „Współmałżonek polityka ciągle jest na cenzurowanym – niemal każda jego aktywność może budzić zastrzeżenia” – twierdzi Jadwiga Emilewicz. Przekonuje, że jej mąż „odmówił kilku ciekawym propozycjom pracy z prywatnych podmiotów”, by nie budzić podejrzeń. Czyli mamy odpowiedź na kumoterstwo i kolesiostwo! Oni to robią dla naszego spokoju i dla czystości sytuacji. Faktycznie jest jasna. Kłamią prosto w oczy!■

Waldemar Buda jest ministrem rozwoju... majątków swoich znajomych

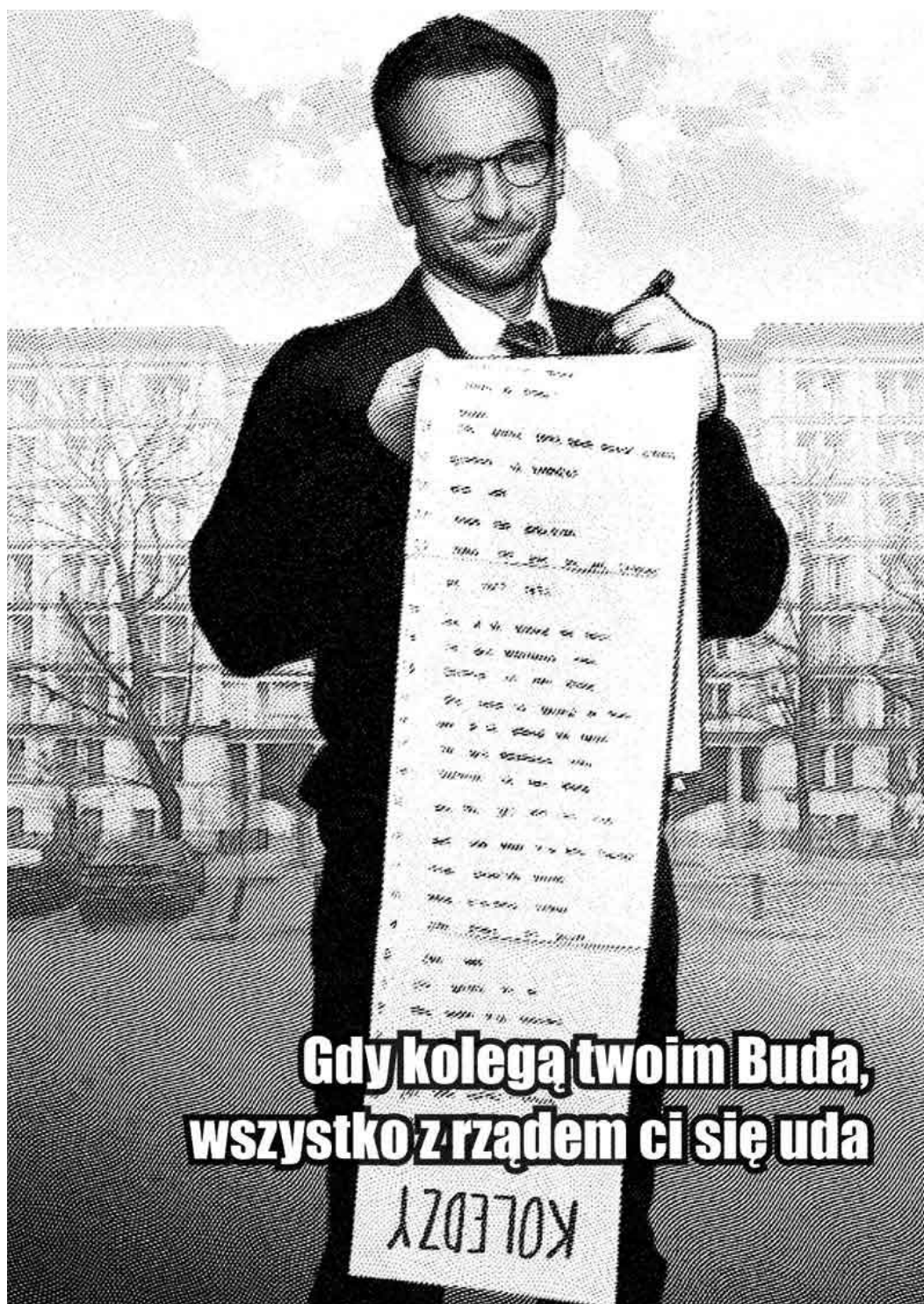
Waldemar Buda pięknie się uśmiecha w mediach społecznościowych, w rządzie trzyma się blisko premiera Mateusza Morawieckiego. Ale wie, że najważniejsze to zadbać o najbliższych kolegów. A ci od czasu, gdy PiS wzięło władzę, mają się znakomicie.

Dział śledczy OKO.press i magazyn śledczy frontstory.pl wytropili koleżeńskie powiązania ministra rozwoju Waldemara Budy. Efekt? Żaden. Minister awansował w rządzie i ma pełne wsparcie premiera. A historia jest naprawdę zacna.

Przemysław Cieślak jest współnikiem kancelarii prawnej zajmującej się windykacjami, która ma milionowe zyski. Mało kto wie, że stanowią od lat nierozłączny duet z ministrem Budą.

Buda zrobił szybką karierę w PiS. W 2014 r. został radnym miejskim w Łodzi. Podczas kampanii wyborczej Andrzeja Dudy odpowiadał za program pomocy prawnej „Dudapomoc”. W 2015 r. zostaje posłem. Po kolejnych wyborach sekretarzem stanu. A potem ministrem rozwoju. Jest człowiekiem premiera, który zresztą odwiedza go w domu. A po sąsiedzku, na drugiej połowie działki na przedmieściach Łodzi, mieszka właśnie mecenas Cieślak. Sąsiedzi o ich zażyłości świetnie wiedzą. I sporo plotkują. Na przykład, że minister strzyże trawnik nie kosiarką, a luksusowym włoskim robotem za ponad 10 tys. zł. Cieślak ma takiego samego. Buda twierdzi, że stać go na tak kosztowne inwestycje, bo co

roku bierze ok. 20 tys. zł pożyczki z Sejmu. Nie odnotowuje ich jednak w oświadczeniu majątkowym, a powinien.



**Gdy kolegą twoim Buda,
wszystko z rządem ci się uda**

KOLEDZY

Gdy Buda zostaje posłem, Cieślak trafia do rady nadzorczej REMZAP (to spółka córka Azotów Puławy). A potem kolejnych. Od 2015 r. mógł zarobić na tym nawet 360 tys. zł. A Buda jeszcze wcześniej załatwiał mu posady w polityce samorządowej.

Kancelaria Cieślaka dostała 187 tys. zł publicznej dotacji z Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój. Rozdawaniem funduszy w tym programie zajmowała się Państwowa Agencja Rozwoju Przemysłu (PARP), która podlega ministerstwu funduszy i polityki regionalnej. Buda był wtedy wiceministrem w tym resorcie.

Cieślak nie jest jedynym kolegą Budy, który robi karierę w spółkach Skarbu Państwa. Minister przyznaje, że „zdarzyło mu się szepnąć komuś, że jakiś człowiek jest bezrobotny i do wykorzystania”. W ogóle jest bardzo obrotny, gdy trzeba zadbać o kolegów. Mieszkanie, za które płaci mu Kancelaria Sejmu, wynajmuje... a jakże! Od swojego kolegi. Jak ustalili dziennikarze OKO.press, wiosną 2020 r. jako wiceminister Buda był zaangażowany w poszukiwanie apartamentu dla tego kolegi. Osobiście próbował załatwić rabat dla kolegi. I właśnie za to mieszkanie płaci Kancelaria Sejmu. A co, nie wolno?■

Mąż Elżbiety Witek ponad 2 lata zajmował łóżko na OIOM, wbrew przepisom

To był jeden z największych skandali ujawnionych w ostatnich miesiącach przez media. W Legnicy ludzie umierają, bo nie ma miejsca na OIOM, by ratować ciężko chorych. A nie ma nie tylko dlatego, że jest ich mało – jedno z łóżek od wielu miesięcy zajmuje wieloletni lokalny polityk PiS, a prywatnie mąż drugiej osoby w państwie, czyli marszałek Sejmu Elżbiety Witek.

Sprawa wyszła na jaw, bo ktoś wreszcie nie wytrzymał. Do prokuratury trafił donos kobiety, której matka zmarła, czekając 8 dni na przeniesienie na OIOM. Oczywiście prokuratura odmówiła wszczęcia śledztwa. Jednak eksperci nie mają wątpliwości, że podniesiona w zawiadomieniu przyczyna braku miejsca to nadużycie i skandal.

„Na oddziale intensywnej terapii w Legnicy od ponad roku przebywa Stanisław Witek, mąż Marszałek Elżbiety Witek. (...) w stanie wegetywnym przebywa kilkanaście miesięcy na oddziale intensywnej terapii, choć powinien być już od dawna objęty leczeniem paliatywnym” – czytamy w zawiadomieniu. Dzisiaj wiemy więcej: ta sytuacja trwa od ponad 2 lat! – Na tym łóżku można było uratować mnóstwo ludzi. Ten OIOM ma tylko 10 miejsc – mówiła Radiu ZET córka zmarłej pacjentki.



Za „przedłużony” uważany jest każdy pobyt na OIOM dłuższy niż... 30 dni! W wytycznych Polskiego Towarzystwa Anestezjologii i Intensywnej Terapii czytamy, że „kontynuowanie leczenia, które nie przyniesie już pacjentowi korzyści medycznej (nie poprawi rokowania), jest niezasadne, a tym pacjentom którzy znajdują się w realnym stanie za-

grożenia życia lub zdrowia, odbiera szansę na szybkie wdrożenie skutecznej intensywnej terapii”. Mówiąc wprost: chory bez nadziei na poprawę odbiera szansę temu, który by tę szansę mógł mieć.

Po ujawnieniu tych faktów marszałek Witek w stylu polityków PiS zarzuciła dziennikarzom grzebanie w jej prywatnym życiu. Zapewniała też, że nigdy nie zabiegała o „żadne specjalne traktowanie męża ani o przeniesienie ze szpitala rejonowego, ani o inne ekstraordynaryjne środki przysługujące jej oraz jej rodzinie z mocy ustawy w związku z pełnionym urzędem”.

Witek nie dodała, że ona o nic nie musiała zabiegać. O nią zabiegają inni. Ci, którzy, widząc jej rosnącą pozycję w partii i u władzy, mogli liczyć na apanaże. Taka np. Joanna Madejczyk-Białowąs, lekarz internista i prezes Jaworskiego Centrum Medycznego. To dzięki Witek trafiła do rady nadzorczej Miedziowego Centrum Zdrowia, które **należy**⁽⁵⁾ do KGHM. Pacjentem Jaworskiego CM był... Stanisław Witek. W tym samym Jaworze pracowała Anna Płotnicka-Mieloch, która jest dyrektorem szpitala w Legnicy. Tego od OIOM dla męża marszałek. Została nim, kiedy tylko PiS, dzięki zabiegom ministra Michała Dworczyka, zdobyło władzę w sejmiku dolnośląskim. Także pani marszałek, mając na dwóch kluczowych dla losów męża posadach dwie koleżanki, naprawdę nie musiała podejmować żadnych starań. W normalnych okolicznościach to one powinny wytłumaczyć pani marszałek, że taka sytuacja nie może mieć miejsca i musi ona znaleźć dla męża jakiś oddział paliatywny. No a kogo jak kogo, ale drugą osobę w państwie na pewno na to stać. – Mieszkam ponad 30 lat w tym samym bloku na osiedlu, na czwartym piętrze bez windy, nie jestem osobą zamożną – mówiła w jednym z wywiadów. Fakty są takie, że średnio miesięcznie zarabia (uposażenie, dieta i emerytura) 30 tys. zł! Jeśli to nie oznacza bycia zamożnym, to co? Tuż przed kampanią wyborczą mąż pani marszałek został jednak przeniesiony na oddział paliatywny...■

Jak Krzysztof Jurgiel zniszczył dumę Polski, czyli stadniny z Janowa i Michałowa

Przez lata aukcje koni w Janowie Podlaskim przykuwały uwagę mediów na całym świecie. Pride of Poland były naprawdę naszą dumą, choć od pewnego czasu celem samym w sobie zaczęły stawać się ceny za sprzedane rumaki, a nie ich hodowla. Wtedy przyszedł nowy minister rolnictwa, Krzysztof Jurgiel. I w kilka miesięcy wszystko zniszczył...

Jurgiel zaczął swoje rządy z przytupem. Zastrzeżenia Najwyższej Izby Kontroli wobec prezesów stadnin należących do Agencji Nieruchomości Rolnych przekuł w poważne zarzuty. – Za złodziejstwo zwolniłem, nie za niefachowość – mówił minister, wyrzucając Marka Trełę i Jurka Białoboka, prezesów najbardziej znanych stadnin na świecie w Janowie Podlaskim i Michałowie. Minister autorytatywnie stwierdził też, że klacze należące do słynnej Shirley Watts padły w efekcie „celowego działania osób trzecich”, zniechęcając bogatych hodowców koni do korzystania z polskich stadnin.

Trela i Białobok święci na pewno nie byli. Jednak są uznanymi na świecie hodowcami koni arabskich. A w Polsce są bezkonkurencyjni. Mają praktyczną wiedzę i międzynarodowy autorytet. Na ich miejsce przyszedł za to m.in. Marek Skomorowski, który z miejsca stał się pośmiewiskiem. – Z hodowlą koni arabskich styczności zawodowej nie miałem – przyznał. Był pełen entuzjazmu, ale sytuację, jaka wynikła

z akcji Jurgiela, jeszcze pogorszył. Kilka miesięcy później pożegnał się ze stanowiskiem. Jurgielowi nie pomogli też prokuratorzy. Uznali, że klacze w Janowie padły na pewno z przyczyn naturalnych. Minister kilkoma decyzjami zarznął prawdziwą kurę znoszącą złote jaja. Efekty były oplakane.



Na pierwszej pod rządami PiS aukcji Pride of Poland sprzedano zaledwie 16 koni za łączną kwotę 1,271 mln euro. Dla porównania rok wcześniej najdroższa klacz Pepita poszła za 1,4 mln, a za 24 konie uzyskano niemal 4 mln euro. Doszło też do skandalu, czyli dwukrotnej licytacji klaczy Emira, zdobywczyni wielu tytułów w kraju i za granicą. Wszystko dlatego, że gdy została wylicytowana za 550 tys. euro... nabywca się nie zgłosił. To oznacza, że organizatorzy podstawiali kogoś, by windował ceny! W drugiej aukcji wielokrotna czempionka ze stadniny w Michałowie została sprzedana zaledwie za 225 tys. euro.

Rok później było jeszcze gorzej. Z 54 wystawionych koni sprzedano zaledwie 14. W opinii ekspertów popełniono wszystkie możliwe błędy. Aukcja w Janowie, która istnieje nieprzerwanie od 1970 r., przetrwała czasy PRL, a nawet stan wojenny. Niemal nie przeżyła jednak okresu panowania w ministerstwie Jurgiela.

Po Jurgielu przyszli kolejni ministrowie rolnictwa. W Janowie Podlaskim od początku rządów PiS zmieniano prezesów już sześć razy.■

Żona sekretarza generalnego PiS zarobiła kokosy w państwowych spółkach

Określenie „tłuste koty” wzięło się właśnie od tej pary. On – Krzysztof Sobolewski – szef struktur PiS, sekretarz generalny partii. Ona – Sylwia Sobolewska – świeżo upieczona małżonka tego pana. On – żyjący ze „skromnego” uposażenia posła. Ona – zarabiająca kokosy w spółkach Skarbu Państwa. Kiedy zostało to zakazane... nic nie stracili, bo znaleźli obejście partyjnego zakazu.

W lipcu 2021 r. na kongresie PiS Jarosław Kaczyński opowiadał o nepotyzmie oraz „syndromie tłustych kotów”. Delegaci przyjęli uchwałę zakazującą współmałżonkom, dzieciom, rodzeństwu, rodzicom posłów i senatorów zasiadania w radach nadzorczych oraz pracy w spółkach Skarbu Państwa. Oczywiście były wyjątki: jeśli ci, którzy już pracują, mają stanowiska z powodu swoich kompetencji, doświadczenia zawodowego i, gdy „jednocześnie doszło do nadzwyczajnej sytuacji życiowej”. Pierwszą „ofiarą” uchwały była Sylwia Sobolewska. Od razu straciła posadę w kilku radach nadzorczych. Trudno było o lepsze potwierdzenie, że nie miała żadnych kompetencji, by zarabiać w Orlen Paliwa, Anwilu i Porcie Lotniczym Szczecin-Goleniów oraz na etacie w PKN Orlen. I między bajki można było włożyć deklaracje jej męża, że jego żona jest osobą prywatną, a nie publiczną, „niezależną, ambitną”, i o tym, gdzie pracuje, dowiadywał się jako jeden z ostatnich.



Jak na osobę ambitną przystało, szybko znalazła nowe zatrudnienie. Jak ujawnił „Fakt”, 13 września 2021 r. weszła do rady nadzorczej spółki Zamek w Ogrodzieńcu, a 7 października założyła działalność gospodarczą i dzień później została wiceprezesem Przedsiębiorstwa Gospodarki

Komunalnej (PGK) w Kamieniu Pomorskim. W ubiegłym roku pracowała jeszcze w jednym miejscu, ale nie ujawnia gdzie (mąż pewnie też nie wie, bo dowie się ostatni – taki żart oczywiście). Łącznie zarobiła 486 tys. zł Dużo czy mało? Patrząc na dochody za 2021 rok, „tłuste koty” Sobolewskie musiały zacisnąć pasa. Bo wtedy dochody ambitnej żony opiewały na ponad 731 tys. zł.

Sprawa Sobolewskiej była głośna, więc ona musiała odejść ze spółek Skarbu Państwa. Wielu kołesiów i pociotków dalej jednak pracuje w spółkach, jak ujawniło radio RMF FM, pracę straciło raptem 13 osób. Poza Sobolewską była wśród nich żona europosła Ryszarda Czarneckiego, syn byłego ministra energii Krzysztofa Tchórzewskiego oraz mąż posłanki PiS Agnieszki Soin. Sobolewska, jak widać, szybko znalazła obejście tej uchwały – o spółkach podległych samorządom nie było mowy. Jak informowała „Gazeta Wyborcza”, Kamieniem Pomorskim nie rządzi PiS tylko bezpartyjni samorządowcy, ale burmistrz Stanisław Kuryłło ma wobec partii rządzącej dług wdzięczności. Dzięki staraniom ministra Marka Gróbarczyka dostał duże dofinansowanie do swoich inwestycji, m.in. z państwowej Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa (np. 15 mln zł na przebudowę portu rybackiego). Czemu miałby odmówić zatrudnienia pani Sobolewskiej? Dla takich benefitów można nawet pleść takie bzdury jak pan burmistrz.

– Cieszę się, że udało się spółce pozyskać doświadczonego menedżera o odpowiednich kwalifikacjach – tłumaczył w lokalnym portalu kamienie.info burmistrz Kuryłło. Ciekawe, czy bardziej to fachowiec od dostarczania wody, czy jednak od ścieków?■

Policjanci pilnowali mu domu i rzucałi na niego konfetti

Przez cztery lata nadzorował policję w taki sposób, że trudno było powiedzieć, czy bardziej sam siebie narażał na śmieszność, czy podlaskich funkcjonariuszy. Jarosław Zieliński mieszka bowiem w Suwałkach i większość jego aktywności jest lokalna. Wiadomo, chodzi przecież o budowanie sobie bazy wyborców na każde kolejne wybory. On jednak jako wiceszef MSWiA wymyślił na to zadziwiający sposób.

Pierwsze Święto Niepodległości po dojściu PiS do władzy mieszkańcy Augustowa zapamiętają na długo. Głównym gościem i współorganizatorem obchodów był tam właśnie Jarosław Zieliński. Atrakcjami były m.in. bieg o puchar Sekretarza Stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz przelot nad miastem helikoptera. *Helikopter z zaskoczenia* – zatytułował później swoją relację lokalny tytuł „Dziennik Powiatowy”. Tekst mówi o obchodach z niespotykanym rozmachem oraz o tym, że z helikoptera rozrzucono biało-czerwone konfetti.

Jak ustalił portal tvn24.pl, konfetti zrzucano z pokładu śmigłowca Straży Granicznej, a wcześniej pracownicy je wycinali... policjanci pionu prewencji z Białegostoku. – Funkcjonariusze cięli duże czerwone i **białe**⁽⁸⁾ kartony na malutkie kawałki. Trzeba się było namachać, to tysiące sztuk – mówił dziennikarzom jeden z oficerów komendy wojewódzkiej w Białymstoku. „Oprócz wielu elementów takich jak udział kompanii reprezentacyjnej, licznych pocztów sztandarowych, stoisk

profilaktycznych, ekspozycji sprzętu wykorzystywanego przez podlaskie służby mundurowe jednym z elementów uatrakcyjnienia obchodów było konfetti w barwach narodowych. Element ten był przygotowany przez policję, w ramach jej własnej inicjatywy” – wyjaśniał rzecznik prasowy komendy Andrzej Baranowski. Zapewniał, że wycinali tylko świeżo przyjęci policjanci, którzy i tak nie mogli być na patrolach, bo jeszcze nie przeszli przeszkolenia. Policjanci mówili tvn24.pl, że było inaczej, a cięcia było co niemiara.



Konfetti osobiście zrzucił z pokładu helikoptera komisarz Maciej Zakrzewski. Ponad 2 lata później Zieliński wręczył mu akt mianowania na stopień podinspektora. Dlaczego tak późno? Głównie dlatego, że za akcję w Augustowie został dyscyplinarnie ukarany po kontroli, jaką kazał

wszcząć komendant główny. Taka kara oznacza, że funkcjonariusz przez rok nie może wnioskować o awans ani dostać żadnej nagrody. Wcześniej Zakrzewski brał udział w kolejnym głośnym wydarzeniu mającym uczcić jedną z licznych wizyt Zielińskiego na Podlasiu. – Komisarz Maciej Zakrzewski melduje seniorów województwa podlaskiego podczas konferencji. Wystąpią moje przyjaciółki z akademii plus 50 – tak zapowiedział występ pań, które odtańczyły przed ministrem... tańiec hawajski.

Wspomniany szef policji, gen. Jarosław Szymczyk, nie lubi się z Zielińskim. I wzajemnie. Minister próbował na to stanowisko wcisnąć szefa podlaskiej policji Daniela Kołnierowicza. Przez całe lata – bezskutecznie. We wrześniu 2019 r., dwa miesiące po nominacji dla Zakrzewskiego, Mariusz Kamiński odebrał Zielińskiemu nadzór nad policją. Dwa miesiące później wystąpił o jego odwołanie. Jednym z powodów były ustalenia posłanki Koalicji Obywatelskiej Bożeny Kamińskiej, która ujawniła, że suwalscy policjanci od jesieni 2015 r. muszą całodobowo pilnować posiadłości Zielińskiego. A szefowie zmuszają ich, by w trakcie uroczystości, w których on bierze udział, przebierali się... za funkcjonariuszy Służby Ochrony Państwa. Takie to fanaberie miał Zieliński.■

Tak poseł od Ziobry ciągnie kasę z Sejmu

Poseł Sak z Tarnowa chodzi po telewizjach i opowiada, że im więcej przejrzystości w życiu publicznym, tym lepiej. Prześwietliliśmy co nieco jego wydatki na biuro poselskie. I okazało się, że w ubiegłym roku wydał ponad 20 tys. zł na stronę internetową, która nie istnieje.

Piotr Sak **jest**⁽⁸⁾ mało znanym posłem partii Zbigniewa Ziobry. Charakterystyczne dla parlamentarzystów Suwerennej Polski jest to, że mają zawsze usta pełne frazesów o tym, kto okrada Polskę i Polaków. A to mafia sędziowska, a to mafia lichwiarska, a to oczywiście Donald Tusk. Sami próbują uchodzić za jedynych obrońców uczciwości. Łatwo jednak zweryfikować to, że są to jedynie frazesy.

I tak jak często lubią powoływać się na wiarę katolicką i Pismo Święte, tak i im można zacytować pewien fragment: „Kto w drobnej rzeczy jest wierny, ten i w wielkiej będzie wierny; a kto w drobnej rzeczy jest nieuczciwy, ten i w wielkiej nieuczciwy będzie” (Łk 16,10). Dlaczego ten cytat? Sam się nasuwa po przejrzaniu wydatków, jakie poseł Sak poniósł ze środków, jakie my podatnicy przekazaliśmy mu za pośrednictwem Kancelarii Sejmu na prowadzenie biura poselskiego.



Taki ryczałt to nie byle jakie pieniądze, bo aż 19 tys. zł miesięcznie! Poseł rozlicza się z nich za pomocą oświadczeń. Z ryczałtu mogą być pokrywane m.in. wydatki na wynagrodzenia pracowników biur, wydatki bieżące biura, jak czynsz, prąd czy woda, podróże służbowe pracowni-

ków czy koszty obsługi rachunkowo-księgowej i bankowej biura. Zarządzenie marszałka Sejmu wyraźnie precyzuje, że ryczałt nie może być wykorzystywany na finansowanie działalności partii politycznych, organizacji społecznych czy na prowadzenie kampanii wyborczej. Uważny czytelnik od razu zapyta: czyli na swoje potrzeby może wydać? No, zarządzenie tego nie zabrania wprost. Zaznacza jednak, że niewydatkowane środki trzeba zwrócić. Jak Państwo sądzą, czy posłowie zwracają? Nic z tych rzeczy. Wydają wszystko.

Posel Sak wydał niemal cały limit w ubiegłym roku. Aż 10 procent wydatków pochłonąć miało stworzenie strony internetowej i jej prowadzenie. Aż 20 289,40 zł na stronę www? Dziwne, bo, jak czytamy w profesjonalnym opracowaniu, „średni koszt stworzenia strony internetowej w 2023 r. na polskim rynku przez profesjonalnego wykonawcę może wynosić od około 4000 do 8000 zł”. Jeszcze dziwniejsze jest, że strona www.piotrsak.pl to jedynie... przekierowanie do konta posła na Facebooku. Nie wygląda na prowadzone z jakimś wyjątkowym rozmachem, choć są firmy oferujące cuda na FB już od 300 zł miesięcznie. Czyżby więc poseł wydał te pieniądze na coś innego i liczył na to, że nikt się nie zorientuje? Trzeba przyznać, że to jedna z nielicznych pozycji w sprawozdaniu finansowym z prowadzenia biura poselskiego, na których można naciąć podatników i w razie niepowodzenia przy reelekcji nie stracić tych pieniędzy. Bo np. pomysł partyjnego kolegi posła Saka, Jacka Ozdoby, który co roku kupuje nowiutki smartfon, średnio się sprawdzi w przypadku utraty mandatu. Środki trwałe są własnością Sejmu i trzeba je oddać. A kto weźmie od posła stronę internetową? Szczególnie gdy ona nie istnieje, choć kosztowała majątek? Stanisław Bareja by tego nie wymyślił.■

To jest dopiero kariera! Z podstawówki do zarządu strategicznej spółki!

Stanisława Kasprzycka to działaczka PiS z rodzinnych stron Daniela Obajtka. Gdy była kandydatką do Sejmu, startowała z hasłem: „Najważniejszy jest człowiek, a władza powinna mu służyć!”. Dziś już wiemy, że tym człowiekiem była pani Kasprzycka.

Przez długie lata swojej kariery zawodowej związana była ze szkołą. W podstawówce uczyła plastyki, była też dyrektorką, ale ostatnie lata spędza głównie na świetlicy. Być może dlatego, że na większy zakres obowiązków nie ma czasu. Odkąd bowiem Daniel Obajtek ma władzę w dużych spółkach Skarbu Państwa, pani Kasprzycka tylko zmienia posady.

W 2019 r. trafiła do rad nadzorczych Zakładu Utylizacji Odpadów w Myślenicach oraz w tamtejszym Zakładzie Wodociągów i Kanalizacji. Rok później zajmowała już znacznie bardziej intratne stanowisko: w radzie nadzorczej Energi Obrót, jednego z największych dostawców energii w Polsce. Zajmowała je do lipca 2021 r. po czym nagle odeszła. Wróciła 11 tygodni później. „Gazeta Wyborcza” próbowała wówczas dążyć, czy dostała odprawę za to odejście. Z tego samego artykułu dowiedzieliśmy się, że to dzięki niej do Energi Obrót na stanowisko wiceprezesa spółki trafiła Elżbieta Bugaj. To bliska krewna Tomasza Bugaja, współnika w interesach Daniela Obajtka i jego matki Haliny.



**Uczyła plastyki,
teraz jest
wiceprezesem
w spółce od gazu**

Być może to za te zasługi, a być może tylko dlatego, że zna się z prezesem Orlenu, Kasprzycka jeszcze awansowała. W lutym 2023 r. została wiceprezesem... PGNiG Technologie. Jest to państwowa spółka, która raptem 3 miesiące wcześniej trafiła do Grupy Orlen. Spółka specjalizuje się w „usługach projektowania, budowy, uruchamiania i eksploatacji

kopalń ropy naftowej i gazu ziemnego”. Co to ma wspólnego z plastiką? Co ma wspólnego z dyrektorowaniem podstawówce? Kasprzycka na stronie zarządu opisana została jako menedżer z „wieloletnim i bogatym doświadczeniem, w szczególności w zakresie zarządzania zespołami ludzi” (może chodzi o ogarnianie dzieci na świetlicy?), a do tego posiada umiejętności pozyskiwania zewnętrznych źródeł finansowania oraz myślenia strategicznego. Tego na pewno nie można jej odmówić. Strategia znajomości z Obajtkiem przynosi jej prawdziwe kokosy.

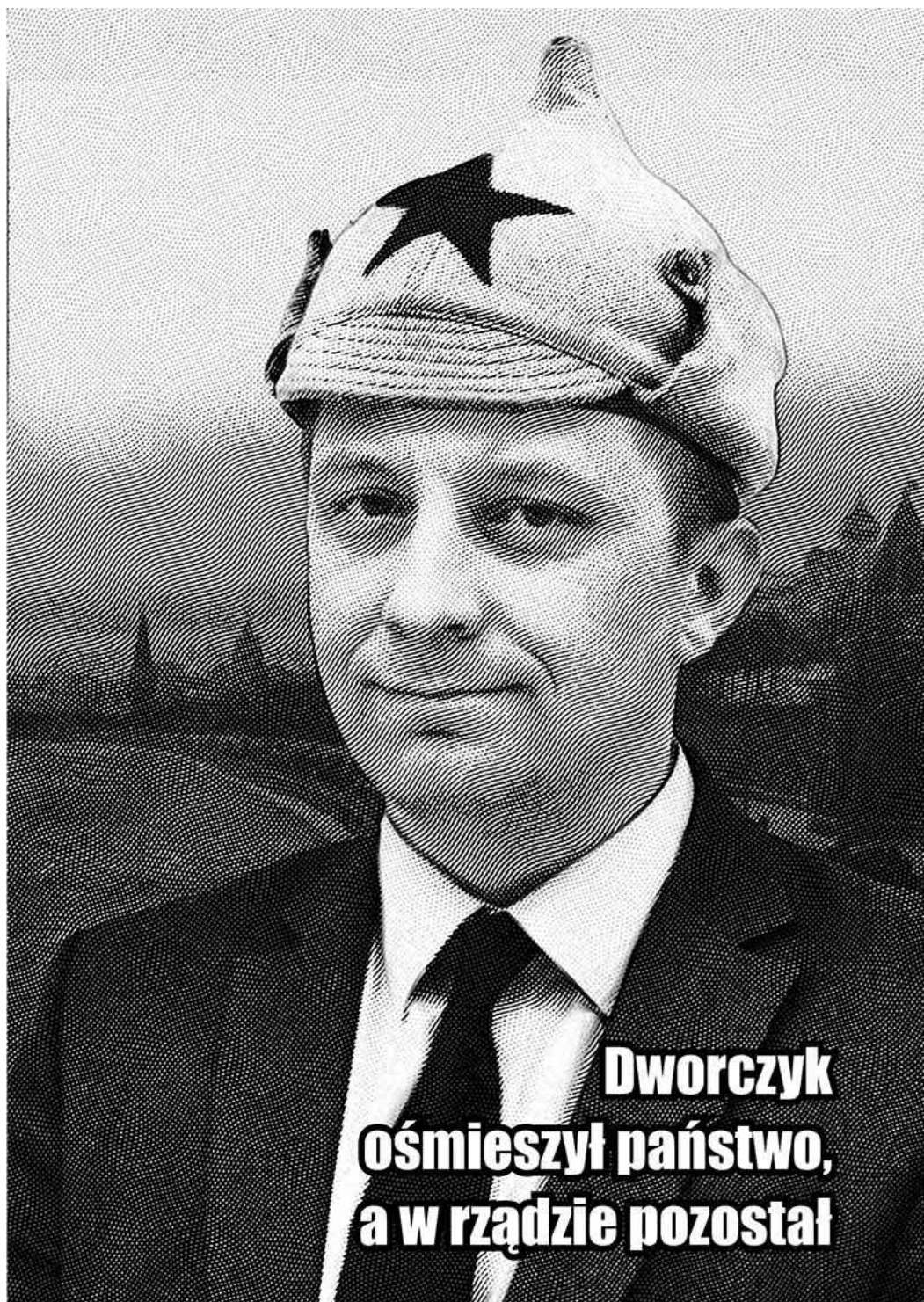
Kasprzycka znalazła się na zaprezentowanej liście „tłustych kotów PiS”, przygotowanej przez PSL. Objęła ona 357 nazwisk osób związanych z PiS na intratnych stanowiskach w spółkach Skarbu Państwa.■

Prorosyjscy doradcy i tajemnice państwowe wysyłane prywatnym mejlem

To jedna z największych afer rządu Mateusza Morawieckiego. Od kilku lat w internecie pojawiają się mejle pozyskane z prywatnej skrzynki ministra Michała Dworczyka. Problem w tym, że nie są one prywatne. To korespondencja między nim, premierem i jego otoczeniem o wielu ważnych sprawach. A także tajemnice państwowe!

To był prawdziwy szok. W internecie pojawiła się strona internetowa, gdzie – w formie obrazków przedstawiających mejle – zaczęto publikować wiadomości przechodzące przez prywatną skrzynkę Michała Dworczyka, szefa kancelarii premiera a wcześniej wiceszefa MON. Dość szybko stało się pewne, że mejle są autentyczne i ktoś wykradł całą zawartość skrzynki pana ministra. A z nią kuchnię polityczną otoczenia Morawieckiego. W ciągu kilkunastu miesięcy dowiedzieliśmy się, którzy dziennikarze mu pomagają, a które media chce zwalczać. Co sądzi on czy Dworczyk o kolegach i koleżankach z partii. Jak załatwia się pracę w rządzie. Jak premier pomógł Danielowi Obajtkowi dostać pracę w spółkach Skarbu Państwa. Bez kozery można powiedzieć, że z tego wycieku dowiedzieliśmy się znacznie więcej niż ze słynnej afery taśmowej za czasów rządów PO. A wzmianka o tej aferze sprzed niemal dekady nie jest przypadkowa. Gdy na jaw wyszły pierwsze nagrania, politycy PiS domagali się dymisji rządu i premiera, choć Donald Tusk na-

grany nie został – nie mógł, bo nie bywał nieostrożny. W chórze domagających się rozliczeń był i Dworczyk. Nawet gdy kolejne nagrania z Sowy wychodziły na jaw już za rządów PiS (publikowała je jedynie rządowa TVP), minister grzmiał, że potwierdzają one, w jaki sposób rządziła poprzednia ekipa. – Ustawianie w rozmowach towarzyskich obsad personalnych spółek Skarbu Państwa, załatwianie interesów politycznych, „knajacki” język – wyliczał na antenie zależnego od PiS Polskiego Radia. I choć od dawna wiadomo, że Donald Tusk miał rację, mówiąc w czerwcu 2014 r. o „scenariuszu pisanym innym alfabetem”, czyli inspiracji rosyjskiej, Dworczykowi to nie przeszkadzało.



**Dworczyk
ośmieszył państwo,
a w rządzie pozostał**

Za to kiedy jego mejle wyciekły, od razu uderzył w te tony. „Traktuję ten atak jako jeden z elementów szeroko zakrojonych działań dezinformacyjnych zawierających sfałszowane i zmanipulowane informacje” – napisał w oświadczeniu. On i jego koledzy atakowali media za opisywa-

nie mejli, twierdząc, że to działanie na korzyść Moskwy. Tymczasem to sam Dworczyk najlepiej przysłużył się Kremlowi! Wbrew swoim deklaracjom, że „w skrzynce mailowej będącej przedmiotem ataku hakerskiego nie znajdowały się żadne informacje, które miały charakter niejawny, zastrzeżony, tajny, lub ściśle tajny”, szybko wyszło na jaw, że ujawniał tam tajemnice. Ba, dotyczyły one obronności kraju! Ba, robił to w korespondencji z płk. Krzysztofem Gajem, który potem stracił rękojmę wglądu w tajemnice państwowe! I to nie jedyna taka postać w otoczeniu Dworczyka. Jego doradczynią przez lata była obecna wiceminister rozwoju Olga Semeniuk-Patkowska. Na prywatnym Facebooku, co w 2017 r. ujawnił „Fakt”, chwaliła brexit, kibicowała we Francji Marine Le Pen, którą finansował Kreml i która kibicowała rozpadowi Unii Europejskiej, dokładnie jak Władimir Putin! „Potrzebne są globalne, międzynarodowe, gospodarcze, systemowe rozwiązania. A te bynajmniej nie ograniczają się do nieustannego mówienia – a fee Rosja” – pisała. Dworczykowi to nie przeszkadzało... A co państwo sądzą o Dworczyku?

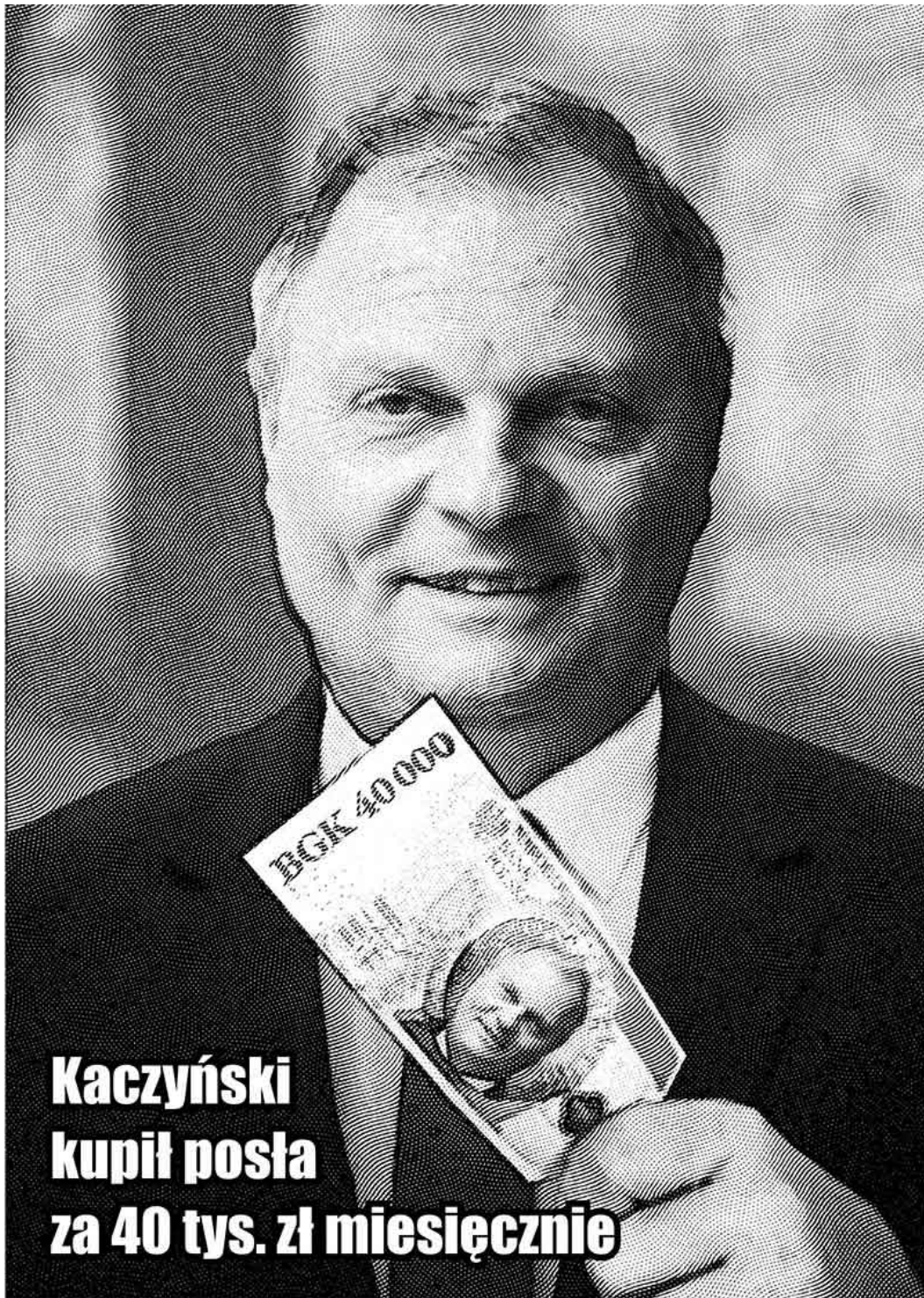


Lech Kołakowski po „piątce dla zwierząt” zarzekał się, że nigdy już z PiS...

Poseł Lech Kołakowski był w Porozumieniu Centrum w latach 90., a potem w PiS. Ale 2 lata temu stwierdził, że ma dość, że to parta „tłustych kotów”. 3 miesiące później w zamian za posadę w Banku Gospodarstwa Krajowego za 40 tys. zł miesięcznie dał się przekonać, by swoje słowa wrzucić do kosza.

Klub PiS w dniu 25 czerwca 2021 r. stracił w Sejmie większość. Tracił ją zresztą głos po głosie od wielu miesięcy. Lech Kołakowski odszedł już w listopadzie 2020 r. Tym większe było zaskoczenie, gdy kilka dni później na konferencji prasowej z prezesem PiS to właśnie on zasilił klub PiS. – Z kolegą Lechem znamy się już przeszło 30 lat. Przez cały czas szliśmy razem. Nawet w rodzinach zdarzają się takie momenty trudniejsze i mijają zwykle, jeśli to dobra rodzina, a nasza formacja jest dobrą rodziną – mówił Jarosław Kaczyński.

Szkopuł w tym, że Kołakowski odszedł w listopadzie 2020 r. z nie byle jakiego powodu. Była to kulminacja protestu przeciwko „Piątce dla zwierząt”, czyli autorskiemu pomysłowi prezesa Kaczyńskiego. We wrześniu 2020 r. Kaczyński ogłosił, że przyszedł taki moment, w którym ochroną zwierząt „możemy już w końcu zająć się na poważnie”. Poinformował, że PiS ma gotowy projekt ustawy. – To jest ustawa, którą z całą pewnością poprą w Polsce wszyscy dobrzy ludzie – mówił.



W PiS zawrzało, bo wśród tych pięciu postulatów były m.in. zakaz hodowli zwierząt futerkowych, zakaz uboju rytualnego (z wyjątkiem potrzeb związków wyznaniowych), większe kompetencje organizacji społecznych pod kątem ochrony zwierząt (w tym wsparcie policji przy in-

terwencjach), zakaz trzymania zwierząt w złych warunkach i dla ryzywki (np. w cyrkach), zakaz prowadzenia prywatnych schronisk **dla**⁽⁷⁾ zwierząt oraz zakaz trzymania zwierząt na uwięzi. Prezes jednak parł do uchwalenia ustawy. Piętnastu posłów jego partii, którzy zagłosowali przeciwko – zawiesił w prawach członków PiS. Koniec końców ustawa nigdy nie została przyjęta przez Sejm po zmianach senackich.

Jeszcze w kwietniu 2021 r. w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” Kołakowski odgrażał się, że „nie chce wracać do klubu PiS”. Mówił, że są tam tłuste koty, że zawiódł się na wielu liderach. Nie wykluczał nawet poparcia konstruktywnego wotum nieufności wobec rządu Mateusza Morawieckiego! Co więc się stało, że zmienił zdanie? Otóż Kołakowski sprzedał te swoje poglądy za niemal 40 tys. zł miesięcznie – tyle bowiem zaczął dostawać od lipca 2021 r. za pracę jako doradca w Banku Gospodarstwa Krajowego. Nie popracował tam jednak długo, bo koledzy z PiS przekonywali prezesa, że utrzymywanie Kołakowskiego z taką pensją zaszkodzi partii na dłuższą metę. Kołakowski jednak bez kłopotów i nie bez **przyjemności**⁽⁷⁾ zaakceptował kontrpropozycję. Został wiceministrem rolnictwa. Co prawda pieniądze trzy razy mniejsze, ale za to wpływy potężne. Tym bardziej że w jego okręgu wyborczym Krzysztof Jurgiel i Jarosław Zieliński potracili swoje pozycje, jakie mieli na początku rządów PiS. A Kołakowski chciałby być posłem czwartą kadencję z rządu.■

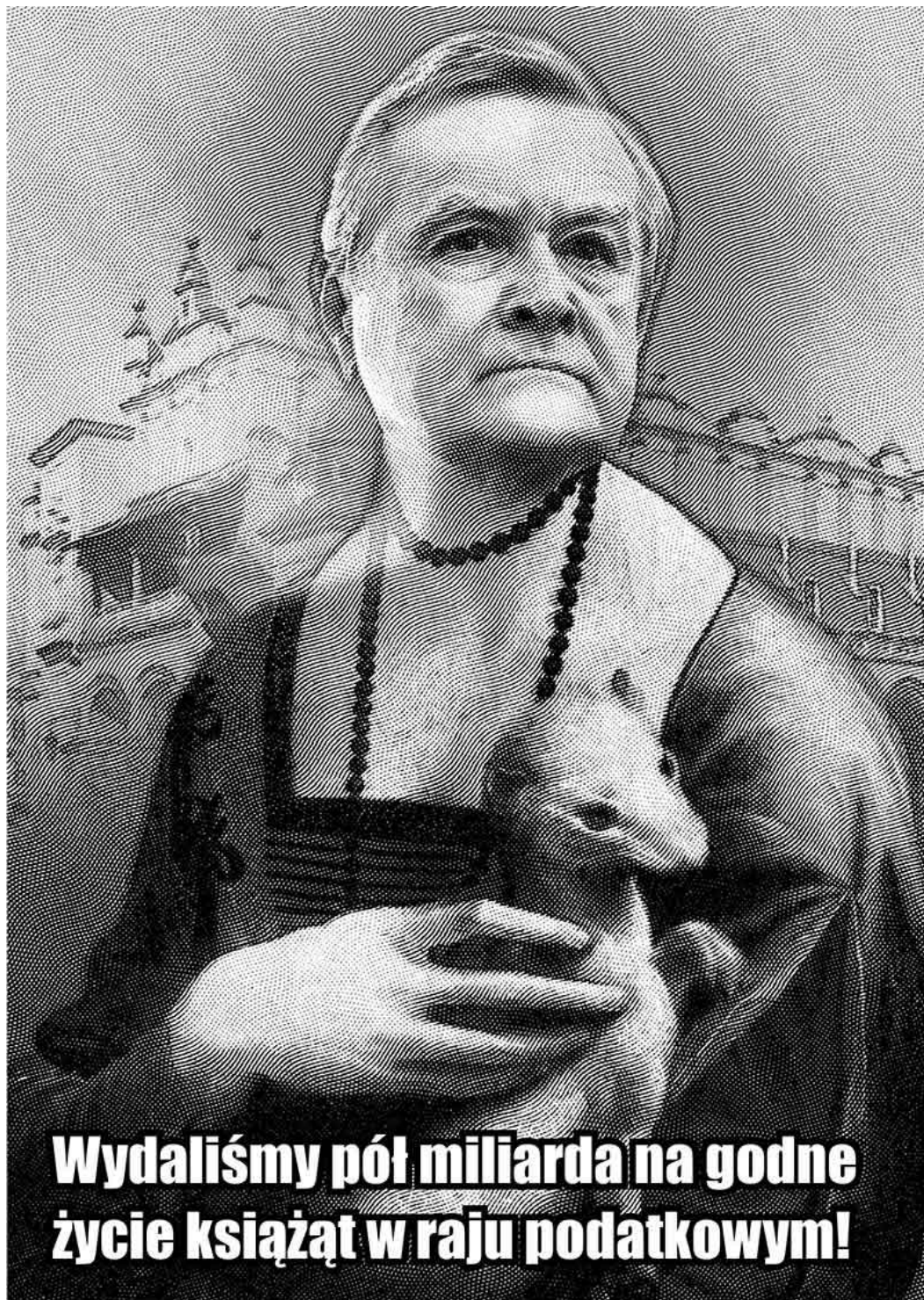
Piotr Gliński uważa, że ta transakcja to majstersztyk. A to ogromny skandal!

Minister kultury Piotr Gliński już od ponad 6 lat przekonuje Polaków, że wykupienie za pieniądze z budżetu państwa kolekcji sztuki Fundacji Czartoryskich to była transakcja stulecia w wykonaniu polskiego rządu. Wiele jednak wskazuje na to, że taka była tylko dla arystokratów, którzy teraz mogą wygodnie żyć za pieniądze od nas, podatników.

*D*amę z gronostajem Leonarda Da Vinci można oglądać w krakowskim Muzeum Narodowym od 1946 r., choć od niemal 250 lat należała do rodu Czartoryskich. Nie można było jej wywieźć z kraju, bo zabraniają tego przepisy. Podobnie jak innych dzieł sztuki z tej kolekcji. Fundacja utrzymywała je głównie z dotacji ministerialnych i dochodów z wynajmu posiadanych budynków. Aż tu nagle gruchnęła wieść, że polski rząd tę kolekcję (oraz budynki należące do fundacji) **kupi**⁽¹⁾. I to za, bagatela, 100 mln euro! W 2016 r. specjalnie w tym celu znowelizowano budżet państwa.

W Sejmie Gliński zapewniał, że transakcja została poprzedzona ekspertyzami prawnymi. Okazało się to nieprawdą. Nie było też żadnej trzymiesięcznej kontroli NIK po zakupie. – Zakupiliśmy kolekcję Czartoryskich dla milionów Polaków, którzy zresztą bardzo często przez ostatnie 5 lat gdzieś tam spotykając mnie, mówili: dziękuję za kolekcję – tak mówił w piątą rocznicę zakupu kolekcji. Dodawał, że jego

„pierwszym uczuciem, gdy udało się podpisać ten zakup, była ulga i satysfakcja, że coś zrobiliśmy dobrego dla Polski”. – Ja się nie przejmowałem wtedy, i chyba do dzisiaj się nie przejmuję, medialnymi atakami – zapewniał.



Wydaliśmy pół miliarda na godne życie książąt w rajach podatkowych!

A szkoda, że konstytucyjny minister nie przejmuje się mediami, które pełnią w demokracji funkcję kontrolną. Tym bardziej że pytanie o celowość wydatków to był dopiero początek zamieszania z tą transakcją. Niedługo potem okazało się, że cała kwota została wytransferowana do Liechtensteinu, na konta innej fundacji powiązanej z arystokratami. W oświadczeniu Czartoryscy tłumaczyli, że w Polsce mają biurokratyczne problemy, „które skutecznie blokują rozwój Fundacji z dużymi zasobami finansowymi”. Winne miały być „przepisy prawa, które funkcjonują w Polsce, a które zostały uchwalone jeszcze w okresie PRL”. To może Gliński powinien się zająć zmianą tych przepisów zamiast przekazywaniem arystokracji pieniędzy polskich podatników?

Tym bardziej że w praktyce fundacja w Liechtensteinie na cele określone jako „charytatywne” musi wydawać jedynie połowę posiadanych środków. Resztę według przepisów obowiązujących w Liechtensteinie właściciele mogą przeznaczać na siebie. Co więcej, niedługo po transakcji Fundacja Czartoryskich złożyła wniosek o likwidację. Sąd wniosku nie zatwierdził. Orzekł, że mając wówczas 25 tys. zł na koncie, fundacja może dalej działać. Jak informuje tygodnik, jedynym dokumentem towarzyszącym wnioskowi o likwidację była uchwała rady Fundacji XX Czartoryskich z 31 grudnia 2017 r., stwierdzająca, że „w wyniku wyczerpania środków finansowych i majątku Fundacji XX Czartoryskich (...) Rada Fundacji postanawia rozwiązać Fundację po przeprowadzeniu likwidacji”. Do uchwały nie dołączono żadnego uzasadnienia. A radio Tok FM ujawniło, że Fundacja – tłumacząca się brakiem środków – została jednym ze sponsorów Zjazdu Klubów „Gazety Polskiej” w 2018 r. ■

Ludzie Marcina Horały koszą miliony na łące zwanej CPK

Pełnomocnik rządu do budowania Centralnego Portu Komunikacyjnego Marcin Horała został zapytany o to, do jakich partii należą osoby zatrudniane przy budowie. Zasłonił się RODO. Pytanie nie było przypadkowe. Zatrudnienie w tym projekcie rośnie, a robotę i tak wykonują zewnętrzne podmioty.

CPK to jeden z projektów wpisujących się w gigantomanię PiS. Przekopmy Mierzeję Wiślaną, by tam wpływały statki zamiast do sąsiadów. Zbudujemy największe lotnisko w tej części Europy, żeby niemieckie nie było największe. – Musimy być państwem pierwszorzędnym i nie możemy mieć lotniska dla Polaków w Berlinie, jak chcą nasi przeciwnicy – te słowa Jarosława Kaczyńskiego wystarczyły za biznesplan.

Czy CPK jest potrzebne? Zdania są podzielone. Analizy dotyczące przepustowości Lotniska Chopina są weryfikowane po pandemii. Ale miliony na CPK dalej płyną, choć już wiadomo że 2027 rok jako data uruchomienia portu nie zostanie dotrzymana. Nie jest to zaskoczeniem, bo Najwyższa Izba Kontroli wskazała, że „harmonogram realizacji CPK miał ogólnikowy charakter i wskazywał niemożliwe do dotrzymania terminy realizacji poszczególnych zadań”.



Najważniejsze jednak, że CPK daje pracę. Już pod koniec 2021 r. spółka zatrudniała 490 osób, o 236 więcej niż rok wcześniej. Na koniec 2022 r. było to już 638 osób, które zarabiały łącznie aż 66 mln zł. Przy czym – jak wykazała NIK – wiele zadań i tak zlecano ekspertom czy wykonawcom zewnętrznym. Wydatki na wynagrodzenia najszybciej

skoczyły w 2021 r. – najpierw to było 39 mln zł, potem 45 mln zł do niemal 60 mln zł w 2021 r. Średnia zarobków w CPK wynosiła wtedy aż 13 tys. zł! W 2022 r. trochę spadła, bo wreszcie zaczęto zatrudniać pracowników merytorycznych. Do spółki dołączyli m.in. specjaliści od zamówień publicznych, od pozyskiwania nieruchomości czy od projektowania infrastruktury torowej.

Wynagrodzenie członków zarządu w 2022 r. wzrosło z 2 mln w 2021 r. do 2,4 mln zł. Jak tłumaczy to spółka, wzrost wynika z premii, których wcześniej nie było. Z kolei wynagrodzenie rady nadzorczej wzrosło do 191 tys. zł (144 tys. zł w 2021 r.). A w zarządzie oczywiście fachowcy! Najpierw swoich nominatów posyłał tam wicepremier Jacek Sasin. W zarządzie zasiadała była dyrektor biura prasowego klubu PiS i radna powiatu wołomińskiego (matecznik Sasina) Sylwia Matusiak. Inkasowała co miesiąc 29,5 tys. zł. Na rękę! W niewiele ponad rok (złożyła rezygnację z przyczyn osobistych) zarobiła ponad 412 tys. zł. A wcześniej dorabiała w radzie nadzorczej CPK. Razem z nią w marcu 2021 r. z zarządu odszedł pochodzący z Pomorza Patryk Demski, protegowany Horały. Został wiceprezesem Tauronu. To lepiej płatna posada. Na jego miejsce do zarządu CPK wszedł Patryk Felmet, asystent Horały, który wcześniej zarabiał w radach nadzorczych pomorskich spółek Skarbu Państwa.

Władze CPK bronią się, że mają zyski, więc wzrost wynagrodzeń jest uprawniony. Faktycznie, spółka odnotowała 28 mln zł zysku za 2022 r. wobec 169 mln zł straty rok wcześniej. Tyle że zyski to głównie efekt przejęcia gruntów z Krajowego Zasobu Nieruchomości (KZN) i Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa (KOWR)! To ziemia, która oferowana jest wysiedlanym mieszkańcom obszaru przyszłego lotniska jako nieruchomości zamiennie.■

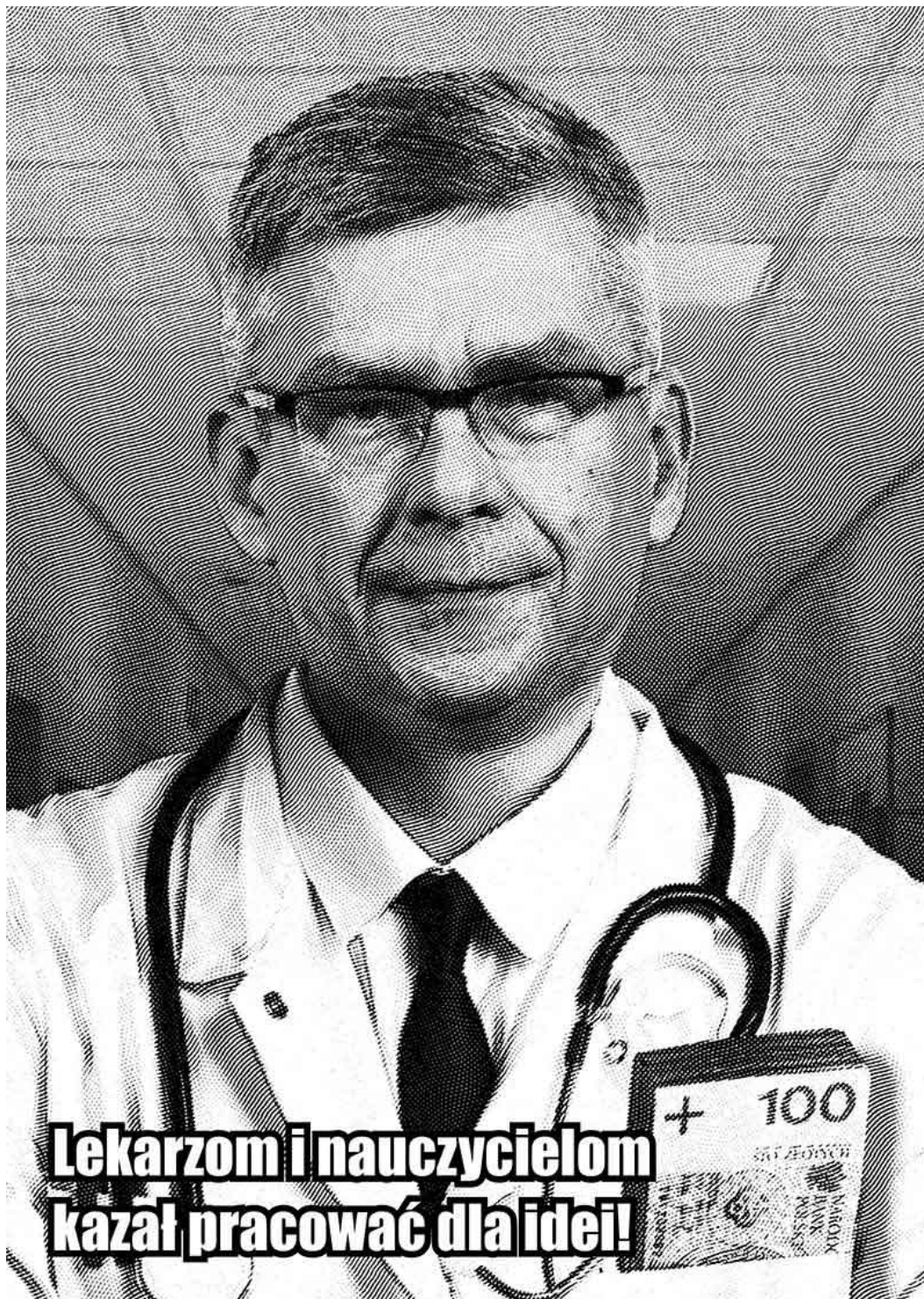
Stanisław Karczewski łamał przepisy, by zarabiać setki tysięcy złotych

Jak można być bezczelnym! Stanisław Karczewski, z zawodu lekarz, zasiadający przez lata z nadania PiS w prezydium Senatu, za nic miał uczciwe postulaty młodych lekarzy i nauczycieli. Kazał im pracować dla idei, bo – jak twierdził – sam tak pracuje. Szybko wyszło na jaw, że ta idea to setki tysięcy złotych, dla których łamał istniejące przepisy prawa pracy.

Myślenie o pieniądzu nie jest najważniejsze w życiu, zapewniam kolegów lekarzy, młodych lekarzy, którzy rozpoczynają pracę, że pieniądze naprawdę nie są najważniejsze w życiu – mówił Karczewski – wówczas marszałek Senatu, gdy lekarze rezydenci protestowali, żądając wyższych płac. Mieli racjonalne argumenty: jeśli młodzi lekarze nie będą godnie zarabiać, wyjadą za granicę, gdzie płacą znacznie więcej. Pouczał ich, że powinni pracować dla idei, tak jak on. – Sam w tej chwili, jako marszałek Senatu, zarabiam zdecydowanie mniej, niżbym zarabiał jako dyrektor czy ordynator szpitala. Naprawdę – zapewniał.

Jak ustalił portal tvn24.pl, Karczewski najpierw jako senator, a potem już wicemarszałek Senatu w latach 2009–2015 zarobił ponad 400 tysięcy złotych na płatnych dyżurach w szpitalu, w którym był w tym czasie... na bezpłatnym urlopie. Wtedy polityk zmienił narrację. – Ja mówiłem wtedy do lekarzy młodych, rezydentów, żeby pracowali również dla idei, ale nie dla idei w sensie za darmo, bez pieniędzy. Praca dla idei i praca

związana z misją i służbą są ze sobą powiązane ściśle. Idea to nie znaczy, że pracujemy za darmo – tłumaczył. Do kogo ta mowa-trawa, panie Karczewski? Wszyscy pamiętają, że odnosił się pan do ich postulatów podwyżki płac! Ba, potem te same słowa kierował pan do protestujących nauczycieli, którzy po latach studiów, dokształcania się i w trudnej pracy z młodzieżą zarabiali rocznie niewiele więcej niż pan w dwa miesiące!



Karczewski w Senacie zarabiał po 20 tys. zł miesięcznie, a jeszcze dorabiał po kilkadziesiąt tysięcy złotych rocznie w szpitalu. Z dokumentów, do których dotarł portal tvn24.pl, wynikało, że nie tylko jest to sprzeczne z jego moralizatorskimi wypowiedziami i zwykłą ludzką

przyzwoitością. Także Ministerstwo Zdrowia uznało taką sytuację za niedopuszczalną. Podobną opinię wyraził także Główny Inspektor Pracy. – Działalem w pełnym przekonaniu, że wszystko odbywa się zgodnie z prawem – tłumaczył portalowi tvn24.pl Karczewski.

To nie jedyny dowód, że Karczewski u władzy odleciał. Gdy w 2016 r. wrócił z Białorusi, gdzie tamtejszy prezydent od wielu lat bezlitośnie rozprawia się z opozycją, współpracuje z Putinem, wtrąca dziennikarzy do więzień i niszczy polską mniejszość, senator PiS... nie mógł się nachwalić Aleksandra Łukaszenki. Nazwał go „takim ciepłym” człowiekiem. Potem, gdy dziennikarze po kilku latach nadal dopytywali go o tę ocenę, nie wycofał się ze swoich absurdalnych słów. – Szkoda, że nie mam snickersa, bo bym panu dał snickersa, bo pan w tej chwili gwiazdorzy – usłyszał na przykład reporter TVN 24. A może już czas, by to pańska gwiazda zgasła, panie senatorze? Proszę popracować dla idei. Poza parlamentem.■

Chciał wyrzucić urzędnika, bo spóźnił się na samolot i hotel był za słaby

Z racji tego, że ślepo wykonuje polecenia prezesa PiS (gorąco bronił słynnej „Piątki dla zwierząt”), a premier Mateusz Morawiecki dołączył go do swojej drużyny, Grzegorz Puda – choć sukcesów nie ma żadnych – zmienia tylko resorty, w jakich pracuje. A kolejni urzędnicy drżą, czy przypadkiem nie zostanie ministrem w ich resorcie. Nie bez powodu.

5 sierpnia 2021 r., wieczór. Ówczesny minister rolnictwa Grzegorz Puda niemal w ostatniej chwili dociera na lotnisko. Spieszy się na samolot, który leci z Rzeszowa do Warszawy. Niestety, samolot odlatuje bez niego, bo minister nie zdążył przejść przez odprawę pasażerów. Wściekły dzwoni do ministerstwa z pretensjami, dlaczego nie załatwiono dla niego szybkiej odprawy przez tzw. bramkę VIP. To specjalna usługa, często kosztuje tyle co bilet. VIP, jak tłumaczy opisująca historię „Gazeta Wyborcza”, to skrót od angielskiego Very Important Person, czyli Bardzo Ważna Osoba. Puda chciał się poczuć jako bardzo ważny. A tak musiał czekać, aż z Warszawy przyjedzie po niego limuzyna i zawiezie do stolicy. Wcześniej jeszcze zagroził urzędnikowi organizującemu jego lot, że ma „szykować się na najgorsze”. Adrian Maliszewski, w resorcie rolnictwa inspektor ds. obsługi wyjazdów służbowych, pracuje w ministerstwie od 20 lat. Tłumaczył ministrowi i jego otoczeniu, że nikt nie zgłosił zapotrzebowania na obsługę VIP dla ministra

Pudy. 5 dni później otrzymał informację, że dostanie wypowiedzenie z pracy za „naruszenie obowiązków służbowych”. Wylądował na L4. W tym czasie przed zwolnieniem broniła go zakładowa „Solidarność”. W jej ocenie „pozbawianie stałej pracy pracownika wyłącznie z powodu jednego stwierdzonego oficjalnie nieporozumienia, wynikającego z przyjętej w ministerstwie ustnej, mało precyzyjnej komunikacji, jest wyjątkowo oburzające zarówno w wymiarze społecznym, jak i etycznym”.



Okazało się jednak, że inspektor podpadł już ministrowi. Najpierw w październiku 2020 r. przy okazji rezerwacji hotelu w Luksemburgu, a potem w czerwcu 2021 r. w związku z lotem do Lizbony. Według źródeł „Gazety Wyborczej” zarezerwowany dla Pudy czterogwiazdkowy ho-

tel Double Tree by Hilton (150 euro za noc) nie spełnił oczekiwań, bo z powodu pandemii miał zamkniętą restaurację i jedzenie przynoszono gościom do pokoju. Maliszewski prznosił więc ministra do pięcogwiazdkowego Sofitel Le Grand Ducal, dwa razy droższego. Z kolei lecąc do Lizbony, Puda dostał obsługę w saloniku VIP w Warszawie, ale w ostatniej chwili.

Puda pochodzi z Bielska-Białej i z wykształcenia jest zootechnikiem. Od kilkunastu lat jest związany z Prawem i Sprawiedliwością. Pierwszy raz posłem został w 2015 r., w 2019 r. wybrano go powtórnie. 15 lipca 2019 został wiceministrem w resorcie inwestycji i rozwoju, potem zamienionym w Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej. Później był ministrem rolnictwa, a finalnie został ministrem funduszy i polityki regionalnej. Prywatnie jest pasjonatem żeglarstwa oraz miłośnikiem zwierząt. Ciekawe, czy jak idzie do ZOO, **to**⁽¹⁾ też żąda biletu VIP.■

Jak PiS wspiera hierarchów w usprawiedliwianiu pedofilii

Politycy PiS stracili miliony euro z Brukseli za skuteczne namówienie niektórych samorządów do wprowadzenia tzw. stref wolnych od LGBT. Z kolei na tych, którzy bronili oskarżonych o tuszowanie pedofilii, lekką ręką dawał miliony z naszych podatków. A ikoną podejścia do pedofilii stał się były minister edukacji prof. Ryszard Legutko.

Miniona kadencja Sejmu to czas, w którym polskim Kościołem targły kolejne afery związane z pedofilią księży i jej tuszowaniem przez hierarchów. W tej sprawie PiS jednoznacznie stanął po stronie duchownych, zapewniając, że nie jest przeciwko ofiarom. Jednak prawda jest taka, że nagminnie lekceważył to zjawisko. A wszystkich przebił prof. Legutko. – To nie jest żadna pedofilia, to jest pederastia – stwierdził. Tłumaczył, że ponad 80 procent przypadków nadużyć seksualnych w wykonaniu księży dotyczy chłopców w wieku 12–17 lat.



**Dla prof. Ryszarda Legutki
wykorzystywania seksualnego
dzieci w Kościele
praktycznie nie ma**

Pederastia w Polsce jednoznacznie jest kojarzona ze środowiskami gejowskimi. Opracowania naukowe związkami pederastycznymi nazywają związki erotyczne lub kontakty seksualne między dojrzałym mężczyzną a dojrzewającym chłopcem. Oczywiście budzą one wielką nie-

chęć społeczną, są uważane za uwodzenie młodych chłopców, ale po pierwsze: pederaści spotykają się z potępieniem i dyskryminacją ze strony środowiska gejowskiego, a po drugie, w przypadku większości ujawnionych spraw z udziałem hierarchów nie mamy do czynienia z uwodzeniem młodzieńców! To jest klasyczny przykład wykorzystywania swojej pozycji, autorytetu i stanu duchownego, a nie żadne uwodzenie! A Legutko jest profesorem, jak mówi o nim Jarosław Kaczyński, „wybitnym intelektualistą”. On się nie pomylił. On po **prostu**⁽⁵⁾ świadomie próbował zdeprecjonować problem, jakim jest pedofilia.

„Wszelkie próby przypisania mojej wypowiedzi charakteru aprobatywnego lub sugerującego jakąkolwiek pobłażliwość lub bagatelizowanie problemu karania za czyny seksualne wobec nieletnich spotka się z pozwem sądowym” – oświadczył potem profesor. Jego słowa pokazujemy jednak jako symbol działania PiS. Bo potem to PiS w Sejmie po cichu wprowadziło poprawkę wykreślającą karę grzywny za nieuzasadnioną odmowę przekazania akt na żądanie komisji ds. pedofilii. W rezultacie komisja nie mogła skutecznie żądać od np. biskupa czy związku sportowego udostępnienia w terminie 30 dni informacji i dokumentów – nie miała narzędzi, by ten obowiązek wyegzekwować.

To także cała wierchuszka rządu, z ministrem sprawiedliwości Zbigniewem Ziobrą na czele, nie zdobyli się na najmniejszą reakcję, gdy 7 grudnia 2020 r. w trakcie tzw. „urodzin Radia Maryja” o. Tadeusz Rydzyk publicznie bronił żyjącego jeszcze wówczas bp. Edwarda Janiaka odpowiedzialnego za ochranianie pedofilów w sutannach. Hierarcha przenosił księży pedofilów z parafii do parafii po cichu, umożliwiając im krzywdzenie kolejnych dzieci. Słowa o. Rydzyka padły już po decyzji Watykanu o odsunięciu bp. Janiaka od rządzenia diecezją. Rydzyk nazwał go „współczesnym męczennikiem”. – To, że ksiądz zgrzeszył, no zgrzeszył. A kto nie ma pokus? Niech się pokaże – mówił Rydzyk. I zwrócił się do Ziobry, by – gdy ktoś publicznie „sądzi innych” – „porozmawiać z nim”, żeby się uciszył. Nikt z polityków PiS nie zareagował na te słowa.■

Głos Baszki w Sejmie warty miliony na LZS

Kluby sportowe w małych miasteczkach i wioskach, Ludowe Zespoły Sportowe – to od dziesiątków lat znakomite organizacje i wspieranie ich to świetny pomysł. Jednak za rządów PiS, jak to ze wszystkim, nawet ten proces musiała dotknąć patologia. Poseł Mieczysław Baszko zdobył władzę w LZS i fundusze dla nich w zamian za poparcie rządu.

Baszko był posłem PSL, ale przeszedł potem do Porozumienia Jarosława Gowina. Gdy Jarosław Kaczyński postanowił rozbić tę partię i dogadywać się z pojedynczymi posłami, także on przedstawił swoją cenę: pieniądze na LZS, które miały zapewnić mu prezesurę Krajowego Zrzeszenia LZS. Dzięki tym gwarancjom stanął do pojedynku z dotychczasowym szefem, którym był... lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz. Smaczku rywalizacji dodawał fakt, że jeszcze nie tak dawno Baszko był członkiem Rady Naczelnej PSL, czyli ścisłych władz tej partii. Gdy jednak przegrał lokalne wybory, odszedł do Gowina...



**Zdradził PSL, zdradził Gowina
i buduje sobie pozycję
na sporcie ludowym**

Baszko wygrał, bo wszyscy wiedzieli, że 4 mln zł na LZS od rządu to mogą nie być ostatnie pieniądze, gdy zmieni się szef KZ LZS. I tak się stało. Ale nie tylko ta zmiana dla Baszki była kluczowa, a to dzięki temu, że na czele resortu sportu stanął jego partyjny kolega Kamil Bortniczuk.

Chodziło o zmiany zasad wypłacania pieniędzy w ramach programu „Klub”. Ideą tego programu jest wspieranie małych i średnich klubów sportowych kwotami 10 tys. lub 15 tys. zł. Rocznie ze wsparcia korzysta ponad 5 tys. klubów w całej Polsce. I dotąd to urzędnicy decydowali, kto dostanie pieniądze. Teraz operatorem programu zostało KZ LZS, czyli... Baszko. A pula funduszy wzrosła. W zeszłym roku było to 66,5 mln zł. W tym roku to już 75 mln zł.

Jak tłumaczy ten „zbieg okoliczności” poseł Baszko? – Mówili mi wszyscy, żebym ja to wziął, bo mam struktury we wszystkich województwach, wszystko będzie przejrzyste, sprawnie. No to wyraziłem zgodę – zapewnia.

Nie jest to jedyny program, w ramach którego KZ LZS otrzymały ministerialne pieniądze. Resort ministra Bortniczuka przyznał im w tym roku największą dotację w ramach inicjatywy „Sport dla wszystkich”, o czym doniosło Radio Zet. To aż połowa 28-milionowego budżetu na ten program. W poprzednich latach dotacje z niego dostawało niemal 300 organizacji pozarządowych. W tym roku tylko osiem. Nie załapał się np. Polski Komitet Olimpijski. – Czy to nowy pomysł na budowanie struktur partyjki o mikroskopijnym poparciu, na której kilku głosach trzyma się ten rząd? Konflikt interesów jest oczywisty. Wiedząc, że sondaże przewidują klęskę, w PiS puściły hamulce – uważa poseł Michał Szczerba z Koalicji Obywatelskiej, który z posłem Dariuszem Jońskim od wielu miesięcy śledzi podobne wydatki z państwowej kasy. A takich przypadków jest wiele.■

Telefon wiceministra ważniejszy niż pomoc ludziom

Gdy wiceszef MSWiA Błażej Poboży zgubił swój prywatny telefon, na nogi zostali postawieni funkcjonariusze kryminalni z komendy głównej. Policja zapewnia, że wszystkich traktuje tak samo. To jednak nieprawda.

Wiceminister spraw wewnętrznych i administracji przychodzi do pracy. Błażej Poboży, bo o nim mowa, zajmuje się w MSWiA nadzorowaniem funduszy europejskich, zdrowia i komunikacji społecznej. Okazuje się, że zgubił telefon. Prywatny. Co się dzieje w normalnym państwie? Polityk sprawdza, czy nie zostawił telefonu w domu, a gdy się upewni, że zgubił, dzwoni do swojego operatora i blokuje numer. A co się dzieje w takiej sytuacji w Polsce rządzonej przez PiS? Stawia się na nogi policję i sprzęt służący do tropienia przestępców. Historię tę opisał portal tvn24.pl.



Specjalnej ekipie śledczych z Komendy Głównej Policji udało się w kilka godzin namierzyć sygnał aparatu. Urządzenie wskazywało, że prywatny iPhone Pobożego może się znajdować na terenie jednego z biur stołecznego ratusza. Policjanci weszli do budynku i po krótkich

poszukiwaniach wewnątrz znaleźli telefon. Leżał na biurku jednego z pracowników. Urzędnik został zatrzymany. Przewieziono go do komendy, gdzie został przesłuchany. Wszczęto postępowanie z artykułu 284 Kodeksu karnego, który brzmi: „Kto przywłaszcza sobie cudzą rzecz ruchomą lub prawo majątkowe, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”. Jednak zeznania urzędnika brzmiały wiarygodnie i zostały potwierdzone m.in. nagraniami z monitoringu. Zatrzymany zeznał, że w drodze do pracy znalazł telefon. Nie udało mu się odblokować aparatu, więc czekał, aż właściciel na niego zadzwoni. To oznacza, że Poboży zatrudnił policję kryminalną, a nawet... nie wykonał połączenia na swój prywatny numer! Cztery dni później, pod nadzorem Prokuratury Rejonowej Warszawa Śródmieście, postępowanie zostało umorzone. – Każda osoba, która stanie się ofiarą przestępstwa, może liczyć na takie same działania podjęte przez funkcjonariuszy policji. Bez względu na jednostkę, w której zostanie złożone zawiadomienie – zapewniał tvn24.pl Andrzej Browarek z zespołu prasowego KGP. Dodał, że „wszyscy policjanci działają na podstawie tych samych przepisów”.

Dwa przykłady z brzegu, które dowodzą, że to wierutna bzdura. W marcu 2019 r. w Pabianicach zaginęła 19-letnia Paulina. Jej mama poszła na policję zgłosić zaginięcie. – Zbagatelizowano zgłoszenie i kazano mi szukać córki na własną rękę – opowiada portalowi pabianice.tv Emilia, matka Pauliny. Policjanci śmiali się, że może dziewczyna poszła na imprezę, która się przedłużyła. I to mimo że pokazano funkcjonariuszom wiadomości, w których Paulina groziła odebraniem sobie życia! Zaginięciu nadano najniższą, III kategorię. 3 dni później odnaleziono ciało dziewczyny. Popelniła samobójstwo. Ktoś powie: a może jakby była znana, to policja by zareagowała inaczej? Renata Pałys to postać świetnie rozpoznawalna w polskich domach – w *Świecie według Kiepskich* od lat gra żonę Mariana Paździocha. I ktoś opublikował w internecie grafiki, na których Pałys mówi o pewnym polityku, że „skopałaby pana X pod...e jak psa”. To nie były jej słowa. Stała się ofiarą hejtu. Za namową syna poszła na policję. – Spotkałam się tam z ogromną pogardą, dużym mataczeniem, kłamaniem i lekceważeniem mojej osoby – wspomina Pa-

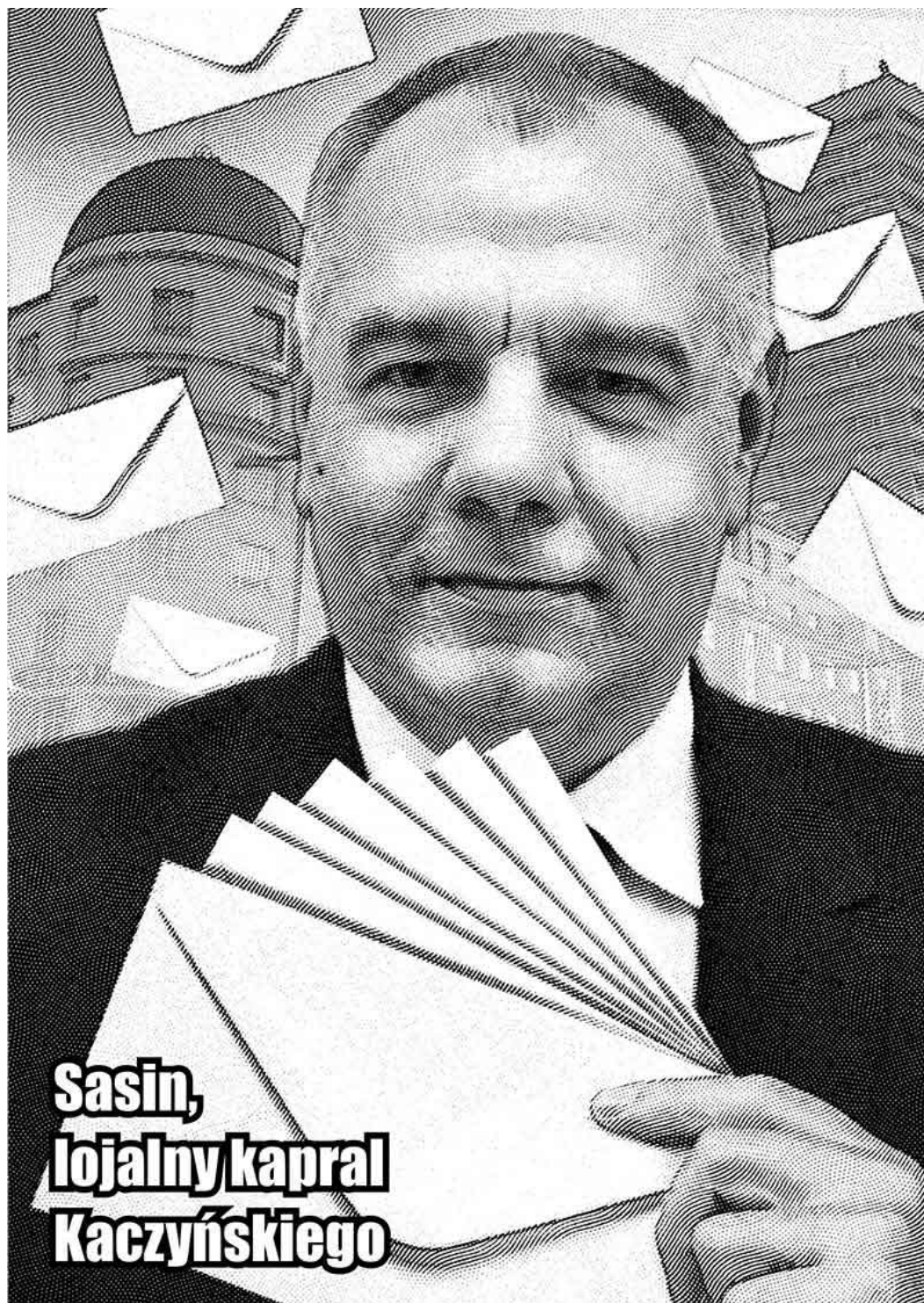
łys w rozmowie z Plejadą. Dodaje, że policjanci twierdzili, iż próbuje się po prostu wycofać z czegoś, co powiedziała. Czyli jednak trzeba być Po-
bożym...■

Lekką ręką wydał dziesiątki milionów należących do podatników na fikcyjne wybory

W PiS jest wielu polityków, którzy – gdyby Jarosław Kaczyński kazał – wskoczyliby w ogień. Nie za nim. Tak po prostu. Bo prezes kaze. Wśród nich lojalnością wyróżnia się jednak Jacek Sasin. Jak w *Czterdziestolatku*, człowiek pracujący, żadnej pracy się nie boi. Także, gdy przyszło do realizacji pomysłu wyborów kopertowych, był pierwszy, by się do tego zabrać.

Co za zaskoczenie – prokuratura umorzyła wszystkie postępowania w sprawie doniesień na sytuację, jaka miała miejsce w maju 2020 r. Przypomnijmy, z uwagi na pandemię koronawirusa PiS było tak zdeterminowane, by doprowadzić do wyboru Andrzeja Dudy na drugą kadencję, że na Nowogrodzkiej wymyślono wybory kopertowe. Bez żadnego umocowania w prawie, bez zgody Państwowej Komisji Wyborczej. Takie prywatne wybory. Grzmiała opozycja. Grzmieli eksperci. Nawet w PiS, co rzadkie, pojawiały się krytyczne głosy, by tego nie robić, bo choć Duda wygra, wynik wyborów będzie podważany przez długie lata. I może doprowadzić do jeszcze głębszych podziałów w społeczeństwie. Sasin wątpliwości nie miał. Podlegającej mu jako ministrowi aktywów państwowych Poczcie Polskiej nakazał drukowanie i kopertowanie kilkudziesięciu milionów kart do głosowania. Koszt wyniósł ponad 61 mln zł, siedem razy drożej niż podobna usługa na rynku! A to liczone bez kosztów druku, samych kopert i instrukcji głosowania! Jak wyliczyła

„Gazeta Wyborcza”, niewykluczone, że koszt „pakietów Sasina” to ponad 100 mln zł. Dochodzi jeszcze rozwiezenie pakietów po województwach, zwiezenie ich do Łodzi oraz utylizacja.



Za to wszystko nie zapłacą PiS ani Sasin. Zapłacą podatnicy z pieniędzy na walkę z koronawirusem. Taki zapis PiS wprowadził do ustawy o szczególnych instrumentach wsparcia w związku z epidemią COVID-19. Znacznie bardziej trafną nazwą byłaby ustawa o szczególnych instrumentach do opłacania głupich pomysłów partii rządzącej. Bo nawet gdyby parlament przyjął ustawę pozwalającą na przeprowadzenie wyborów kopertowych, to ich zrealizowanie byłoby niemożliwe. Poczta Polska kopertowała karty do głosowania 6 maja, czyli w środę. Potrzebowałyby dnia na rozwieszenie ich po kraju. Kolejny dzień, czyli już piątek, to dostarczenie ich do placówek. A kiedy listonosze mieliby je dostarczyć? Cały dzień ich pracy to roznoszenie poczty po swoim rewirze. A tutaj trzeba by do każdego domu i mieszkania dostarczyć karty, często więcej niż jedną! Jak Sasin i Kaczyński to sobie wyobrażali, pozostanie ich tajemnicą. Sasin nie poczuwa się do odpowiedzialności za marnotrawstwo. Twierdzi, że do strat doprowadziła opozycja swoim sprzeciwem.

Sasin stał się powszechnie znany w 2007 r., gdy jako wojewoda mazowiecki wygasił mandat ówczesnej prezydent Warszawy Hanny Gronkiewicz-Waltz. Uznał, że zbyt późno złożyła oświadczenie majątkowe dotyczące działalności gospodarczej jej męża. Prezydent przekonywała, że w ogóle nie musiała składać takiego oświadczenia, bo jej mąż nie prowadził działalności w stolicy. Sprawa trafiła do Trybunału Konstytucyjnego, a on podzielił tę argumentację. Decyzję Sasina unieważnił też sąd administracyjny. W partii jednak zyskał poklask. Dowiódł, że nie cofnie się przed niczym. I nic się nie zmieniło.■

Mimo kłamstw, Leonard Krasulski wciąż cieszy się pełnym zaufaniem prezesa

Choć jest to mało znany poseł, to jeden z najbardziej zaufanych ludzi Jarosława Kaczyńskiego. Wiele osób mogło go poznać ze zdjęć, na których regularnie strzepuje łupież z ramion prezesa PiS – siedzi bowiem za jego plecami. Leonardowi Krasulskiemu nie zaszkodziło nawet ujawnienie, że skłamał w IPN – w grudniu 1970 r. był uczestnikiem strajków, ale jako żołnierz w czołgu!

Leonard Krasulski, zwany w PiS Lonią, nie tylko ukrywał fakt swojej służby w Ludowym Wojsku Polskim, ale też oszukiwał, że ma średnie wykształcenie. Miał je ponoć zdobyć w 1968 r. Pomylił jednak dwa fakty: zakończenie nauki w szkole niekoniecznie musi oznaczać zdobycie wykształcenia. Szczególnie w przypadku, gdy nie doszło się nawet do IV klasy. „Fakt” dotarł do dokumentów z IPN, w których sam Krasulski opisał, że poszedł do zawodówki w 1964 r., od 1966 r. próbował zrobić równolegle maturę w liceum, ale po dwóch latach musiał przerwać naukę. Tak trafił do wojska.



„Od 1968 r. pracował w Zakładach Piwowarskich w Elblągu. W latach 70. aktywnie uczestniczył w wiecach i demonstracjach w Stoczni Gdańskiej i Trójmieście” – tak brzmi oficjalny fragment życiorysu posła Kraśkowskiego z tego okresu. Jednak z archiwów, do których dotarł „Fakt”

wynika, że od 23 października 1969 r. Krasulski był żołnierzem – najpierw służby zasadniczej. Po uzyskaniu stopnia kaprała w wakacje 1970 r. postanowił zostać zawodowcem. Służył w 1 Warszawskim Pułku Czołgów z Elbląga. To właśnie ta jednostka pacyfikowała stoczniowców na Wybrzeżu w grudniu 1970 r.! Krasulski zapytany o to przez „Fakt” twierdzi, że odmówił wyjazdu do pacyfikacji protestów i został w koszarach. Historycy pytani przez „Fakt” o taką sytuację pukają się w czoło – twierdzą, że dla kaprała taka sytuacja zakończyłaby się karą i byłaby odnotowana w aktach. A tego w aktach Krasulskiego akurat nie ma. Pozostał w armii do lutego 1976 r.! Dochrapał się stopnia plutonowego, gdy nagle został zdegradowany i wydalony ze służby. Jak ustalił „Fakt”, była to kara za... kradzież beczki spirytusu.

Alkohol nie ostatni raz zagroził wówczas karierze Krasulskiego. W 2005 r. Krasulski został skazany za jazdę samochodem na podwójnym gazie. Ani jednak to, ani ujawnienie przez „Fakt” kłamstw w życiorysie nie zmieniło jego pozycji w PiS. Tajemnica jego relacji z Jarosławem Kaczyńskim sięga 1989 r. Wówczas mało znaczący w Solidarności działacz z warszawskiego Żoliborza tylko dzięki wstawiennictwu brata, Lecha Kaczyńskiego, dostał szansę zdobycia mandatu senatora z Elbląga. Tam Jarosław Kaczyński spotkał Krasulskiego, który od 1981 r. był już zaangażowany w tym mieście w działalność opozycyjną. A ten pomógł obecnemu prezesowi PiS zdobyć mandat i zacząć karierę polityczną w wolnej Polsce. Jarosław Kaczyński będzie mu za to dożywotnie wdzięczny.■

Anna Paluch z PiS płaci za mieszkanie ledwie 116,43 zł czynszu, a zarabia krocie

To już 18 lat, jak posłanka Anna Paluch, szefowa struktur PiS na Podhalu, zarabia w Sejmie i korzysta z przywilejów, o jakich zwykli Polacy mogą tylko pomarzyć. Ona jest jednak dodatkowo uprzywilejowana. Bo korzysta z mieszkania komunalnego, za które płaci marne grosze! Choć stać ją na dom, każe biednym rodzinom z dziećmi czekać w kolejce na lokal!

Anna Paluch żyje z polityki „od zawsze”. Przewodziła kiedyś lokalnym strukturom Porozumienia Centrum, a po powstaniu PiS w 2000 r. była radną wojewódzką tej partii. Nieprzerwanie od 2005 r. zasiada w ławach sejmowych. I przez cały ten czas korzysta z mieszkania komunalnego, za które, jak ujawnił Onet, płaci niewiele ponad 100 złotych!

– Pani poseł Anna P. jest najemcą gminnego lokalu mieszkalnego należącego do naszych zasobów. Powierzchnia najmowanego lokalu to 38,3 m kw. Miesięczna stawka czynszu za to mieszkanie wynosi 116,43 zł – informuje Onet Grzegorz Szerszeń, kierownik Zakładu Gospodarki Komunalnej w Krościenku nad Dunajcem. Przyznał, że aktualnie na liście oczekujących na przyznanie mieszkania z zasobów gminnych oczekują trzy ubogie rodziny.



**Posłanka
zajmuje
mieszkanie
komunalne,
a biedne rodziny
czekają**

To szokująco niski czynsz – posłanka płaci ledwie 3,04 zł za metr! Co więcej, mimo inflacji, upływu lat i rosnącej fortuny posłanki czynsz wzrósł zaledwie o 19 zł w ciągu 16 lat! W 2007 r. Paluch za swoje mieszkanie płaciła 97 zł miesięcznie. A z opublikowanego niedawno oświad-

czenia majątkowego wynika, że jej roczny dochód brutto to ponad 304 tys. zł. Paluch poza poselskim uposażeniem i dietą (a jest także na emeryturze!) zarabia jeszcze na szefowaniu dwóm sejmowym podkomisjom: jednej do spraw budownictwa oraz gospodarki przestrzennej i mieszkaniowej oraz drugiej ds. monitorowania gospodarki odpadami. Za każdą z tych funkcji dostaje dodatek w wysokości 10 proc. uposażenia, czyli dodatkowo 2575 zł brutto co miesiąc.

Posłanka Paluch, jak policzył „Fakt”, w tych podkomisjach się nie przepracowuje. Funkcję w podkomisji ds. budownictwa, gospodarki przestrzennej i mieszkaniowej objęła w styczniu 2020 r. Później przez ponad dwa i pół roku nie zwoływała posiedzeń, ale pobierała wynagrodzenie. Ogółem podkomisja miała raptem... trzy spotkania merytoryczne. Średnio za każde z nich posłanka zarobiła po ponad 7200 zł! To więcej, niż zapłaciła za swoje mieszkanie przez pięć lat! „Stawka” za jej „pracę” w drugiej podkomisji jest jeszcze wyższa. Dostała już za nią 41 847 zł, a posiedzenia były raptem dwa. Średnio to więc ponad 20 tys. zł za każde z nich!

Po publikacji Onetu Paluch wydała oświadczenie. Okazało się, że to wina... nie, tym razem ani Putina, ani Tuska, których PiS wini ostatnio za wszystko. To wina SB! Posłanka wyjaśniła w oświadczeniu, że w 1993 r. musiała opuścić lokal, w którym mieszkała, bo było to mieszkanie służbowe jej ojca, które zostało sprzedane prywatnym osobom za „najwyżej połowę realnej wartości”. Kupcy, zdaniem Paluch, okazali się tajnymi współpracownikami Służby Bezpieczeństwa. I to ma tłumaczyć wykorzystywanie swojej pozycji?■

Został wicemarszałkiem sejmiku, a jak PiS straciło większość - wice- prezesem JSW

Wojciech Kałuża, radny sejmiku na Śląsku, stał się symbolem politycznej zdrady. Politycy oczywiście często zmieniają barwy partyjne i klubowe, jednak nigdy dotąd nikt nie zrobił tego tuż po wyborach. I kupiony stanowiskiem.

Wybrany w 2018 r. z list Koalicji Obywatelskiej Wojciech Kałuża na pierwszej sesji sejmiku śląskiego przeszedł do PiS i dał im jednoosobową większość. W zamian dostał posadę wicemarszałka województwa śląskiego. W PO działał od 2006 r. Był wiceprezydentem Żor. Po kłótniach z prezydentem tego miasta przegrał z nim wybory i wstąpił do Nowoczesnej. Posłanka z tego regionu Monika Rosa wspomina, że nie miał sobie równych w atakowaniu PiS. Jak odnotowała „Polityka”, W Wodzisławiu, na spotkaniu ze świeżo zaprzysiężonym Andrzejem Dudą, Kałuża na całe gardło krzyczy: „Ty ch..u!”. Nie dostaje się jednak do Sejmu.

Miał kandydować na prezydenta Żor – nie zebrał ekipy. W zamian za rezygnację dostał „jedynekę” na liście KO do sejmiku w Rybniku. Dostał się pewnie. Ale koalicja „anty-PiS” miała przewagę tylko jednego głosu. A Kałuża nie krył ambicji. I w nie trafiło PiS, a konkretnie Michał Dworczyk, który zajmował się konstruowaniem koalicji w sejmikach w całej Polsce, latając na negocjacje samolotem rządowym. Grzegorz Wolnik, śląski działacz PO, mówił „Gazecie Wyborczej”, że u Kałuży „wygrała

chęć otrzymania wymarzonego stanowiska”. Do tego pieniądze (roczna pensja wicemarszałka województwa to ponad 180 tys. zł) i wpływy.



– Liczę, że wyborcy zrozumieją mój krok i będą ze mnie dumni – mówi w czasie pierwszej sesji sejmiku. – Obiecuję, że wcześniej czy później właściwe organy wyjaśnią, kto otrzymał za to korzyści osobiste... –

komentuje oburzony poseł Borys Budka z KO. Prokuratura odmówiła wszczęcia śledztwa.

Za to znajomi Kałuży dostają intratne stanowiska. W Śląskim Funduszu Rozwoju powołanym do zarządzania częścią unijnych pieniędzy dla regionu szefem został jego były wspólnik. Jego kolega z Żor Krystian Stępień jako wiceszef Funduszu Górnośląskiego (FG) zarobi w rok 650 tys. zł. Po kontroli CBA stracił stanowisko. Jak donosi Onet, aż 53 mln zł (z 93 mln zł!) wydanych przez FG na walkę z pandemią miały trafić do firm powiązanych ze znajomym Stępnia. – Ustalenia są druzgocące. Pół roku próbowałem sprawę wyjaśniać, ale obstrukcja pana marszałka Kałuży w tej sprawie była potężna – mówi Onetowi Jakub Chelstowski, marszałek sejmiku. W listopadzie 2022 r. z trójką radnych opuszcza szeregi PiS i przechodzi do opozycji. PiS traci większość, a Kałuża stanowisko. Nie został jednak na lodzie. 3 tygodnie później... wygrał konkurs na wiceprezesa Jastrzębskiej Spółki Węglowej. Przyszedł do pracy 14 grudnia i w 2 tygodnie zarobił 28 tys zł., co ujawnił portal slazag.pl. PiS nie da mu zginąć, bo to ma być wiadomość dla każdego innego potencjalnego „zdrajcy” – Kaczyński zawsze o nich zadba. A ci, którzy go zdradzają, **przekonają**⁽⁸⁾ się o jego bezwzględności. Siostra radnej PiS w sejmiku świętokrzyskim została zwolniona z pracy w instytucji podlegającej samorządowi dzień po tym, jak Agnieszka Buras z trzema kolegami przeszli na stronę opozycji i pozbawili PiS władzy w województwie.■

Jak PiS broni SKOK Wołomin, a atakuje urzędników

Afera ze SKOK Wołomin to jeden z największych skandali z udziałem polityków PiS w ostatnich 15 latach. To jednak, co zrobiono z tą sprawą, odkąd „dobra zmiana” przejęła władzę w Polsce, sprawia, że nóż się w kieszeni otwiera. A senator Grzegorz Bierecki może się śmiać w twarz wszystkim, którzy od lat pokazują patologiczną strukturę SKOK.

Od 12 lat nie może się zacząć proces zarządu SKOK Wołomin. To była największa w Polsce kasa oszczędnościowo-kredytowa. Jej **upadek**⁽⁷⁾ nastąpił w lutym 2015 r. na wniosek Komisji Nadzoru Finansowego, która w listopadzie 2014 r. ustanowiła tam zarząd komisaryczny. Bankowy Fundusz Gwarancyjny zwrócił 45 tys. klientów SKOK łącznie 2,2 mld zł! Straty SKOK Wołomin ocenia się na aż 3 mld zł. Powstały głównie w wyniku procederu udzielania niespłacalnych kredytów, często na działalność przestępczą. Spośród 225 osób, tzw. słupów, skazano już 90. Główni organizatorzy procederu nie mają jednak nawet aktów oskarżenia. Za to na ławie oskarżonych siedzą, na wniosek byłego senatora PiS, a prywatnie szefa jednego ze SKOK, Jerzego Szmita, urzędniczy KNF, którzy sprawę wykryli i zakończyli proceder! Wśród nich były wiceszef tej instytucji Wojciech Kwaśniak, na którego zarząd SKOK Wołomin zaplanował zamach! W efekcie ataku bandytów Kwaśniak był o krok od śmierci, pobity metalową pałką. Wówczas to twórca SKOK, senator PiS Grzegorz Bierecki, powiedział, że „bandyta nie zawsze bije tego dobrego”. A powiązane z nim media prawicowe regular-

nie insynuują, że Kwaśniak brał udział w procederze wyłudzeń kredytów! Ba, w styczniu 2019 r. na zlecenie prokuratury CBA zatrzymało byłych szefów KNF oraz urzędników tej instytucji, którzy kontrolowali SKOK-i. Wśród zatrzymanych był Kwaśniak. Zarzucono im, że... zbyt późno objęli nadzorem SKOK Wołomin. Tyle że przestępcza działalność była prowadzona tam od 2007 r., a SKOK-i trafiły pod nadzór KNF dopiero 6 lat później! Ustawa o objęciu SKOK-ów nadzorem KNF została uchwalona w 2009 r., ale weszła w życie dopiero pod koniec 2012 r. dlatego, że prezydent Lech Kaczyński (w jego kancelarii pracowało kilka osób powiązanych z Biereckim i SKOK-ami) skierował ją do Trybunału Konstytucyjnego. Przez ponad 3 lata oczekiwania na wyrok, depozyty, jak i kredyty SKOK Wołomin potroiły się. A KNF zadziałała błyskawicznie. Nadepnęła jednak na odcisk PiS i Biereckiemu. Ujawniła bowiem nie tylko skalę patologii w SKOK Wołomin, ale też, że centrala SKOK nie nadzorowała tej kasy, a 70 mln zł z funduszu wsparcia wyprowadzono za granicę do fundacji należącej do... Biereckiego.



Z raportów KNF opublikowanych jeszcze w 2015 r. wynika, że centrala SKOK do samego końca działalności SKOK Wołomin miała obowiązek nadzorowania jej i powinna wiedzieć o nadużyciach. Tymczasem niemal do końca swojej działalności SKOK Wołomin był przez centralę nagradzany i stawiany innym kasom za wzór!

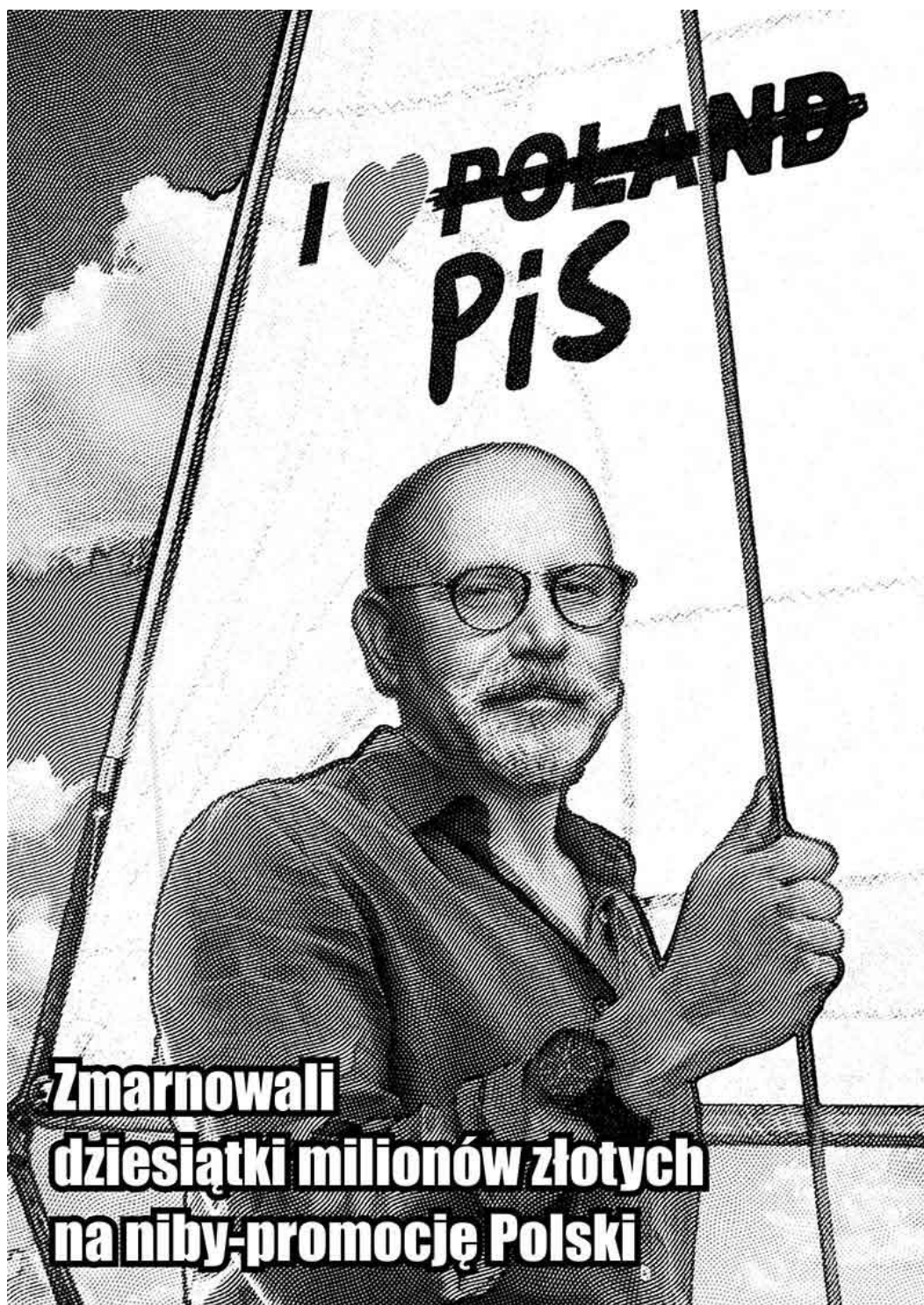
Sądy uznały zatrzymanie b. szefów KNF z 2019 r. za bezzasadne. Dostali za to odszkodowanie od państwa. Jednak w lipcu 2021 r. prokuratura wniosła przeciwko nim akt oskarżenia, nie wycofując się z ani jednego zarzutu. Zarząd wołomińskiego SKOK nadal jest bezkarny. Nie powstał akt oskarżenia wobec osób kierujących procederem wyludzania kredytów. A sprawcę brutalnego pobicia Kwaśniaka śledczy wypuścili na wolność i do dzisiaj jest poszukiwany listem gończym. Bierecki natomiast od miesięcy nie stawia się w sądzie, by zeznać, co miał na myśli, broniąc zamachowca.■

PFN - Polska Fundacja Nieprawidłowości

Maciej Świrski, dzisiaj jako szef Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, walczy z wolnymi mediami. To jednak nie jest jego pierwsza rola w obozie PiS. Był wiceprezesem i twarzą Polskiej Fundacji Narodowej (PFN), która miała pokazywać Polskę „piękną, przyjazną i ambitną”, a pokazała swoje najgorsze oblicze – szczucia na innych i bylejakości.

PFN powstała z inicjatywy rządu, a zrzuciło się na nią 17 spółek Skarbu Państwa. Zasoby były potężne – aż 100 mln zł. Do ich wydawania wzięli się jednak amatorzy. W dodatku z partyjnym zacięciem. Zaczęło się od jachtu. Miał być hołdem dla Ojczyzny na 100-lecie odzyskania niepodległości. Z profesjonalną załogą, w tym byłym mistrzem olimpijskim Mateuszem Kusznierewiczem, miał wziąć udział we wszystkich największych regatach na świecie.

Fundacja kupiła za prawie 5 mln zł używany francuski jacht. Nie było ani regat, ani rejsu dookoła świata. Nie było też Kusznierewicza, którego firma wycofała się w atmosferze skandalu. Zamiast „Polska 100” jacht nazwano „I love Poland”. Jacht pływa w mało znaczących regatach, które wygrywa. Trudno jednak mówić o jakimkolwiek efekcie marketingowym tego pomysłu.



Po jachcie była prorządowa kampania billboardowa „Sprawiedliwe sądy”, zlecona przez PFN spółce Solvere. Sąd uznał, że⁽⁸⁾ jej finansowanie było sprzeczne z celami działania fundacji, zawartymi w statucie, a 2 lata później kazał prokuraturze zbadać, czy Świrski i inni członko-

wie ówczesnego zarządu PFN nie powinni odpowiadać za to karnie. Kampania kosztowała 8,4 mln zł i jest wskazywana jako przykład kłamstwa i manipulacji. Miała na celu zohydzenie społeczeństwu sędziów tak, by nie było protestów po wprowadzaniu przez PiS kolejnych tzw. reform.

Na co jeszcze Świrski z kolegami zmarnowali miliony? Ponad 27 mln zł zapłacili amerykańskiej firmie PR-owej White House Writers Group m.in. za stworzenie profili o Polsce w mediach społecznościowych. Mało kto na nie zaglądał i zostały zamknięte. Dostali pieniądze na organizację spotkań, których w rzeczywistości nie było. W ciągu 2 lat przelewy opiewające w sumie na ponad milion złotych otrzymali m.in. kontrowersyjny historyk Marek Jan Chodakiewicz i jego córka.

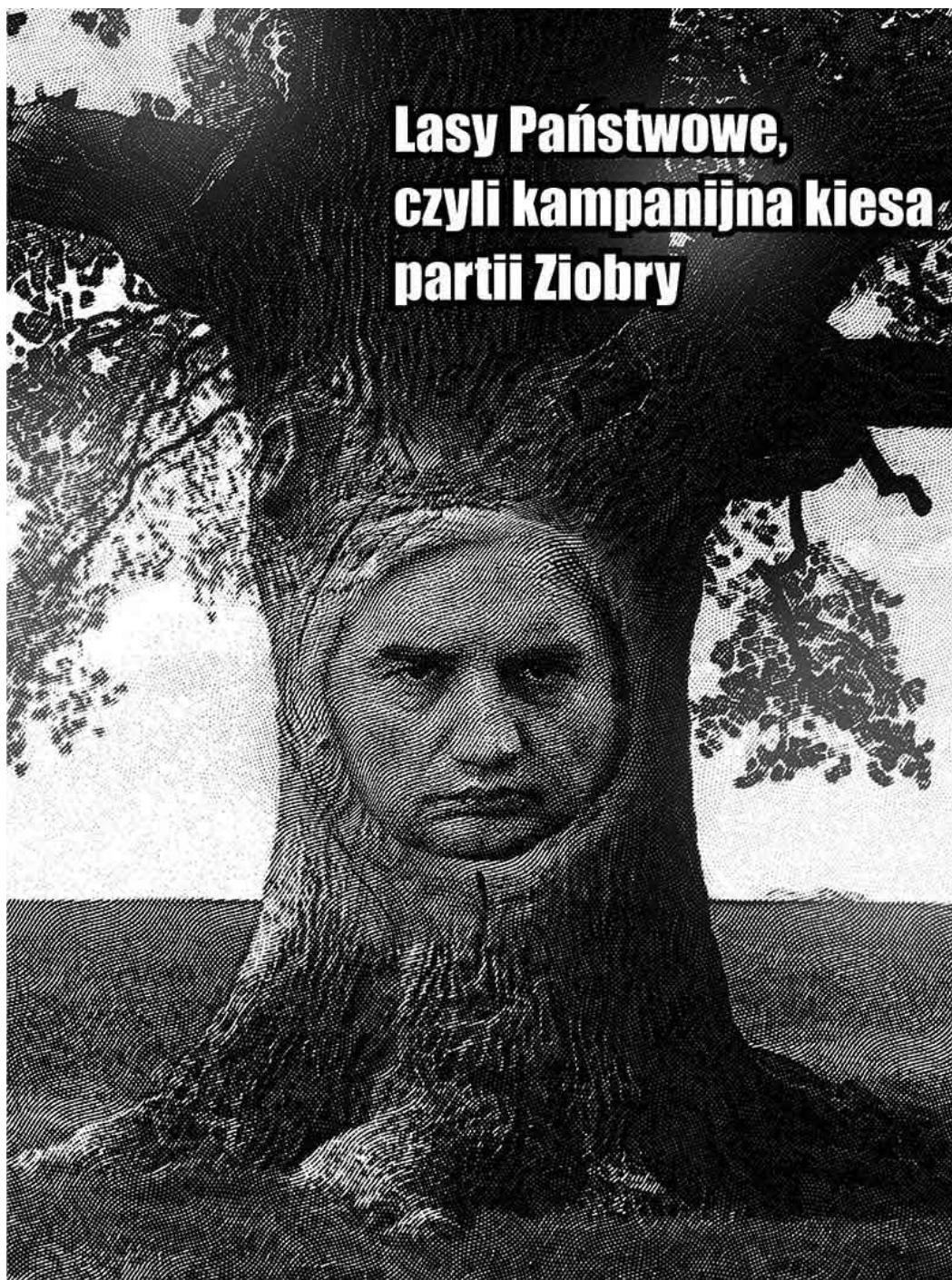
Fiaskiem skończył się również projekt marzeń Jarosława Kaczyńskiego i Piotra Glińskiego, czyli „polskie Hollywood”. Za pieniądze PFN amerykańskie gwiazdy miały wystąpić w filmach, które w amerykańskim stylu opowiadałyby polską wersję historii. Efektem były dwa krótkie spoty z udziałem Mela Gibsona i Liama Neesona oraz film *Poland: The Royal Tour*, którego gwiazdą był... Mateusz Morawiecki. Więcej dla promocji Polski zrobił Russel Crowe, który w mediach społecznościowych kibicował Polakom podczas piłkarskiego Euro 2016, a potem mundialu w 2018 r. I to za darmo.

Kiedy w 2021 r. do PFN chcieli wejść kontrolerzy Najwyższej Izby Kontroli, nie zostali wpuszczeni. Prokuratura Okręgowa w Warszawie odmówiła wszczęcia dochodzenia w tej sprawie, a jako powód podała brak znamion czynu zabronionego.■

Suwerenna Polska woli kasę z lasu niż porządek w sądach

Setki tysięcy złotych na parafie i stowarzyszenia działające w okręgach, z których pochodzą politycy partii Zbigniewa Ziobry – taka jest rzeczywistość Lasów Państwowych (LP). Wycina się na potęgę drzewa, by było jak najwięcej pieniędzy na podobne akcje. Bez żadnej kontroli. Takie państwo w państwie.

Lasy Państwowe to monopolista: zarządzają ponad 75 proc. powierzchni lasów i pozyskują ok. 95 proc. drewna w Polsce. Jak pokazał raport Pracowni na rzecz Wszystkich Istot, stają się **się**⁽⁴⁾ coraz bogatsze. W 2021 r. osiągnęły ponad 700 mln zł zysku netto – trzy razy więcej niż w 2008 r. W minionym roku to już był miliard złotych, a tak naprawdę 4 mld zł, ale 3 mld poszły na specjalny fundusz, by nie wykazywać tak ogromnego zysku. Jeśli dochodzi do tego wiedza, że aż 90 proc. przychodów pochodzi ze sprzedaży drewna, to chyba już wiadomo, czym się głównie zajmują Lasy Państwowe. Ochroną przyrody? Wolne żarty. Kwota na ten cel regularnie spada i to już zaledwie 0,4 proc. przychodów! Jak kraj długi i szeroki, wszędzie są wycinane drzewa. Nie wiadomo, dokąd są wywożone, bo drewna na polskim rynku brakuje. A leśnicy uważają, że żadnej wycinki nie ma. – My nie likwidujemy lasów, pozyskując drewno, a przejściowo zmieniamy generację drzewostanu – tłumaczył w Radio Nadzieja Rafał Zubkowicz z Lasów Państwowych. Jaka piękna nowomowa...



Wynagrodzenia w LP szybują w kosmos. Nadleśniczy o poziom życia **bać**⁽⁴⁾ się nie musi. Zarabia tyle co premier, a udział wynagrodzeń w kosztach LP to mniej więcej 30 proc. Od kilku lat pieczę nad tym przedsiębiorstwem sprawują nominaci Suwerennej Polski, czyli partii Zbigniewa Ziobry. Dbają o kieszeń leśników i pozwalają na olbrzymie

dochody dla LP, sami też czerpią polityczne frukty. A do wydania jest sporo.

Na ten rok zaplanowano np. akcję billboardową. Będzie kosztować 65 mln zł. Dwa razy więcej niż LP przeznaczają na wsparcie parków narodowych. Co będzie na plakatach? Jeszcze nie wiadomo. A mamy rok wyborczy... Rok temu Lasy Państwowe zorganizowały konkurs „Drewno jest z lasu”, który miał promować polski model „trwale zrównoważonej gospodarki leśnej”. Ze 118 laureatów konkursu, który w puli miał prawie 100 mln zł, aż 100 to parafie i organizacje katolickie w okręgach, z których pochodzą politycy od Ziobry. Wyniki konkursu to może być pierwszy efekt powstania w LP... zespołu duszpasterskiego w sprawach kształtowania postaw etyczno-moralnych wśród pracowników.

Śledztwo dziennikarskie OKO.press i Frontstory.pl wykazało z kolei, że LP tylko w 2 lata wydały blisko 13 mln zł na materiały sponsorowane w zaprzyjaźnionych z rządzącą prawicą mediach.

W marcu rząd przegrał w Trybunale Sprawiedliwości Unii Europejskiej sprawę dotyczącą polskich lasów. Sędziowie wskazali, że polskie prawo narusza przepisy ochrony przyrody i przepisy o dostępie obywateli do informacji o środowisku.■

To on rządzi prokuraturą. I będzie to robić, nawet jak PiS przegra!

O tej historii słyszał już niemal każdy. Pani Joanna z Krakowa po zażyciu pigułki wczesnoporonnej była w złym stanie i zadzwoniła do swojej lekarki. Ta zaalarmowała numer 112. W szpitalu poza pomagającymi jej lekarzami czekali w gabinecie policjanci. Czarnym charakterem w tej historii są jednak osoby, których tam nie było – zlecająca akcję policji pani prokurator i jej szef, prokurator krajowy Dariusz Barski.

Zacznijmy od tego, kim jest Barski. Bo prokuratorem krajowym jest od niespełna półtora roku, gdy Bogdan Świączkowski został sędzią Trybunału Konstytucyjnego. Jednak od początku rządów PiS Barski był jego zastępcą. Był również na tym stanowisku w 2007 roku, w czasie trwania tzw. afery gruntowej. Barski w 2010 r. odszedł w stan spoczynku i rok później został wybrany do Sejmu z listy PiS. Tu czekało na niego zaskoczenie, bo ówczesny marszałek Sejmu Grzegorz Schetyna na podstawie opinii prawnych oczekiwał od niego wyboru – albo pozostaje prokuratorem w stanie spoczynku, albo posłem. Barski wybrał „emeryturę” prokuratorowską.



Rola Barskiego jest ogromna także z racji na zmianę prawa, która w te wakacje **nas**⁽⁸⁾ czeka. Otóż na podstawie rządowego pomysłu prokurator generalny praktycznie straci władzę w prokuraturze. Niemal wszystkie jego kompetencje przejmie prokurator krajowy, a więc Bar-

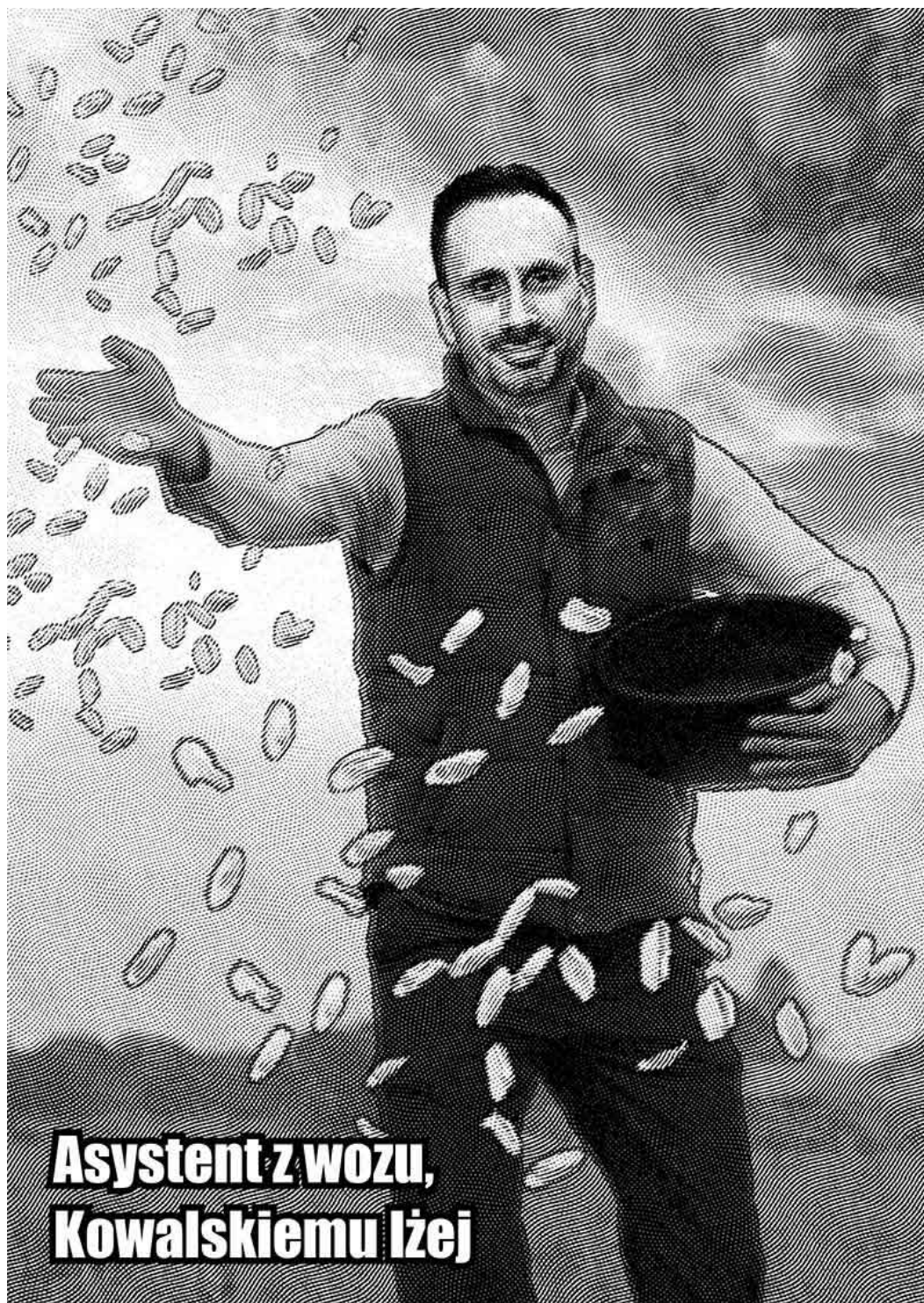
ski. On będzie decydował w kwestiach budżetu prokuratury, kadr i o kierunkach śledztw. A to oznacza, że nawet jeśli Zbigniew Ziobro straci stanowisko, to jego kolega (Barski był świadkiem na ślubie Ziobry i Patrycji Koteckiej) będzie rządził prokuratorami. A nie da się go odwołać bez zgody prezydenta. Tym do sierpnia 2025 r. będzie Andrzej Duda. Oczywiście, każdą ustawę można zmienić, ale do przełamania weta prezydenta potrzeba będzie w Sejmie nie 231, a 278 głosów.

Mimo że formalnie ta zmiana jeszcze nie weszła w życie, i tak to Barski ma największy wpływ na prokuratorów. W tym panią prokurator z Krakowa, która wiosną 2023 r. wysłała policję do gabinetu lekarskiego, w którym pojawiła się pani Joanna – wcześniej po domowej aborcji farmakologicznej i w słabym stanie psychicznym. Prokuratura tłumaczyła, że prowadzi śledztwo z artykułów mówiących o pomocy w aborcji i namowcie do samobójstwa. Sąd stwierdził potem, że ani nie była podejrzana, ani nikt jej nie pomagał, ani nie było żadnych widoków na stawianie jej zarzutów. Inna pani prokurator, z Warszawy, w domu kobiety, która samoczynnie poroniła, kazała skrupulatnie przeszukać szambo i rury kanalizacyjne, by dowieść, że to była aborcja, a nie dramat kobiety, która straciła dziecko... Gdyby z takim zaangażowaniem i determinacją prokuratura ścigała prawdziwych przestępców, to żylibyśmy chyba w kraju bez przestępczości. Tyle że ich gorliwość dotyczy spraw ideologicznych. I takich spraw jest coraz więcej, a prokuratura coraz bardziej bezwzględna i pozbawiona empatii...

Rolnicy nagrali asystenta wiceministra rolnictwa, jak obiecywał załatwić dzierżawę

Janusz Kowalski idealnie odzwierciedla teorię, że jak ktoś jest do wszystkiego, to jest do niczego. Pracował w spółkach, był wiceministrem od nadzoru, trafił do resortu rolnictwa. Okazał się niezatapialny, bo ocalał nawet po ujawnieniu taśm, na których jego asystent i główny doradca obiecywał odrolnienie ziemi za łapówki.

Kowalski należy do tzw. klubu milionerów PiS. W pierwszej kadencji „dobrej zmiany” był prokurentem i członkiem zarządu Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazownictwa, potem członkiem zarządu Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych, a w międzyczasie zasiadał w radach nadzorczych Poczty Polskiej i KGHM Polska Miedź. Posłem został w 2019 r. Niedługo potem trafił do Ministerstwa Aktywów Państwowych. Został odwołany w lutym 2021 r. za krytykę strategii unijnej własnego rządu. Nawet na dymisji zbił kapitał, bo od razu pojechał po wsparcie górników z Turowa. Jego powrót do rządu wydawał się nieunikniony. Wrócił jednak do... resortu rolnictwa. Że się **nie**⁽⁴⁾ zna na wsi? I co z tego? Został pełnomocnikiem rządu ds. przetwórstwa i rozwoju rynków rolnych. Opowiadał, że zna się dzięki swojemu asystentowi Tomaszowi Ognistemu.



„Jeśli taki Ognisty może wpłynąć na to, żeby w ustawie zmienić jeden zapis, który jest niekorzystny dla rolników, to teraz sobie wyobraź, jak go podeprzesz ze wszystkich czterech stron filarami, to możesz zrobić wszystko. A tort jest tak wielki, że starczy dla wszystkich” – to nagrane

słowa Ognistego, które ujawnił „Newsweek”. Z kontekstu jednoznacznie wynikało, że jego pozycja przy Kowalskim dawała mu ogromne możliwości wpływu. I zamierzał nie tylko z nich korzystać, ale i na tym zarobić. „Przyjechali do mnie kiedyś rolnicy i mi mówią tak: Tomek, wiesz, chcielibyśmy wydzierżawić 500 ha, powiedzieli, czy 700. Ja tak ich słucham, no fajnie. Tomek, wiesz, jak będziesz jechał do Warszawy, damy ci na wyjazd, na to, na tamto. Ja mówię, słuchaj, mówisz mi 500 ha na 15 lat, pół bańki rocznie z dopłat, a ty mi mówisz, że ty chcesz mi dać na obcinacz do paznokci?” – mówił Ognisty, sugerując, że za załatwienie sprawy chce solidnej zapłaty. A chodziło o 10 tys. hektarów dzierżawionych przez firmę Top Farms, spółkę córkę austriackiego potentata. Znajomi Ognistego mieli przejąć te grunty, a on im to załatwić.

Najpierw Kowalski zarzucał „Newsweekowi” publikację zmanipulowanych nagrań i straszył redakcję pozwami. Potem jednak zmiękł. Poinformował, że zwrócił się do CBA i ABW z wnioskiem o objęcie kontrolą całego procesu zwrotu i parcelacji gruntów przez spółkę Top Farms. Oraz że wystąpił do Kancelarii Sejmu o wykreślenie Ognistego z funkcji asystenta społecznego. Kowalski na stanowisku pozostał. Wiadomo, stoi za nim partia Zbigniewa Ziobry.■

Z inwestycji w centrum stolicy prezes PiS się wycofał tylko z obawy o przegraną w wyborach

Kiedy Platformą Obywatelską wstrząsnęła w 2014 r. afery taśmowa, okazało się, że kelnerom nie udało się nagrać lidera partii, Donalda Tuska. Jarosław Kaczyński nie dość, że został nagrany, to jeszcze we własnej aferze – aferze „dwóch wież”. Do dziś niewyjaśnionej, bo cały aparat państwa został zaangażowany, by aferę zamieść pod dywan.

Był 29 stycznia 2019 r., gdy „Gazeta Wyborcza” opublikowała pierwszy tekst związany z taśmami Kaczyńskiego. Powiązany rodzinie z prezesem PiS austriacki biznesmen Gerald Birgfellner negocjuje z nim wybudowanie na działce należącej do spółki Srebrna biurowca wysokiego na 190 m. Mają to być dwie „bliźniacze” wieże. Wiadomo, dla kogo ma to być hołd – najśłynniejszych bliźniaków w historii polskiej polityki. W biurowcu miały być m.in. apartamenty, hotel i siedziba Instytutu im. Lecha Kaczyńskiego.

Birgfellner uważa, że został w tej sprawie oszukany. Wykonał pracę, a Kaczyński nie chciał mu za nią zapłacić. Chodziło o niebagatelną sumą 1,58 mln zł. Reprezentujący go adwokaci złożyli do prokuratury zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez prezesa PiS. Smaczku sprawie dodawał fakt, że – jak wynika z nagrań – to państwowy Bank Pekao SA, którego prezesem był wówczas Michał Krupiński, miał finansować budowę wież. – Mój klient dostał od Jarosława Ka-

czyńskiego jednoznaczny komunikat: ten wieżowiec ma być pomnikiem moim i mojego brata, taką mam ideę i potrafię ją zrealizować. To ja podejmuję decyzje, a inni je wykonują. I mój klient widział przez cały rok, że tak to działa. Pan Kaczyński wskazywał partnerów, ich akceptował, rozmawiał o finansach, wskazał bank – mówił mec. Jacek Dubois reprezentujący Austriaka.



W kolejnym nagraniu Kaczyński tłumaczy rezygnację z budowy wież względami politycznymi. Sugeruje, że wówczas rozpętałyby się kampania „pod tytułem: partia buduje wieżowiec, azjatyckie stosunki, że to ja buduję, a w związku z tym jestem niezwykle zamożnym człowiekiem”. –

Nie możemy sobie na to pozwolić. Dlatego musimy tego przedsięwzięcia zaniechać. Chyba że tutaj (w Warszawie) by była zmiana władzy... – mówi. Opozycja domaga się, by CBA sprawdziło oświadczenia majątkowe Kaczyńskiego. CBA odmawia. Opozycja stawia zarzut konfliktu interesów. Podnosi, że ówczesny szef CBA Ernest Bejda w przeszłości pracował w spółce Srebrna. A to ta spółka miałaby budować wieże. To w jej imieniu negocjacje prowadzi Kaczyński. Za te stwierdzenia PiS domaga się od „Gazety Wyborczej” przeprosin i 30 tys. zł.

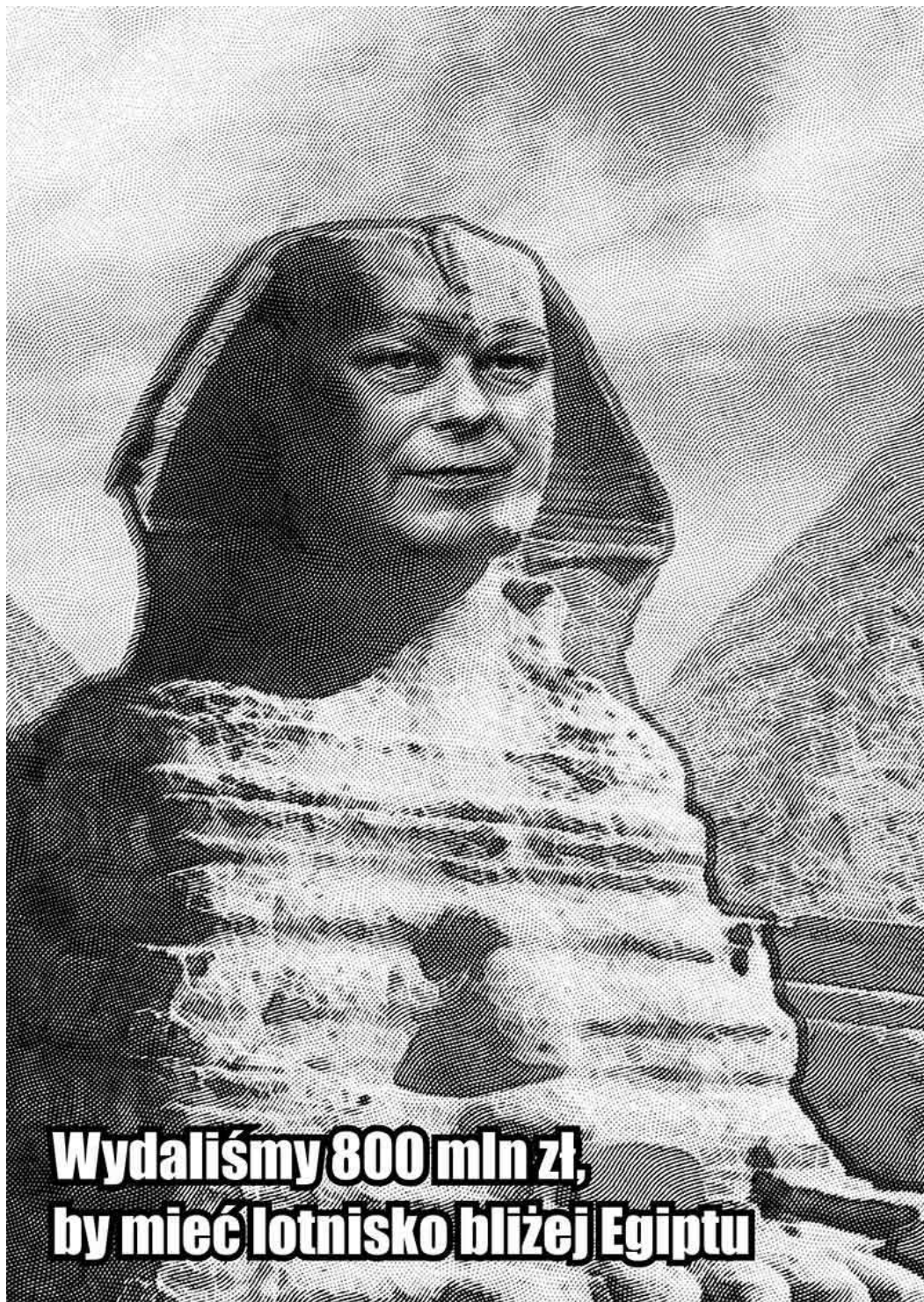
Potem Kaczyński przyzna, że w sprawie budowy wież przez Birgfellnera był „pod pewnym naciskiem” ze strony rodziny. – To on sam zainteresował się tą sprawą, twierdząc, że potrafi to poprowadzić. Deklarował, że z góry wynajmie część lokali i że uzyska kredyt w zachodnim banku. Z naszego punktu widzenia, biorąc pod uwagę problemy, na jakie natrafialiśmy, takiej propozycji nie można było odrzucić – mówił prezes PiS.

Po prawie 9 miesiącach postępowania sprawdzającego prokuratura odmówiła wszczęcia śledztwa w sprawie ewentualnego oszustwa, jakiego miał się dopuścić Kaczyński. Decyzja prokuratury zapadła 11 października, ale została ujawniona... dopiero po wyborach parlamentarnych. Prokurator nie przesłuchała nawet prezesa PiS. Wzięła jego zeznania z innej sprawy, gdzie był... świadkiem. Równi i równiejsi, wiadomo.■

Marek Suski jest z Radomia i chciał tam międzynarodowego portu lotniczego. I ma!

Ile można wydać z budżetu na spełnianie marzeń? Nie, nie Polaków ani jakiejś dużej grupy podatników. Jednego człowieka. Odpowiedź brzmi: nawet 800 mln zł, o ile ten człowiek nazywa się Marek Suski.

Ta inwestycja to spełnienie marzeń wielu ludzi i środowisk. Ale ojca ma jednego, jest nim poseł Marek Suski. To dzięki jego wysiłkom i staraniom, wysiłkowi i uporowi w twórcze przekształcanie rzeczywistości, zawdzięczamy to, że dziś możemy cieszyć się z Lotniska Warszawa-Radom – mówił Jarosław Kaczyński, gdy w kwietniu 2023 r. otwierano lotnisko w mieście, z którego posłem jest Suski. Jemu z kolei dziękował „ojciec lotniska”. Podkreślał, że prezes mówił przed laty, że lotnisko w Radomiu ma być „uhonorowaniem bohaterów radomskiego czerwca 1976 r.”, że to „miasto z wyrokiem, skazane na zapomnienie przez komunistów, miało najwyższe bezrobocie w Polsce”. – I dzięki woli prezesa Jarosława Kaczyńskiego, i analizie biznesowej taka decyzja zapadła – mówił Suski.



**Wydaliśmy 800 mln zł,
by mieć lotnisko bliżej Egiptu**

Lotnisko w Radomiu powstało w 2014 r. I w 4 lata padło. Eksperti mówili, że ekonomicznie to się nie spina. No, może gdyby była szybka kolej do Warszawy. Tyle że pociąg ze stolicy jedzie do Radomia w 1 godzinę i 40 minut...

Suski miał jednak marzenie. A nawet dwa. Jedno, żeby w Radomiu było lotnisko. A drugie, by latały z niego samoloty do Egiptu. – Z tego portu będzie bliżej na południe Europy i do Afryki – zapewniał w 2018 r. I dodał, że z analiz, które były robione, wynika, że „większość Polaków lata na południe Europy czy też do krajów afrykańskich”. – Czyli lotnisko położone na południe od Warszawy jest bardzo dogodne dla przewoźników i dla pasażerów – triumfował Suski.

Od ponownego otwarcia z Radomia można latać LOT-em do Paryża, Rzymu czy Tirany, czarterem Enter Air do Antalya czy Burgas. Loty do Egiptu też miały się odbywać, ale nie było popytu na bilety. – Był tu niedawno na lotnisku z wizytą ambasador Egiptu wraz z małżonką, dziećmi. Był zachwycony lotniskiem. Ja go przekonywałem, żeby namówił ich linie lotnicze, by uruchomiły połączenia – mówi money.pl poseł Suski.

Nie ma też lotów ze Szwecji i Wielkiej Brytanii, które z kolei były marzeniem koleżanki klubowej i lokalnej Suskiego, posłanki Anny Kwiecień. W jej wizjach mieli nimi przylatywać dziesiątki emerytów z tych państw i leczyć się w Radomiu, bo tu jest taniej niż w ich ojczyznach. – Radom na pewno skorzysta na turystyce medycznej – zapowiadała posłanka.

Na razie nie korzysta. Nazwa lotniska, czyli Warszawa-Radom, raczej nie buduje tożsamości miasta oddalonego 100 km od stolicy. Oczywiście jest z niego bliżej do Afryki. Czy poza spełnieniem drogiego marzenia Marka Suskiego, który jest drogi sercu prezesa PiS, lotnisko w Radomiu spełni jakieś inne oczekiwania? – Pamiętam, jak rozpoczynaliśmy budowę lotniska w Radomiu, to wszyscy też mówili, że to tylko są marzenia. Jak widać, marzenia się spełniają – mówi poseł Suski.

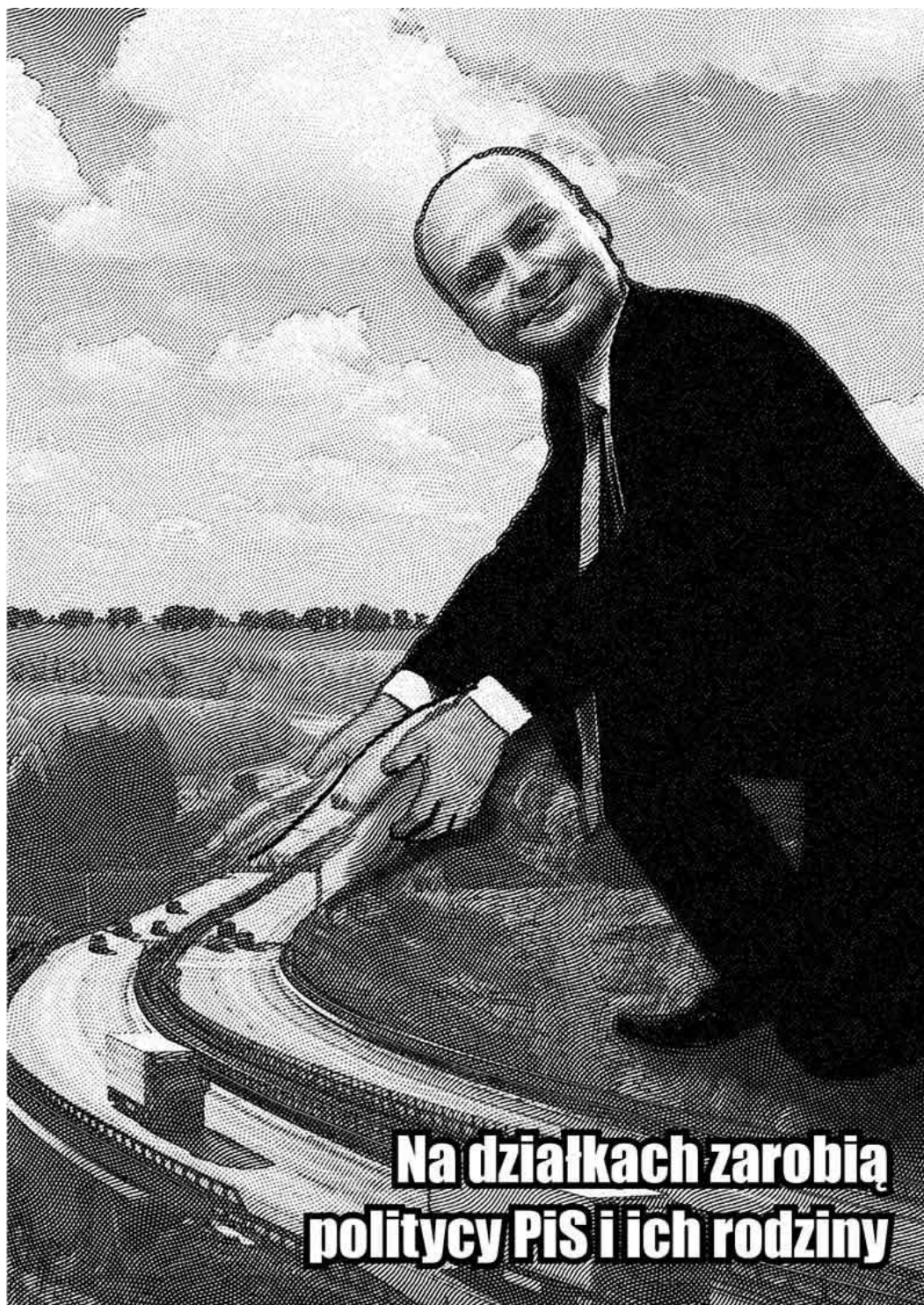
Liczyby mają jednak to do siebie, że muszą się spinać. W 5 tygodni od otwarcia lotnisko przewiozło 10 tys. pasażerów. By wyjść na zero z kosztami, musi ich mieć... 80 tys. miesięcznie. Nawet jakby Suski z całą rodziną latał codziennie, to za mało. ■

TVN nazwał to układem radomskim, czyli dziwne koleje odcinka drogi S12

W okolicach Radomia powstanie wyczekiwany przez wielu mieszkańców fragment ekspresowej drogi S12. Po wielu latach wybrano jednak taki wariant przebiegu trasy, który już w 2018 r. był tematem materiału śledczego w TVN. Droga przebiegnie przez działki, które dziwnym trafem należą do ludzi powiązanych z Andrzejem Kosztowniakiem – byłym prezydentem Radomia, a teraz szefem sejmowej komisji finansów z PiS.

Jesienią 2018 r. dziennikarze „Gazety Wyborczej”, a potem Superwizjera TVN ujawnili, że politycy PiS z Radomia na czele z byłym prezydentem tego miasta Andrzejem Kosztowniakiem naciskają na wybór wariantu B odcinka drogi S12. Droga S12 to planowany od lat korytarz mający połączyć centrum kraju z Lublinem oraz dalej na wschód z Ukrainą. Miała przebiegać przez nieużytki, z dala od zabudowań. Nagle jednak okazało się, że urzędnicy mają nowy plan. – Kto lobbuje, żeby podzielić gminę na pół, skoro tysiąc metrów stąd są nieużytki, przez które spokojnie ta trasa może pójść? – To wypowiedź jednego z mieszkańców gminy Kowala w TVN. – To jest tak śmiesznie zrobione, jakby ktoś chciał trafić w pewne działki – mówi inny. Jedną z działek jest osiedle domków jednorodzinnych, które się nie sprzedały. Zbudowała je radomska firma Rosa-Bud, której właścicielem jest biznesmen Roman Sa-

czywko. Gdy dojdzie do budowy S12 w tym miejscu, za domki dostanie od państwa odszkodowanie tak samo, jakby były zamieszkane.



To jeden z najbogatszych biznesmenów w Radomiu, który za rządów PiS w mieście mógł liczyć na intratne zlecenia, np. Zespół Szkół Muzycznych za ponad 40 mln zł. Budowę nadzorował ówczesny zastępca Kosztowniaka, Igor Marszałkiewicz. 2 tygodnie po oddaniu budowy został właścicielem apartamentu, który kupił od... syna Romana Saczywki. Bez kredytu.

Syn Saczywki jest też współwłaścicielem innej nieruchomości razem z Dariuszem Wójcikiem, wieloletnim przewodniczącym Rady Miasta. – Nie ma w tym nic złego, że koledzy kupują ze sobą inwestycje – tłumaczy Wójcik. – Skup ziemi przez Przemka, jak będzie miał środki, to jest mój pomysł – przyznaje Roman Saczywko w rozmowie z TVN.

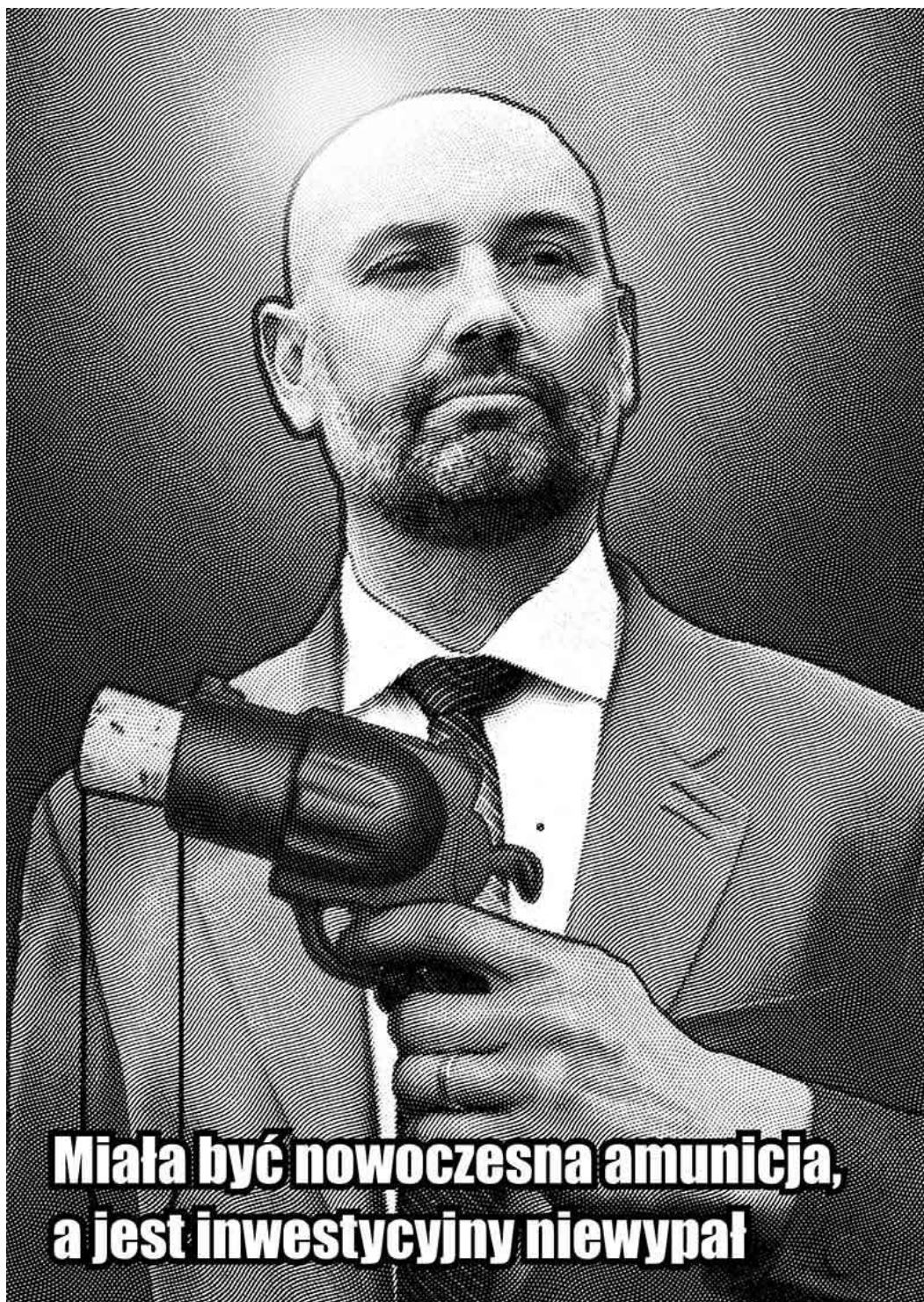
W prace nad trasą S12 włączył się w Sejmie Kosztowniak, już jako poseł. Został przewodniczącym sejmowego zespołu do spraw budowy trasy S12. Mieszkańcy gminy Kowala zwrócili się do niego o wsparcie. Odmówił. Nic dziwnego. TVN wśród właścicieli działek, obok których przebiega ostatecznie wybrany wariant, znaleźli m.in. byłego posła PiS, Krzysztofa Sońtę, czy... siostrę posła Kosztowniaka, Anetę. Poseł Kosztowniak zapytany o to, czy wartość działek, w tym współnależącej do jego siostry, położonych w bezpośredniej bliskości trasy S12, wzrośnie, odpowiedział, że nie wie.

Po emisji Superwizjera, wyjaśnień od radomskich posłów PiS zażądał prezes Jarosław Kaczyński. Uspokoił go i zapowiedzieli, że pozwą TVN. W sprawę zaangażował się też minister infrastruktury Andrzej Adamczyk, który oświadczył: „Nie jest prawdą, że zostały podjęte jakiekolwiek decyzje w sprawie ostatecznego wariantu przebiegu drogi ekspresowej S12 w okolicach Radomia”. Decyzja środowiskowa została wydana pod koniec 2021 r. Zaakceptowany wariant to ten obok działek „układu radomskiego”. W grudniu 2022 r. na odcinek S12 znalazły się pieniądze w budżecie. – Możemy śmiało przystąpić już do realizacji wszystkich innych elementów – komentował Kosztowniak.■

Sebastian Chwałek to siódmy prezes PGZ od 2016 roku. I tak samo nieudacznym

Wiele państw po agresji Rosji na Ukrainę zdało sobie sprawę z tego, że czas zaniedbywania przemysłu zbrojeniowego bezpowrotnie minął. Polska tę decyzję podjęła znacznie wcześniej. Tyle że decyzja to jedno, a wykonanie drugie.

W listopadzie 2019 r. w Skarżysku-Kamiennej premier Mateusz Morawiecki i szef MON Mariusz Błaszczak odwiedzają hale MESKO, znanej firmy zbrojeniowej będącej częścią Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Ogłaszają decyzję o dokapitalizowaniu PGZ. 400 mln zł ma postawić na nogi półżywe zakłady w Pionkach i MESKO. „Projekt 400” i „Projekt 44,7” obejmuje budowę i wyposażenie w maszyny nowych hal w Pionkach i Skarżysku. Zakłady mają produkować nowoczesny proch, więcej amunicji oraz rakiet Grom i Piorun. Zakłady miały stanąć w 2022 r.



**Miała być nowoczesna amunicja,
a jest inwestycyjny niewypał**

Polska Grupa Zbrojeniowa produkuje 30-40 tys. sztuk amunicji rocznie. Mocarstwowy plan nowego prezesa Grupy Sebastiana Chwałka zakładał, że produkcja wzrośnie do ponad 200 tys. Najpierw rząd przyjął program zwiększenia produkcji amunicji i zapasów amunicji wielkoka-

librowej polskiej armii, a potem Chwałek buńczucznie zapowiedział, że „damy radę”. Z dokumentów, do których dotarł „Newsweek”, wynika jednak, że skok technologiczny rozpoczął się od starych zaniedbań. Już biznesplan zawierał liczne nieprawidłowości, bo do kalkulacji kosztów budowy hal wykorzystano nieaktualne ceny sprzed lat.

Przez ponad 1,5 miesiąca zwlekano z powołaniem Komitetu Sterującego projektem. Kierownika Projektu wybrano z naruszeniem przepisów, a bez niego prace musiały stać w miejscu. Gdy kierownik już był, okazało się, że znał się na budowlance, ale nie miał pojęcia o budowaniu i rozwoju linii technologicznych do produkcji amunicji. Eksperti wiedzieli, że ta fabryka jest ważniejsza od haubic i czołgów. Jak to jednak w państwie PiS – bylejakość i amatorszczyzna albo grzebie takie projekty, albo powoduje ogromne opóźnienia.

Dokumenty, które udostępniono kontrolerom, są wzajemnie sprzeczne. Zgodnie z biznesplanem MESKO szacuje koszt inwestycji w samych Pionkach na 246 mln zł, podczas gdy zewnętrzna firma inżynierska – na co najmniej 716 mln zł! Technologia inwestycji w Pionkach w ocenie inspektorów jest opanowana na poziomie laboratoryjnym, nigdy nie była wdrożona na poziomie produkcyjnym. Spółka przegapiła nawet przedłużenie pozwolenia na produkcję nitrogliceryny! Rozmówcy inspektorów nie byli w stanie wyjaśnić, czy maszyny będą w stanie wykonać niezbędne do realizacji celów oprzyrządowanie w wymaganej ilości, terminie oraz założonym budżecie. Do końca 2020 r. wciąż nie było nawet pozwoleń na budowy hal. Inwestycja była na poziomie... zera procent realizacji! Dopiero po agresji Rosji na Ukrainę inwestycja przyspieszyła. Niestety okazało się, że kupione na początku inwestycji maszyny są już zdekompletowane i rozkradzione.

Chwałek jest już siódmym prezesem PGZ za rządów PiS. Nigdy wcześniej nie zarządzał żadną firmą. Przez lata był szefem biura legislacji przy klubie PiS, a kiedy PiS zdobyło władzę, m.in. wiceministrem spraw wewnętrznych i administracji.■

Jak minister Wąsik kazał inwigilować działacza organizacji pozarządowej

Razem z Mariuszem Kamińskim nadzorują za rządów PiS służby specjalne w Polsce, choć za poprzedni okres takiej pracy zostali skazani. Przed końcem kariery politycznej obu panów uratował prezydent kontrowersyjnym aktem łaski. Niczego ich to nie nauczyło.

Duda ułaskawił obu panów jeszcze przed zapadnięciem prawomocnego wyroku, i to kilka godzin przed tym, jak weszli do rządu PiS! Sąd pierwszej instancji orzekł wobec każdego z nich karę 3,5 roku pozbawienia wolności. W apelacji ich szanse na zmianę wyroku były niskie. A uprawomocnienie się tego wyroku oznaczałoby dla obu panów zakaz zajmowania stanowisk np. ministerialnych. Sąd Najwyższy uznał, że prezydent nadużył swojego uprawnienia, jakim jest prawo łaski i faktycznie ułaskawił osoby, które nie zostały skazane.

Wąsik i Kamiński byli sądzeni za przekroczenie uprawnień w tzw. aferze gruntowej. Była to próba wplątania Andrzeja Leppera w sprawę korupcyjną. Nikt nie miał wątpliwości, że w gruncie rzeczy chodziło o cel polityczny: rozbicie Samoobrony, przejęcie jej posłów i elektoratu. Wydawać by się mogło, że po takiej lekcji i ułaskawieniu, obaj panowie będą bardziej powściągliwi, rządząc służbami. Niestety, jest wręcz przeciwnie.



Jednym z „ulubieńców” Wąsika jest Bartosz Kramek – działacz organizacji pozarządowej Otwarty Dialog, która jest w ostrym sporze z rządem PiS. Chodzi oczywiście o praworządność. Prokuratura i służby próbowały udowodnić, że Kramek i jego żona piorą brudne pieniądze.

Działacz w 2021 r. został nawet aresztowany! Po czym pozwał Wąsika za jego słowa o powiązaniach z Rosją oraz praniu brudnych pieniędzy i... wygrał w sądzie. Teraz Kramek pozwał Wąsika ponownie. Tym razem za sprawę większego kalibru. Otóż, jak ujawniła „Gazeta Wyborcza”, Wąsik zlecał służbom inwigilację Kramka w hotelach należących do Polskiego Holdingu Hotelowego (PHH). To spółka Skarbu Państwa, do której należą znane hotele np. w pobliżu warszawskiego lotniska.

Publikacja „Gazety Wyborczej” opierała się na notarialnym oświadczeniu Roberta Z., który w latach 2019–2021 był kierownikiem ds. bezpieczeństwa PHH, a od lat... był zaufanym człowiekiem Wąsika. Zeznał, że minister namawiał go do pomocy w zbieraniu kompromitujących materiałów na Kramka, który korzystał z hoteli należących do PHH. „Poinformowano mnie, iż jest prośba, abym informował o każdym przyjeździe pana Kramka do hotelu Renesans, przekazywał informacje dotyczące form płatności dokonywanych przez niego, danych kart kredytowych, jak również bym umożliwił, przed przyjazdem pana Kramka do hotelu, montaż technicznych środków operacyjnych. W przypadku gdybym nie mógł umożliwić instalacji tych urządzeń, proszono mnie, abym umożliwił przeszukanie pokoju po opuszczeniu przez pana Kramka hotelu, a gdyby i to nie było możliwe, bym osobiście dokonywał przeszukania pokoju i informował, czy znaleziono na przykład opakowania po prezerwatywach, po lekach, butelki alkoholu, czyli rzeczy, które mogłyby w jakikolwiek sposób pana Kramka skompromitować, lub mówiły o jego nawykach, możliwych uzależnieniach itp. W tym czasie oficerowie ABW byli szczególnie aktywni i dzwonili, pytając, czy coś w sprawie »klienta« udało się ustalić” – czytamy w zeznaniach Roberta Z. Wąsik tej publikacji nigdy nie skomentował. Posłowie opozycji nazwali opisywany proceder „czystą putinadą”. Władze PHH uznały, że to „fake news godzący w dobre imię spółki” i skupiły się na dyskredytowaniu Roberta Z. ■

Krzysztof Tchórzewski i rosyjski węgiel, czyli energetyka w wydaniu PiS

Odkąd PiS doszedł do władzy, radykalnie wzrósł import rosyjskiego węgla do Polski. Jeden z tropów prowadzi do firm Marka Falenty, odpowiedzialnego za aferę taśmową. Czy w zamian za nagranie polityków PO sprowadzał więcej węgla z Rosji? Być może. Drugi trop wiedzie do Krzysztofa Tchórzewskiego, ministra energii w rządzie Beaty Szydło. I jego brata.

W kampanii wyborczej w 2015 r. PiS przywiązywało ogromną rolę do kwestii importu węgla z Rosji. Jarosław Kaczyński optował nawet za pomysłem embarga na import rosyjskiego węgla do całej Unii Europejskiej. Odwiedzał również kopalnie, które miały zostać zamknięte. Podkreślał, że ich problemy wynikają z importu taniego węgla z Rosji. Tymczasem niedługo po tym, jak jego partia przejęła pełnię władzy w Polsce, rosyjski węgiel zaczął napływać do Polski w ilościach wcześniej niespotykanych! Średnia rocznego importu w latach 2016–2020 była dwukrotnie wyższa niż import w 2015 r.! Wówczas było to niespełna 5 mln ton. 5 lat później prawie 10 mln! – Import węgla pomaga stabilizować ceny i utrzymywać je na realnym poziomie – tłumaczył w 2018 r. minister Krzysztof Tchórzewski. To on był jedną z osób odpowiedzialnych za ten stan rzeczy.



Niewiele czasu zajęło opozycji ustalenie, że na imporcie węgla z Rosji krocie zarabia spółka A.T. Trading z Zamościa. Jeszcze mniej, że właścicielem i prezesem tej firmy jest Adrian Tchórzewski, brat ministra. Gdy Izabela Leszczyna z PO zaczęła o to pytać, minister ją pozwał. Posłanka

opozycji wygrała w sądzie, który nakazał Tchórzewskiemu, by ten odpowiedział na wszystkie pytania o rodzinne związki z firmą transportującą węgiel importowany z Rosji. Minister tego nie zrobił. Zlekceważył wyrok sądu, bo fakty, które musiałby ujawnić, z pewnością mocno nadzarpnęłyby jego pozycję polityczną. A tak – nadal był we władzach klubu PiS. Ba, kiedy premier powołał zespół doradców złożonych z doświadczonych polityków partyjnych, nie zabrakło w niej i Tchórzewskiego.

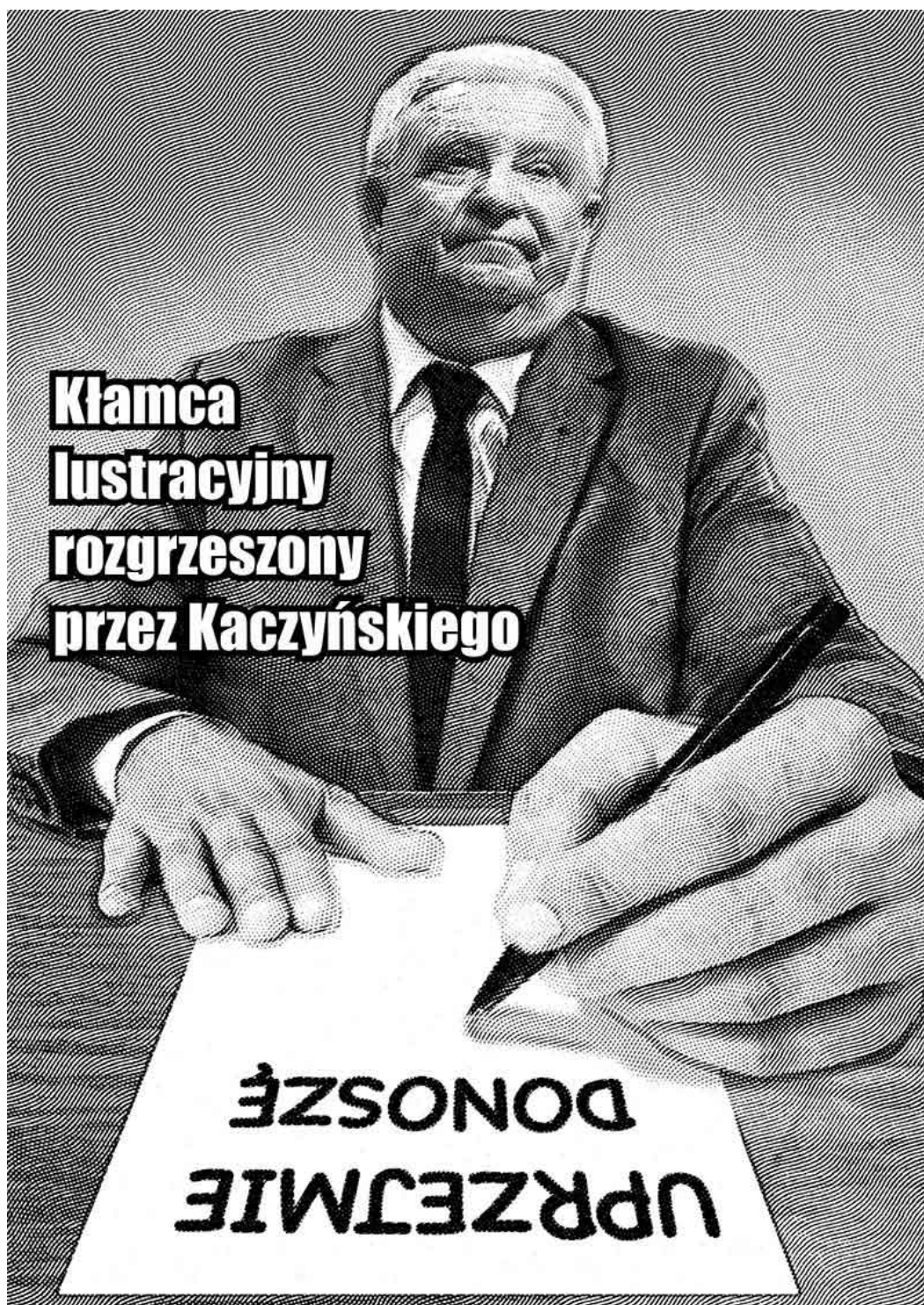
To on jako minister energii forsował projekt budowy wielkiej elektrowni węglowej w Polsce. To było dziwne w kontekście spadającego wydobycia węgla w polskich kopalniach i polityce Unii Europejskiej zmierzającej do szybkiego zwiększania energii z innych źródeł: paneli słonecznych, wiatraków, a przede wszystkim z atomu. Wiele osób zastanawiało się, co jest powodem tej miłości ministra Tchórzewskiego do węgla. – To przecież od resortu, którym kierował, zależy ilość importowanego z Rosji węgla. Odpowiedź otrzymałam, ale informacji w niej nie było: to prywatna spółka, resort nie wie, czym się ona zajmuje, nie ma rejestru, w którym takie informacje są zamieszczane – mówiła Leszczyzna.

Po agresji Putina na Ukrainę, choć Tchórzewskiego nie było już w rządzie, Polska nadal kupowała węgiel z Rosji, choć premier Morawiecki gardłował na konferencjach prasowych, że namawia Brukselę do wprowadzenia embarga na ten towar. Sami jednak dostaw nie wstrzymaliśmy. Polski parlament przyjął tzw. ustawę sankcyjną, która zakazywała działalności w Polsce firm powiązanych z kapitałem rosyjskim. A polski rząd kupował od Rosjan węgiel, PKN Orlen rosyjską ropę. Tchórzewski wciąż zachował wiele wpływów w spółkach energetycznych – w ich władzach zasiadają m.in. ludzie, którzy podpisywali umowy z firmą Marka Falenty na dostawy rosyjskiego węgla do polskich elektrowni.■

Kazimierz Kujda był współpracownikiem SB, donosił na kolegów i to zataił

Kazimierz Kujda to od lat jeden z najbliższych współpracowników prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Szerzej był nieznany do czasu słynnej afery z dwoma wieżami, czyli biurowcami, które miały powstać w centrum Warszawy. Kujda został skazany przez sąd za kłamstwo lustracyjne. Kaczyński jednak wyroku... nie uznaje.

Kujda był w przeszłości prezesem spółki Srebrna, a do lutego 2019 r. prezesem Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska. W lutym 2019 r. „Rzeczpospolita” ujawniła, że IPN ma jego teczkę i Kujda był tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie „Ryszard”. Kujda został zmuszony do procesu autolustracyjnego. W połowie czerwca 2022 r. został uznany za kłamcę lustracyjnego i skazany na trzy lata pozbawienia prawa wybieralności do parlamentu oraz pełnienia funkcji publicznych. Mimo to niedługo potem został... doradcą w Ministerstwie Aktywów Państwowych. Wszystko dlatego, że Kaczyński z wyrokiem się nie zgadza. Na specjalnej konferencji prasowej skrytykował „orzecznictwo sądów”. – Miałem okazję zapoznać się z tymi materiałami. Mam tutaj inne zdanie – powiedział.



Kaczyński *locuta, causa finita* – tak jest od zawsze w PiS, tak jest od lat w państwie, które prezes PiS traktuje jak swoją własność. Z wyrokami nie tylko można się nie zgadzać. Można je kwestionować, a wreszcie można działać i wbrew nim. Obecna władza nieraz to udowodniła. Czy

to z wyrokami Sądu Najwyższego, czy Trybunału Konstytucyjnego sprzed panowania Julii Przyłębskiej.

Główna linia obrony Kujdy sprowadzała się do twierdzenia, że choć potwierdził na piśmie „nawiązanie dialogu” z SB, to nie była to „zgoda na współpracę”. Sąd odtworzył jednak historię jego kontaktów z bezpieką. Był on w jej zainteresowaniu od 1978 r. jako student, a potem doktorant, bo często wyjeżdżał za granicę, m.in. do NRD i ZSRR. Starał się wielokrotnie o paszport, by wyjechać do pracy za granicą. Kujda spotykał się regularnie z oficerem prowadzącym w hotelach między marcem 1980 r. a lipcem 1981. Nie pobierał pieniędzy od SB, a czas współpracy był krótki i stąd stosunkowo łagodny wyrok. Sąd lustracyjny zajmuje się jednak przede wszystkim rozstrzygnięciem, czy ktoś ujawnił fakt współpracy, czy go zataił. Kujda go zataił.

Na każde ze spotkań z oficerem prowadzącym przynosił własnoręcznie sporządzone notatki z informacjami dotyczącymi osób, z którymi podróżował, ich danych, w tym danych dotyczących ich rodziny, miejsca pracy, zainteresowań, danych osób, z którymi się spotykał za granicą, okoliczności ich poznania i przebiegu wyjazdów. Kujda bronił się przed sądem, że przekazywał agentowi fałszywe informacje i dane. Jednak wezwani świadkowie, także koledzy z wyjazdów czy pracy na budowie w dużej części je potwierdzali. Kujda w rozmowie z „Rzeczpospolitą” uznał, że wyrok jest dla niego niesprawiedliwy i straszny. O tych, którym zaszkodził swoimi informacjami, nie wspomniał ani słowem. **Czarne**⁽⁸⁾ karty w historii spółki Srebrna nie przeszkadzają nikomu do dziś.

W kwietniu 2023 r. premier powołał Kujdę do rady nadzorczej Banku Gospodarstwa Krajowego, jednej z najważniejszych państwowych instytucji finansowych w Polsce. Wszystko dlatego, że Kaczyński „ma inne zdanie” niż sąd.■

Jak polski rząd dał Rydzykowi miliony

Gdyby stworzyć listę największych beneficjentów rządów PiS, to byłby na jej czele. „Gdyby”, bo jej stworzenie wciąż jest nie-realne. Te resorty, które o. Tadeuszowi Rydzykowi dają najwięcej pieniędzy, ukrywają kwoty. I co ważne: to pieniądze dla zakonnika, nie dla Kościoła Rzymskokatolickiego. Bo przedsięwzięcia Radia Maryja to prywatny biznes!

Ostatnio znów zrobiło się głośno o „darach” dla redemptorysty, gdy w czasie jednej z uroczystości minister Jacek Sasin przekazał mu miecz. Ponoć z czasów Mieszka I. Podobno kupiony za ćwierć miliona złotych. Sasin tłumaczył się, że to dar dla państwowego muzeum „Pamięć i Tożsamość” im. św. Jana Pawła II. Faktycznie, to jest muzeum. Ale państwowym można go nazwać tylko dlatego, że powstaje za gigantyczne pieniądze podatników!



Muzeum miało zostać otwarte już 2 lata temu. Teraz mówi się o jesieni tego roku. „Newsweek”, który opisał w szczegółach kolejne losów tej placówki, cytuje ludzi znających sytuację na miejscu, że ta data też jest nierealna. A 20 czerwca minęło 5 lat od podpisania umowy o jego powo-

łaniu. Podpisywali wicepremier i minister kultury Piotr Gliński i o. Rydzyk. Pierwotnie muzeum miało kosztować 70 mln zł. Budowę zlecono firmie Rafako, która specjalizuje się w stawianiu bloków energetycznych i ostatnio słynie z tego, że jest na krawędzi upadłości, gdyż wybudowała zły kocioł dla elektrowni Tauronu i państwowy gigant domaga się teraz od nich ogromnego odszkodowania.

Dotacja na muzeum szybko wzrosła do 117,7 mln zł. W grudniu 2021 r. Rafako zażądało ponad 34 mln zł więcej. Gliński znów dorzucił. A co, przecież to nie jego pieniądze. Do tego resort kultury dołożył jeszcze 65 mln zł za zaprojektowanie i urządzenie wystawy stałej!

Muzeum znajduje się tuż obok siedziby Radia Maryja i ogromnego sanktuarium, które tam powstało. Obok parku Pamięci Narodowej sfinansowanego przez... kancelarię premiera i spółki Skarbu Państwa. Muzeum ma pokazać ponadtysiącletnią historię chrześcijańskiej Polski, wpływ Jana Pawła II na losy Polski i świata oraz ratowanie przez Polaków Żydów podczas II wojny światowej. Resort kultury zobowiązał się pokrywać m.in. koszty zakupu eksponatów. Co dał od siebie o. Rydzyk? Jego fundacja Lux Veritatis przekazała grunty, które wcześniej... dostali od wojewody.

Ile pieniędzy Rydzykowi daje rząd? Resort kultury, MON, Ministerstwo Sprawiedliwości i resort środowiska nie odpowiedziały na te pytania. A dają najwięcej. Z MEN poszło ponad 9 mln zł, z kilku innych resortów drugie tyle! Muzeum Rydzyka po otwarciu ma nadal otrzymywać dotacje z resortu kultury na działalność. Umowa obowiązuje do końca 2023 r. Jeżeli po wyborach zmieniłaby się władza i nowy minister nie chciałby jej przedłużyć, to muzeum stanie się... własną jednostką Lux Veritatis! I jeżeli fundacja zobowiąże się, że przez 10 lat będzie prowadzić muzeum w takim kształcie, w jakim zostało zbudowane, nie będzie musiała oddać ani grosza państwu! Tak to ministrowie zapewnili interes podatników w relacjach z o. Rydzykiem. Dotacje na Radio Maryja, słynna geotermia w Toruniu to drobne interesiki w porównaniu z tym projektem. A jeśli PiS utrzyma się u władzy, kolejne miliony będą

płynąć do Torunia. Do prywatnej kieszeni zakonnika, który uważa siebie za Kościół.■

Andrzej Jaworski wrócił do PiS, bo nie ma żadnych hamulców

Wydawało się, że losy Andrzeja Jaworskiego w PiS są przesądzone. Co prawda źle na tym nie wyszedł, bo poszedł do państwowego biznesu i szybko dołączył do „klubu milionerów”. Jednak polityka go ciągnie. I okazało się, że o. Tadeusz Rydzyk załatwił mu powrót do łask u prezesa Kaczyńskiego.

A ndrzej Jaworski jest sekretarzem rady muzeum „Pamięć i Tożsamość”, które o. Rydzyk buduje za pieniądze podatników w Toruniu. Za pierwszych rządów PiS był prezesem Stoczni Gdańsk. Niedługo po przejściu władzy przez PiS w 2015 r. trafił do zarządu PZU, a potem Krajowej Spółki Cukrowej SA. Popadł w niełaskę u prezesa PiS, gdy Janusz Śniadek i Maciej Łopiński donieśli na niego, że nie zaprzestał angażowania się w sprawy partyjne w regionie gdyńskim. A Kaczyński jasno stawiał wówczas sprawę: kto poszedł do spółek Skarbu Państwa, ten odszedł z polityki. Tyle że to było parę lat temu. Dzisiaj „milionerów” w PiS jest już tyle, że albo Kaczyński przestał ich odróżniać od tych, którzy nie poszli zarabiać milionów, albo raczej stępił mu się radykalizm.



Jaworski został prezesem PZU Zdrowie i członkiem zarządu PZU Życie, a równocześnie – w połowie 2022 r. – szefem struktur PiS w Gdyni. A jeszcze do listopada 2021 r. był w PiS zawieszony. W 2018 r. ukarano go za nielojalność – Śniadek z Łopińskim oskarżali go, że planuje budować na wybory do Parlamentu Europejskiego blok pod egidą o. Ry-

dzyka. Teraz Kaczyński chce mieć pewność, że o. Rydzyk w pełni zaangażuje się w kampanię po stronie PiS. Obawia się najwyraźniej, że przekazywane przez rząd setki milionów złotych nie wystarczą.

Obecny pełnomocnik PiS w Gdyni ma też jedną cechę, która w obliczu kampanii wyborczej może mieć szczególne znaczenie dla Kaczyńskiego. Nie ma żadnych oporów w angażowaniu pieniędzy spółek w kampanie polityczne własnej partii. W końcu marca 2023 r. PZU Zdrowie rozpoczęło płatną kampanię na Facebooku, która przedstawia prezesa Jaworskiego podczas przecinania wstęgi w placówce przy ul. Abrahama 1 w Gdańsku. „Dziś uroczyście oddaliśmy do dyspozycji pacjentów nową pracownię rezonansu magnetycznego, która działa pod marką PZU Zdrowie” – słyhać w filmiku. To nie było otwarcie, bo placówka była już otwarta wcześniej razem z placówką w Krakowie. Tej drugiej nie oddano uroczyście „do dyspozycji”, bo Jaworski będzie przecież kandydować z Pomorza.

Jak donosiła „Gazeta Wyborcza”, reklama wyróżnia się także z innego powodu: jest jedyną z 26, w której pojawia się prezes spółki. Pozostałe zachęcają głównie do prowadzenia zdrowego **trybu**⁽⁶⁾ życia. A przecież to było jeszcze ponad pół roku przed wyborami. A co dopiero będzie się działo w czasie formalnej kampanii wyborczej? Pewnie, jak mawia toruński patron Jaworskiego, „Alleluja i do przodu”.■

Jak śledczy z PRL załatwił córce karierę w prokuraturze

On – były prokurator w czasach PRL. Ale potem ważny polityk PiS, a teraz sędzia Trybunału Konstytucyjnego. Stanisław Piotrowicz. I ona, Barbara Piotrowicz, córka, która mimo braku kompetencji dochrapała się awansu, na który wielu wybitnych śledczych czeka latami.

Kariera prawnicza Barbary Piotrowicz stała się znana w 2016 r. Wówczas awansowała na prokuratora w Prokuraturze Rejonowej w Krośnie. Wcześniej była adwokatem. Jak pisała wówczas „Gazeta Wyborcza”, nominacji córki Stanisława Piotrowicza dokonano na podstawie art. 80 ustawy o prokuraturze. Dzięki temu przepisowi prokurator generalny może powołać na stanowisko kandydata wskazanego we wniosku prokuratora krajowego bez konieczności przeprowadzenia procedury konkursowej.

Wiosną 2021 r. na Barbarę Piotrowicz czekał kolejny awans. Przeszła do Podkarpackiego Wydziału Zamiejscowego Departamentu do spraw Przestępczości Zorganizowanej. To elitarny wydział podległy bezpośrednio Prokuraturze Krajowej. Decyzje w sprawie tego typu awansów podejmuje osobiście Zbigniew Ziobro.



„Córka do zawodu prokuratorskiego świadomie zmierzała poprzez inne zawody prawnicze, by uniknąć zarzutu, że na aplikację prokuratorską dostała się dzięki ojcu – byłemu prokuratorowi. Widać, że i ta jej ostrożność na nic się zdała, bo i tak została medialnie sponiewierana

i to – jak sądzę – z pobudek politycznych i nieuczciwej pogoni za sensacją” – tak w 2016 r. Piotrowicz bronił córki na Facebooku.

Niedawno wyszło jednak na jaw, że Barbara Piotrowicz od samego początku kariery była „wspomagana”. Dwaj sędziowie z Podkarpacia byli nakłaniani do sfalszowania jej egzaminu na aplikację sędziowską. Nagranie z ich udziałem opublikowała „Gazeta Wyborcza”. Jeden z nich został poproszony, by uzupełnić w jej teście brakujące odpowiedzi w trakcie sprawdzania prac! – Później się wydarzyło tak, że ta niunia miała przedostatni wynik na sto ileś osób, ponieważ ona połowy odpowiedzi, że tak powiem, nie zakreśliła, a to, co zakreśliła dobrze, to 30 chyba z 70 – mówił jeden z rozmówców z nagrania rozmowy sędziów ujawnionego w mediach. – Miało być inaczej, sobie myślę, co za głupia pipa... To było sto dwadzieścia ileś osób, a ona miała przedostatni wynik z egzaminu... Córka Piotrowicza. Ale jest prokuratorem... – dodał. Rozmowa dotyczyła egzaminu z 2006 r., gdy Piotrowicz pierwszy raz został senatorem, a PiS było u władzy. I to Piotrowicz namawiał sędziego do „pomocy” swojej córce.

Piotrowicz w czasach PRL był działaczem PZPR, odznaczonym w stanie wojennym. Po upadku komunizmu jako szef Prokuratury Okręgowej w Krośnie m.in. umorzył sprawę księdza pedofila z Tylawy. W telewizji bronił księdza, twierdząc, że chciał tylko, żeby dzieci „dawały mu ciumka”, i że nic poważnego się nie działo. Gdy w 2015 r. PiS przejęło władzę, Piotrowicz był szefem sejmowej komisji sprawiedliwości i przepychał ustawy sądowe łamiące konstytucję.

Piotrowicz uznał informacje płynące z nagrania za insynuację. Nie pozwał jednak „Gazety Wyborczej”.■

Oto finał głośnej inwestycji PiS, czyli przekopu Mierzei Wiślanej

Przekop Mierzei Wiślanej w Elblągu miał być ciosem w państwo rosyjskie i miał sprawić, że statki zawijające do Kaliningradu będą teraz wpływać do polskiego portu, który od lat był praktycznie martwy. Nic takiego się nie stało, bo przepływ – rok po otwarciu – wciąż jest za płytki, by nawet zaproponować im wpłynięcie do elbląskiego portu.

Plany zakładały, że kanał będzie miał 1,3 km długości i 5 m głębokości. Miało to umożliwić wpływanie do Morskiego Portu Elbląg jednostek o parametrach morskich, tj. zanurzeniu do 4 m, długości 100 m, szerokości 20 m. Przez lata przekopywania Mierzei Wiślanej opozycja i eksperci grzmieli, że raz – plany rządu nie przewidują tak głębokiego przekopu, a dwa – to i tak za mało, by kogoś namówić na skorzystanie z usług portu, skoro 60 km dalej jest port w Gdańsku. Wiceminister gospodarki morskiej, wychowanek tzw. Nowogrodzkiej, czyli siedziby PiS, Grzegorz Witkowski zapewniał, że wszystkie te wypowiedzi są „pisane rosyjską cyrylicą”. – Zawierają funta kłaków warte argumenty. Jeśli chodzi o 4,5 m głębokości, to do bałtyckich portów zawija dziennie 700 statków, które mają takie parametry, czyli długość, szerokość, głębokość. One mogą płynąć do Elbląga – mówił dla wPolityce.pl miesiąc przed uroczystym otwarciem Mierzei. I na łamach dodawał, że „my nie będziemy się oglądać na Moskwę czy Berlin, tylko będziemy realizować swoje interesy.



Okazało się jednak, że to niemożliwe, gdyż od otwarcia kanału nie jest on dostatecznie głęboki! Rząd przekonuje, że to robota dla władz miasta Elbląga. Miasto rozkłada ręce, że nie ma na to pieniędzy i nie planowało takich wydatków. Miasto zamówiło też ekspertyzę w Cen-

trum Ekspertyz i Analiz Prawnych. Jest ona jednoznaczna: Elbląg nie może inwestować w drogę zapewniającą dostęp do portu, bo według konstytucji samorządy mogą realizować tylko te zadania, które nie są zastrzeżone dla organów administracji rządowej. A pogłębienie drogi wodnej prowadzącej do portu jest zdaniem rządowym. Dopóki kanał nie zostanie pogłębiony, przekop jest jedynie atrakcją turystyczną.

Nie jest to jedyna zapowiedź przy okazji tej inwestycji, która okazała się chybiona. Pieniądze wydane na przekop – w planach 880 mln zł – miały się praktycznie zwrócić z wydobycia w tym miejscu bursztynu. – Przedstawiciele Ministerstwa Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej poinformowali nas, że prawdopodobnie ten dosyć głęboki przekop spowoduje, że wydobędziemy tony bursztynu z tego miejsca – zapowiedział w Radiu Gdańsk Jarosław Sellin, pomorski poseł PiS. Zasugerował, że państwo mogłoby się na tym wzbogacić o... mniej więcej 880 mln zł. Potem resort gospodarki morskiej trochę tonował te oczekiwania, ale i tak pozostawały one rozbudzone. W maju 2020 r. potwierdzono tam dwa złoża: A o masie 900 kg i B – 500 kg. Ich wartość oszacowano aż na... 1,4 mln zł. Potem zapowiedziano, że bardziej opłacalne będzie wydobycie bursztynu tylko z tego mniejszego złoża. Jednak rok później, już po cichu, resort przyznał, że bursztyn... w ogóle nie będzie wydobywany w miejscu przekopu, gdyż „wykonane analizy opłacalności wydobycia bursztynu w rejonie planowanej inwestycji wykazały, że pozyskanie bursztynu jest ekonomicznie nieopłacalne, tzn. koszt wydobycia kopaliny ze złoża byłby wyższy, niż rzeczywista wartość wydobytego bursztynu”.

I tak jest przekop za grube miliony, ale za płytki. Statki przepływają, ale nie te, które miały być chlubą tej inwestycji. A bursztyn jest, ale nie można go wydobyć, bo kosztowałoby to więcej, niż jest wart.■

Jacek Kurski zniszczył wizerunek telewizji publicznej, ale o sobie za- dbał

W 2005 r. po akcji z „dziadkiem Tuska z Wermachtu”, był wręcz wyklęty w PiS. Mozolnie wracał na szczyty. Gdy w 2015 r. PiS przejęło władzę, Jacek Kurski został szefem TVP. Zamienił ją w maszynę propagandy władzy, szczucia na każdego, kto podpadł PiS, ale nade wszystko – we własne księstwo. A gdy odszedł, włos nie spadł mu z głowy.

O tym, co wyrabiała TVP pod rządami Jacka Kurskiego, napisano już tomy. Fakt, że telewizja publiczna zaczęła być postrzegana chyba gorzej, niż była za czasów PRL, jest najlepszą cenzurką tej propagandy, której głównym twórcą był Jacek Kurski. Władze PiS dały mu pełną dowolność we władaniu TVP. Żeby nie zabrakło mu pieniędzy, dokapitalizowało media publiczne sumą 2 mld zł rocznie. A Kurski wydawał nie tylko na pseudodziennikarzy. Wydawał też na siebie i swoją nową żonę. Nową, bo z pierwszą (mają trójkę dzieci) najpierw się rozwiódł, a potem załatwił sobie w sądzie kościelnym stwierdzenie, że to małżeństwo było nieważne. Dzięki temu mógł wziąć drugi ślub w kościele. I to nie było jakimś, bo Kurski i Joanna Klimek pobrali się 18 lipca 2020 r. w podkrajowych Łagiewnikach, w jednej z najważniejszych świątyń w Polsce. Data nie była przypadkowa – tego dnia prezes Jarosław Kaczyński zawsze jest w Krakowie. I dzięki temu był i na ich ślubie.



**Udawał króla w TVP,
a teraz zarabia
w Banku Światowym**

Pani Klimek, już jako Kurska, była w TVP traktowana jak prawdziwa królowa. Razem z mężem nie tylko zajęli dla siebie całe piętro, na które nikt nie mógł wchodzić, ale też zatrudnili „służbę”. Oczywiście za pieniądze telewizji. „Gazeta Wyborcza” ujawniła swego czasu wiadomości,

jakie Kurski wysyłał do swoich ochroniarzy, traktowanych jak chłopcy na posyłki przez oboje. „Miś czy ktoś może kupić mi czekoladki w Galeerii Mokotów w sklepie Lindt? Za 100 zł, są na wagę”. Po czekoladki służbowym autem pojechał kierowca TVP. Innego dnia Kurski pisze do ochroniarza: „Napisz smsa do mojej żony czy chce żebyś przywiózł jedzenie teraz w czasie basenu Please”. „Rozkaz” – dostaje w odpowiedzi. Jeszcze inny „rozkaz” brzmiał tak: „Weźcie z Kaprysa [bar w siedzibie TVP przy Woronicza – przyp. red.] dwie kanapki i zawieźcie Asi do domu”. Kierowca wsiadł w służbowe auto i zawiózł małżonce prezesa bułki do ich domu w Wesolej. To 20 km w jedną stronę, w godzinach szczytu prawie godzina drogi.

Kurski w końcu odszedł z TVP. Trudno jednak uznać, że był to moment triumfu jego krytyków. Narodowy Bank Polski w grudniu 2022 r. poinformował, że Kurski rozpoczął pracę jako zastępca dyrektora wykonawczego szwajcarsko-polskiej konstytuandy w Grupie Banku Światowego w Waszyngtonie. Kandydaturę zgłosił prezes NBP Adam Glapiński. – Spełnia wszystkie kryteria – oświadczył Glapiński. Tyle że dziennikarze szybko sprawdzili, że Bank Światowy nie ustala żadnych kryteriów, które muszą spełniać kandydaci na to stanowisko, i nie może zablokować nominacji danego państwa. Pensja roczna na tym stanowisku to ok. 1 mln zł rocznie. Plus mieszkanie w Waszyngtonie. W TVP pensja Kurskiego była trzykrotnie niższa. Trudno jednak przypuszczać, by jakikolwiek asystent czy ochroniarz dał się w Banku Światowym traktować jako służba państwa Kurskich. Ale może sobie kogoś wynajęli, przyzwyczajeni do królewskiego życia na Woronicza?■

Bezkarny pupilek Morawieckiego i lewe respiratory

Ktoś powie, że była pandemia i wszyscy popełniali błędy, a respiratory i maseczki były na wagę złota. Nie można tym jednak tłumaczyć wydarzeń, jakie miały miejsce w ministerstwie zdrowia. Tylko jedna z nich znalazła na razie swój finał w prokuraturze – bezwartościowe respiratory z Chin, których odbiór i sprawność potwierdził ówczesny wiceminister zdrowia Janusz Cieszyński.

Przemysław Cieszyński był w Solidarności Walczącej u Kornela Morawieckiego kolporterem podziemnych gazetek. Gdy PiS doszło do władzy, a syn Kornela – Mateusz – został wicepremierem, pan Przemysław wszedł do zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego. Karierę zaczął robić też jego syn, Janusz, który wszedł do kierownictwa resortu zdrowia. Opinia publiczna szerzej poznała go w czasie pandemii. Nie zasłynął jednak – choć bardzo by chciał, żeby tak postrzegano jego ówczesną działalność, z ratowania zdrowia Polaków zagrożonych COVID-19, a z wydawania lekką ręką milionów złotych na nic niewarte respiratory.

Najwyższa Izba Kontroli skierowała do prokuratury zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa m.in. przez Cieszyńskiego. Zarzut: na początku kwietnia 2020 r. za ponad 3,5 mln zł kupił 30 chińskich respiratorów. Bez umowy – to raz. Nie nadawały się do użytku – to dwa.



**Kupił chińską tandetę
za 30 mln zł
i nawet NIK dopatrył
się tu przestępstwa!**

Nie chodzi o słynne 1241 respiratorów od firmy handlarza bronią (pomoć już nieżyjącego). Chodzi o chińskie aparaty JIXI-H-100A kupione po prawie 119 tys. zł za sztukę w czasie, gdy w internecie ich producent Jiu-xin Medical Technology Co. oferował je za... niecałe 10 tys. zł. Sprawę

ujawniła „Gazeta Wyborcza”. Rozpytywani przez dziennikarzy eksperci od sprzętu medycznego pukali się w głowę. Tłumaczyli, że ten sprzęt to nie jest profesjonalny respirator, który może pomóc w leczeniu chorego na koronawirusa, i stąd jest taki tani (mowa o cenie producenta, a nie tej, którą zapłacił Cieszyński z naszych podatków). Tak, tak – ten sprzęt, nawet sprawny, nie nadawał się do użytku w pandemii. Piszemy „nawet sprawny” nieprzypadkowo. Bo z ustaleń NIK wynika, że zakupione aparaty... nie były sprawne! Cieszyński podpisał się pod protokołem odbioru respiratorów 6 kwietnia, zanim jeszcze została wystawiona faktura za ich zakup. Nie miał co do aparatów żadnych zastrzeżeń, choć na pierwszy rzut oka było widać, że nie mają one certyfikatów CE, a więc nie były dopuszczone do obrotu na terenie Unii Europejskiej. Nie miały instrukcji po polsku, co mogłoby utrudnić korzystanie z nich w szpitalach. Nie miały paszportów technicznych nieodzownych przy sprzęcie medycznym, który trafia do szpitali. I na dodatek były wyposażone w przeterminowane czujniki tlenu.

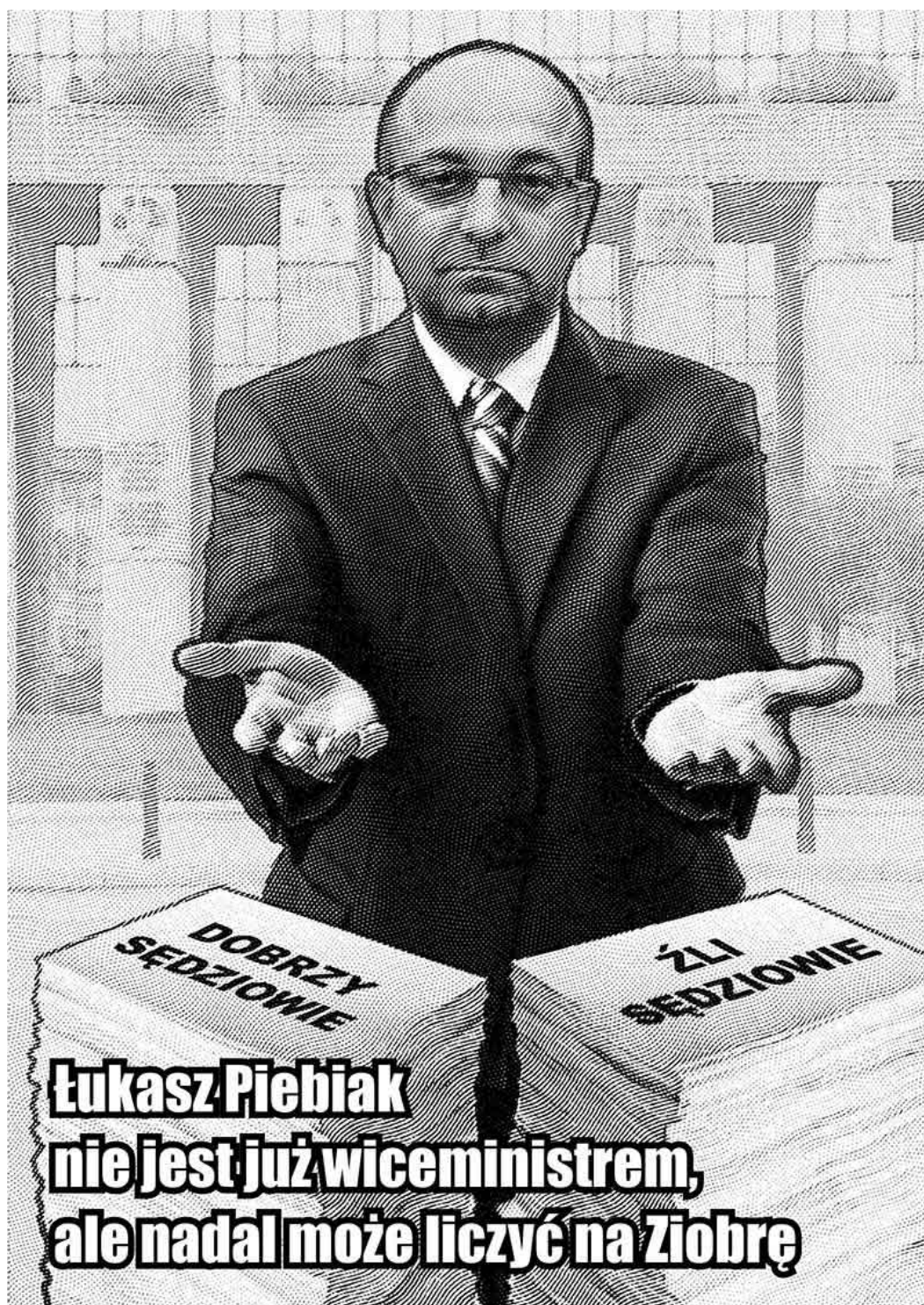
Jak się broni Cieszyński? W najlepszym stylu PiS! Uważa, że skierowanie wniosku do prokuratury „nie ma merytorycznego charakteru, a jest osobistą zemstą pana Banasia za sprawy sięgające czasu, kiedy w 2017 r. pracował w Ministerstwie Finansów”. Pan Banaś to prezes NIK. Powołany przez większość PiS. I przez wiele miesięcy prawa ręka Morawieckiego w resorcie finansów, a nie jakiś tam kumpel Tuska!

Cieszyński na ławę oskarżonych jeszcze nie trafił, ale za to wrócił do rządu. Jest w kancelarii prezydenta ministrem od cyberbezpieczeństwa. Ma być jedynką PiS we Wrocławiu. Może być pewny, że do wyborów nie trafi za kratki. Ale co będzie później? ■

Jak minister sprawiedliwości chroni hejtera, który niszczył sędziów

Jako zastępca Zbigniewa Ziobry w resorcie sprawiedliwości Łukasz Piebiak nie tylko nadzorował zmiany w sądownictwie, ale też wykorzystywał poufne informacje, by dyskredytować sędziów i usuwać niewygodnych dla władzy z konkretnych sądów i posad. Ziobro nadal trzyma nad nim parasol ochronny.

Jako wiceminister sprawiedliwości Łukasz Piebiak udostępniał osobom nieuprawnionym wrażliwe i służbowe dane wybranych sędziów. Celem było wyeliminowanie „szkodników”, czyli osób krytycznych wobec zmian wdrażanych przez PiS w sądach, a także tych, które mu się naraziły – wynika ze wspólnego śledztwa Onetu i OKO.press. Na wszystkie te działania są dowody, w tym relacje sędziów ze środowiska tzw. dobrej zmiany, czyli osób popierających działania PiS w sądownictwie.



Piebiak udostępnia jednemu z nich wewnętrzne dokumenty ministerstwa, tzw. zielone teczki. – Nikt postronny nie miał prawa mieć do nich wglądu, a za sprawą Piebiaka wgląd miałem tak ja, jak i najpewniej Emilia Szymdt (osoba odpowiedzialna za część ataków na sędziów

w Internecie – przyp. red.) – mówi Onetowi sędzia Arkadiusz Cichocki. Już w listopadzie 2017 r. Cichocki usłyszał od Piebiaka w resorcie sprawiedliwości, których sędziów funkcyjnych ma się z sądu w Gliwicach jako nowy prezes pozbyć.

Łukasz Piebiak był zastępcą Ziobry w ministerstwie od listopada 2015 r. do sierpnia 2019 r. Odpowiadał za sądownictwo. Jako sędzia i były członek władz stowarzyszenia sędziów Iustitia był postrzegany jako „główny kadrowy”, gdy Ziobro wymieniał masowo prezesów i wiceprezesów sądów w całej Polsce. Robiono to głównie za pomocą faksu, dlatego nowych prezesów nazwano faksowymi. W sierpniu 2019 r. Onet ujawnił, że Piebiak aktywnie współpracował z kobietą, która na Twitterze jako „Mała Emi” oczerniała sędziów przeciwnych zmianom wdrażanym przez rządzących, manipulując informacjami pozyskanymi z poufnych źródeł w resorcie.

Onet na początku czerwca 2020 r. ujawnił np., że Piebiak wysłał poufne, wrażliwe dane na temat jednego z sędziów. Chodziło o poufny dokument z ZUS adresowany do prezes sądu, w którym ten sędzia pracował. Była to opinia lekarza orzecznika ZUS zawierająca PESEL oraz adres domowy sędziego, a także opis jego stanu zdrowia. 2 dni później TVP Info opublikowało informację o sędzim, który rzekomo jest na „lewym” zwolnieniu. „Kwestie prywatne nie są obszarem zainteresowania ministerstwa – nie miały i nie mają wpływu na decyzje kadrowe” – zapewnia dzisiaj resort sprawiedliwości. Przekonuje też, że w sprawie tzw. afery hejterskiej minister Ziobro „podjął zdecydowane działania i zajął jednoznacznie negatywne stanowisko”.

Piebiak po odejściu z ministerstwa znalazł zatrudnienie w zależnym od Ziobry Instytucie Wymiaru Sprawiedliwości. Pracuje w Sekcji Prawa i Procesu Cywilnego. Dostał też od nowej Krajowej Rady Sądownictwa rekomendację do powołania na stanowisko sędziego Naczelnego Sądu Administracyjnego (NSA). Prezydent blokuje tę nominację.■

Tak Marcin Warchoła wykorzystuje miliony złotych z Funduszu Sprawiedliwości

Fundusz Sprawiedliwości stał się dla partii Zbigniewa Ziobry skarbonką bez dna, do której sięga się, kiedy tylko najdzie ochota. Partia nie ma własnych pieniędzy, bo jej politycy są zmuszeni startować z list PiS, a Jarosław Kaczyński nie dzieli się z nimi subwencjami z budżetu. No to organizują kampanię za nasze. W tej kadencji Marcin Warchoła robi tak już drugi raz.

10 lutego 2021 r. **Ciemny**⁽¹⁾ dzień dla jasno rozumiejących podkarpacką scenę polityczną. Wieloletni prezydent Rzeszowa Tadeusz Ferenc ogłasza, że odchodzi z urzędu. To jest mniejsza sensacja niż ta, że na swojego następcę namaszcza... Marcina Warchoła, prawą rękę Ziobry w resorcie sprawiedliwości. Ferenc był związany jeszcze z PZPR, potem z lewicą. A Warchoła lubi się pokazywać na uroczystościach kościelnych równie często, co i na zawodach sportowych.

Kampanię zaczyna z ogromnym rozmachem. Obserwatorzy zastanawiają się, skąd ma na to pieniądze. Jednak najwięcej środków na promocję Warchoła idzie z Funduszu Sprawiedliwości. To narzędzie, które działa przy resorcie sprawiedliwości od 2012 r. Rozporządza pieniędzmi, które sądy zasądza od sprawców przestępstw. Idea była słuszna: środki z kieszeni ludzi, którzy wyrządzili krzywdę innym, mają czynić **dobro**⁽²⁾, bo przeznacza się je na wspomaganie pokrzywdzonych wskutek przestępstw i w wypadkach oraz by zapobiegać przestęp-

stwom. Do czasu, gdy w resorcie nastał Ziobro, trafiały na konto licznych stowarzyszeń i fundacji albo pomagającym ofiarom, albo zajmującym się profilaktyką przestępstw. Jak sprawdził NIK, w latach 2016–2018 tylko 38 proc. środków tego funduszu przeznaczano na takie cele. Ponad 60 proc., została przekierowana na inne zadania.



Dla Warchoła pieniądze z FS były orężem walki o fotel prezydenta Rzeszowa. Jednego dnia przyjeżdża do miasta i ogłasza dotację 500 tys. zł dla szpitala MSWiA na sfinansowanie aparatu RTG. – Myślę, że jak pan minister zostanie prezydentem, to do tych 500 tys. zł

z przodu będzie dopisana jedynka i wyjdzie milion pięćset. Współpracujemy około 3 lat. Marcin Warchoł szukał tematów, i tematy były zawsze załatwiane – wtóruje mu Ferenc. Ale oczywiście Warchoł zapewnia, że w czasie konferencji występował jako członek rządu, a nie kandydat.

Innym razem miał dla rzeszowskich ochotniczych straży pożarnych 12 kartonowych czeków o łącznej **wartości**⁽⁷⁾ 1,2 mln zł. Oczywiście z Funduszu Sprawiedliwości. Jak twierdzi, ma urlop w ministerstwie, ale akurat na ten jeden dzień go odwiesił. – Nie wręczałem czeków jako kandydat na prezydenta Rzeszowa. Nie miałem żadnych symboli i barw kampanijnych – tłumaczy naiwnie Warchoł w rozmowie z Wirtualną Polską.

Wybory w Rzeszowie przegrał z kretesem. Ledwo zajął trzecie miejsce przed Grzegorzem Braunem. To było jednak tylko preludium do kampanii, która teraz trwa. Wciąż finansują ją... środki z FS. Tym razem przekazywane... kołom gospodyń wiejskich! Warchoł przekazuje im m.in. ekspresy do kawy, garnki, patelnie i kamienie do pieczenia pizzy. Warchoł zapewnia, że koła realizują „cel Funduszu, jakim jest prewencja i zapobieganie przyczynom przestępczości poprzez edukację”.

Są granice cynizmu? Nie w przypadku tej ekipy. Może jednak przysłuży mu się to tak, jak w 2021 r.?■

Tak wiceminister od Ziobry tworzy wyższą uczelnię w stolicy

Ekipa Ziobry w ministerstwie sprawiedliwości wymyśliła sobie, by mieć własną wyższą uczelnię. Pieniądze się szybko znalazły – zamiast na pomoc ofiarom przestępstw wynajęto m.in. hotel w centrum Warszawy pod akademik. A do reklamowania nowych kierunków zamierzano wykorzystać parafie katolickie w całej Polsce.

Szkołę Wyższą Wymiaru Sprawiedliwości powołał w 2018 r. minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro. Miała być tylko szkołą zawodową i szkolić wyłącznie kadry więziennictwa. 3 lata później zmieniła nazwę na SWWS, by kształcić „przyszłe kadry organów wymiaru sprawiedliwości”. Mentorem na kierunku prawniczym jest tam wiceminister od Ziobry, Marcin Romanowski. Jego pierwszym krokiem, co ujawnili w maju 2021 r. dziennikarze OKO.press, była osobista prośba do... księży proboszczów w całej Polsce z prośbą o poinformowanie o otwarciu nowego kierunku, np. poprzez wywieszenie „załączonych materiałów promocyjnych w gablotce parafialnej”.

Resort Ziobry wymyślił też sobie, że uczelnia stanie się ośrodkiem badawczym. Na ten cel z Funduszu Sprawiedliwości poszło aż 30 mln zł w trzy i pół roku. SWWS dostała pieniądze m.in.: na „Pracownię Innowacji Strategicznych”, mającą wspierać pracowników resortu w kreatywnym myśleniu (9,98 mln zł), na rozwiązania dotyczące prokuratury, niezależnych wyborów, mediów i zwalczania korupcji 4,4 mln zł, na zbadanie m.in. „problematyki władzy rodzicielskiej” w kontekście prze-

ciwdziałania przestępczości 4 mln zł czy 3,2 mln zł na „przywrócenie moralności, etyce i aksjologii należnego jej miejsca w systemie prawa”. Z kontroli NIK wynika, że pieniądze na wszystkie projekty badawcze trafiły do SWWS na podstawie rozporządzenia ministra Ziobry z 2017 r. Według rozporządzenia minister ogłasza nabór. Stosowna informacja jest więc publikowana na stronach ministerstwa, a wnioski weryfikuje specjalny zespół. Jednak „w uzasadnionych przypadkach możliwe jest zawarcie umowy na powierzenie zadania nieobjętego programem lub naborem wniosków”. I, co za niespodzianka, właśnie z tej ścieżki skorzystała SWWS.



Dzięki środkom od ministerstwa w 2022 r. SWWS otrzymała kategorię naukową. A w dyscyplinach nauki o bezpieczeństwie i pedagogika i otrzymała status uczelni akademickiej, co pozwala jej na kształcenie doktorantów.

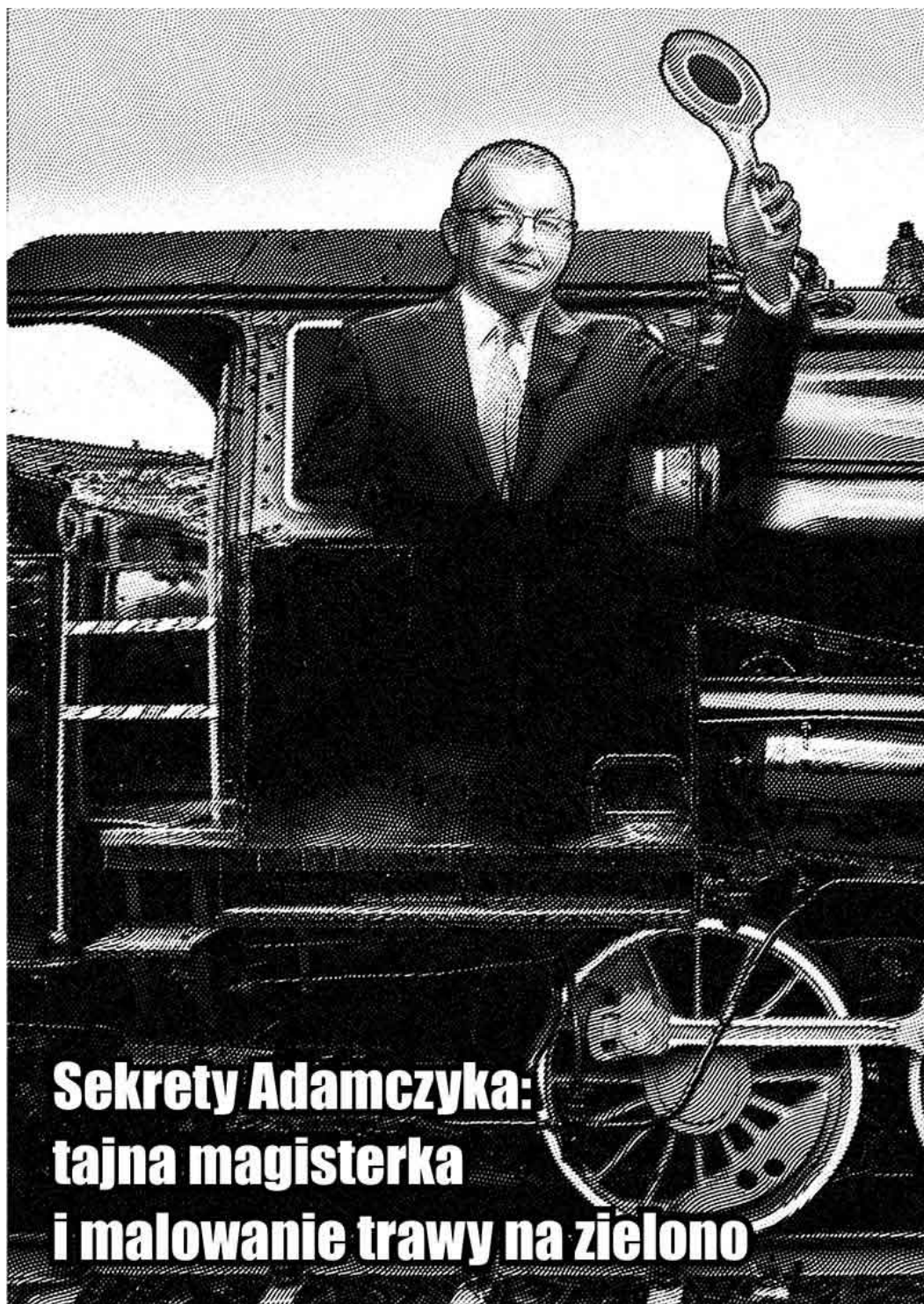
O SWWS głośno się zrobiło pod koniec 2022 r. Jak po raz kolejny ujawniło OKO.press, uczelnia zamierzała zamówić (za swoje pieniądze!) sondaż z pytaniem: „Wyobraź sobie, że Solidarna Polska startuje osobno, a nie razem z PiS. Na które ugrupowanie oddałbyś głos, gdyby wybory do Sejmu odbywały się w najbliższą niedzielę?”. Było też pytanie: „Czy poparłbyś przyjęcie środków pieniężnych z KPO, wiedząc, że Polska będzie musiała zwrócić Unii Europejskiej co najmniej 3 razy większą kwotę pieniędzy od otrzymanej?”, które było ewidentnie pod narrację prowadzoną przez Ziobrę.

Na potrzeby akademika SWWS wynajęła 3-gwiazdkowy Hotel Belwederski w Warszawie, nieopodal Łazienek. Szkoła będzie za niego płacić 1,5 mln zł rocznie przez 20 lat. Minister Romanowski przekonał Agencję Mienia Wojskowego, że budynek jest potrzebny uczelni „w świetle postawionych zadań edukacyjnych, będących kluczowymi dla reformy wymiaru sprawiedliwości”.■

Minister od kolei zajmuje stanowisko ósmy rok, choć nie ma żadnych sukcesów!

To chyba najczęściej odwoływany minister w rządzie PiS. I jeden z niewielu, który... pełni swoją funkcję od 2015 r. do dzisiaj. Andrzej Adamczyk ma za sobą całą serię afer na kolei. Nie uniknął też afery ze sobą w roli głównej. A poszło o jego wykształcenie wyższe.

Zdanie Adamczyka wypowiedziane w Radiu Zet: „Jestem magistrem zarządzania ekonomią i taki był temat mojej pracy magisterskiej” brzmiał niemal tak jak słynny cytat z *Psów* Pasikowskiego: „Nazywam się major Bień i mam stopień majora”. Sęk w tym, że nie ma takiego kierunku studiów jak „zarządzanie ekonomią”. Praca Adamczyka została utajniona. Minister i uczelnia – Społeczna Akademia Nauk w Olkuszu – chowają ją jak największą tajemnicę, choć wszystkie prace magisterskie są jawne. O tym, że minister poszedł na studia, nie wiedział nikt w resorcie. A kiedy został ministrem, magistra nie miał. Ponoć Jarosław Kaczyński zażądał od niego uzupełnienia tego braku. Adamczyk wybrał szkołę, której najsłynniejszym dotąd absolwentem pozostaje... Mariusz Pudzianowski „Pudzian”. Minęło kilka lat, a magisterka Adamczyka **to**⁽⁷⁾ wciąż tajemnica...



**Sekrety Adamczyka:
tajna magisterka
i malowanie trawy na zielono**

Największe problemy Adamczyk miał przez te lata z koleją. Najpierw poszło o umowę dotyczącą ochrony dworców podczas Światowych Dni Młodzieży. Latem 2016 r. PKP SA za prawie 2 mln zł zleciły ochronę nieznaną w branży spółce Sensus. Kierował nią Sławomir Wolny, wspólnik

ówczesnych szefów BOR gen. Andrzeja Pawlikowskiego i Agencji Wywiadu, płk. Grzegorza Małeckiego. Umowa została zawarta z wolnej ręki, bez przetargu. Firma nie miała numeru telefonu ani siedziby. Sprawą, opisaną przez „Gazetę Wyborczą”, zajęło się CBA. Obaj szefowie służb stracili stanowiska. Czterej członkowie zarządu PKP zostali oskarżeni o niegospodarność i nieumyślne wyrządzenie szkody wielkiej wartości. Zarząd został zdymisjonowany. Adamczyk się ostał.

Nowym szefem PKP został Krzysztof Mamiński, wcześniej prezes Przewozów Regionalnych. Jego żona zginęła w katastrofie smoleńskiej. W PKP kwitł nepotyzm. Córka szefa PKP PLK Ireneusza Merchela została kierownikiem w PKP PLK. Prezesem PKP Intercity został Marek Chraniuk, członek PiS i „Solidarności”. Tak zatrzymano groźby protestów. Szefem PKP Cargo został Maciej Libiszewski, pełnomocnik PiS w Tczewie i były prezes spółki Srebrna kontrolowanej przez PiS. To chyba uratowało Adamczyka – zadbał o wszystkie frakcje. A przede wszystkim o związkowców, np. w PKP Cargo. W 2013 r. Adamczyk, jeszcze w opozycji, ostrzegwał, że PO szykuje prywatyzację PKP Cargo i wycena akcji to zaledwie 70 zł. Ile ta akcja jest warta dzisiaj? Zaledwie... 13 złotych!

Adamczyk chwali się tym, że pociągi PKP Intercity rzadziej się spóźniają. Nie dodaje tylko, że w 2019 r. zmieniono definicję spóźnienia z 4 minut 59 sekund do 5 minut 59 sekund. I od razu poprawiły się statystyki dotyczące punktualności pociągów.

„Takiej tępoty, połączonej z niekompetencją, bezinteresownym szkodnictwem lub zawiścią, zakłamaniem i zwykłym łajdactwem dawno nie widziałem. Jeżeli polityka ma wyglądać tak, że ludzie wyłącznie ze względu na małośćkowość, dla własnej ambicji itp. narażają państwo na miliardowe straty i w taki sposób decydują o sprawach strategicznych z punktu widzenia kraju, to oznacza, że nie jesteśmy lepsi od PO” – tak po jednym ze spotkań z ministrem Adamczykiem napisał o nim do premiera jego rządowy i partyjny kolega, szef KPRM Michał

Dworczyk. Widać to jest klucz do spokojnego zajmowania stanowiska w rządzie PiS.■

Jak nieudolnie Kempa niosła pomoc uchodźcom

Kiedy Beata Kempa była jeszcze posłanką w polskim Sejmie, bardzo chciała pozostać w rządzie po dymisji Beaty Szydło. Była szefową jej kancelarii. Kłopot w tym, że nie było żadnego obszaru, na którym by się znała (to w rządzie PiS akurat nie problem) i który by był wolny (to już problem ciut większy). Została więc ministrem od pomocy humanitarnej. Efekty były opłakane.

Pracą pani minister Kempy polegała głównie na przekazywaniu pieniędzy z KPRM do organizacji pozarządowych, które udzielają wsparcia uchodźcom m.in. w Jordanii, Syrii, Iraku, Libanie. – Polski rząd pomaga uchodźcom na miejscu – chwaliła się Kempa w 2018 r., która medialnie bardzo angażowała się w tę sprawę. Już po odejściu do Parlamentu Europejskiego jej działalność przyjrzała się Najwyższa Izba Kontroli. I nie zostawiła suchej nitki na tej działalności. W raporcie NIK, opisanym m.in. przez „Fakt”, czytamy, że pomoc dla uchodźców była nieskoordynowana, wysokość wypłaconych dotacji została zawyżona, a pieniądze nie zawsze trafiały tam gdzie trzeba. Z 52 mln zł, jakie KPRM przeznaczyła na wsparcie dla uchodźców, aż 50 mln wydano bez koordynacji z MSZ, choć to niezgodne z przepisami.



**Zajęła się
pomocą humanitarną tak,
że kontrolerzy z NIK
załamali ręce**

Bałagan w dokumentach sprawił, że wysokość wypłaconych dotacji została zawyżona aż o 776 tys. zł. Podpisanie umowy z organizacją pozarządową na pomoc w konkretnym rejonie świata zabierało urzędnikom Kempy nawet 148 dni, czyli dłużej niż sama realizacja zadania. Jeden

z programów zakładał leczenie w Polsce dzieci z Aleppo w Syrii. Efekt? Aż 153 osoby z 863, którym sfinansowano koszty udzielonej pomocy medycznej, były osobami dorosłymi, „zatem ich leczenie nie było objęte zakresem rzeczowym przedmiotowego zadania publicznego”. Za niektóre osoby zapłaciliśmy za to podwójnie. Kempa nie monitorowała, jak wygląda na miejscu udzielanie pomocy, choć odbyła aż 13 delegacji. Koszty wszystkich to prawie 700 tys. zł. Najślynniejsza była ta w połowie stycznia 2018 r. do Jordanii, dokąd Kempa wzięła 25 osób i rządowego embraera. Czterodniowy wyjazd kosztował grubo ponad 200 tys. zł, ale Kempa przekonywała, że był kluczowy. Fakt, że dla niej mógł taki być, bo nastąpił ledwie parę dni po objęciu przez nią tej funkcji. A wcześniej nigdy nie zajmowała się pomocą humanitarną. Wszystko dla niej mogło być nowe. Ale ta edukacja była bardzo kosztowna. Podobnie jak jej cała działalność. O jej wadze niech świadczy fakt, że po kontroli NIK kancelaria premiera zdecydowała o... likwidacji stanowiska Kempy i całego departamentu.

Kempa z tymi zarzutami się nie zgadzała, ale z jednym ma dodatkowy kłopot. Będzie musiała tłumaczyć się prokuratorowi. A chodzi o plecaki, jakie miały trafić do dzieci z Aleppo w ramach akcji organizowanej przez byłą minister. W ramach akcji uczniowie dolnośląskich szkół zbierali tornistry, które miały trafić do syryjskich dzieci. Nie dość, że w terminie ich nie przekazano, to... nie zrobiono tego w ogóle. Po wielu miesiącach plecaki odnaleziono w jednym z magazynów i przewieziono do katolickiej organizacji. A tam część rozdano potrzebującym dzieciom, ale nie w Syrii, lecz w Polsce. Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych w Warszawie skierował sprawę do prokuratury. Ta odmówiła wszczęcia śledztwa. Sprawa trafiła do sądu, który rozpatrzył zażalenie aktywistów i – jak donosiła „Gazeta Wyborcza” – nakazał prokuraturze wszcząć śledztwo. Kempa tłumaczy się, że nie ona organizowała tę akcję, a jedynie jej patronowała. ■

Prezes Narodowego Banku Prawa i Sprawiedliwości

Pewnie jeszcze nigdy konferencje prasowe prezesa Narodowego Banku Polskiego nie cieszyły się takim zainteresowaniem jak za prezesury Adama Glapińskiego. Cytatów uznawanych za śmieszne krąży potem w sieci co niemiara. Problem jednak w tym, że za nimi kryje się bardzo poważna sprawa i pytanie: czy NBP panuje nad inflacją w Polsce, czy stara się tylko zarządzać politycznym interesem kumpla Glapińskiego, czyli prezesa PiS?

Na budynku centrali NBP od maja wisi ogromny baner reklamowy, na którym widnieje napis, że „obciążanie NBP i rządu winą za wysoką inflację wpisuje się w narrację Kremla”. Już pomińmy zarzuty opozycji, że żaden bank centralny na świecie nie pozwoliłby sobie na taki komunikat publicznie. Już pomińmy to, że nawet Jarosław Kaczyński czy Mateusz Morawiecki przyznają, że inflacja w latach 2022–2023 byłaby niższa, gdyby nie fakt, że w pandemii rząd zdecydował o wpompowaniu w gospodarkę miliardów złotych pomocy dla przedsiębiorców, by gospodarka jak najmniej ucierpiała z powodu lockdownów. Prezes Adam Glapiński żyje jak pączek w maśle i nie rozumie, że wysoka inflacja to ogromny problem dla tysięcy polskich rodzin. W 2021 r. miał jedno zadanie: utrzymać inflację na poziomie maksymalnie 3,5 proc. Taki cel sam sobie postawił. Jednak inflacja była niemal trzykrotnie wyższa! A Glapiński i tak dostał od Prezydenta Andrzeja Dudy gospodarczą „nagrodę specjalną”. Za co? Najpewniej za wspieranie finansowe

polityki obozu władzy. Bo tak Glapiński pojmuje cel swojego już 7-letniego pobytu w NBP przy ul. Świętokrzyskiej w Warszawie.



W grudniu 2018 r. „Gazeta Wyborcza” ujawnia, że najważniejszymi osobami w banku centralnym nie są wcale jacyś eksperci czy ekonomiści, ale dwie panie nazywane „dwórkami prezesa”. Martyna Wojcie-

chowska jest wówczas dyrektorką Departamentu Komunikacji i Promocji NBP i zarabia ok. 50 tys. zł miesięcznie, a Kamila Sukiennik jest dyrektorką gabinetu prezesa z pensją 42 tys. zł i nie ma do tego żadnych kompetencji. Glapiński skierował ją np. do rady nadzorczej Krajowego Depozytu Papierów Wartościowych (KDPW), gdzie wymagania wobec zarządu i rady są wyjątkowo wysokie ze względu na specjalistyczną działalność na rynku finansowym. Glapiński uznał zarzuty za „hambne, brutalne, prymitywne, seksistowskie pastwienie się nad dwiema matkami, nad ich dziećmi, mężami, rodzicami”. Dopiero pod wpływem prezesa PiS panie zniknęły z NBP.

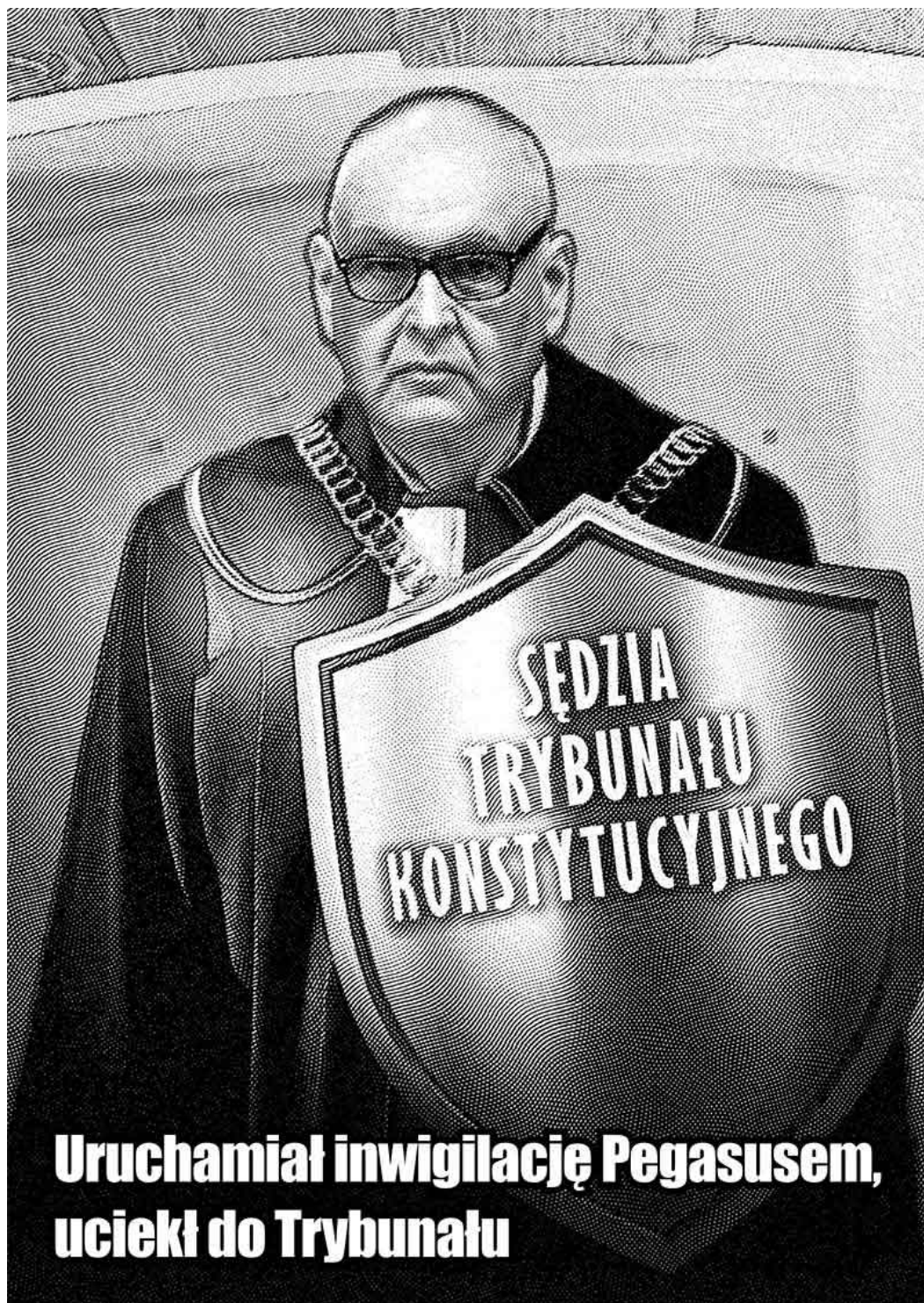
Glapiński był patronem kariery szefa KNF Marka Chrzanowskiego, który miał złożyć Leszkowi Czarneckim, właścicielowi Getin Noble Banku, propozycję korupcyjną. Chrzanowski stracił stanowisko i został oskarżony przez prokuraturę o „przekroczenie uprawnień funkcjonariusza publicznego w celu osiągnięcia korzyści majątkowej”. Glapiński wyszedł z afery cało. Podobnie jak z kolejnej, gdy okazało się z publikacji „Gazety Wyborczej”, że w 2009 r. zamienił swój dom w warszawskim Wilanowie na willę pod Warszawą. Transakcja była bezgotówkowa, choć willa jest znacznie większa i pewnie warta dwa razy więcej. Dzięki temu jednak Glapiński nie zapłacił podatku. A na domy zamienił się z... firmą deweloperską powiązaną z Robertem Szustkowskim, multimilionerem działającym w imieniu ważnych kremlowskich oligarchów, w latach 90. szefem polskiej filii rosyjskiego Montażspecbanku, łączonego przez media z tzw. mafią sołncewską...

Glapińskiego czeka jeszcze 5 lat takiego beztroskiego życia...■

Były prokurator krajowy scho- wał się za sędziowskim immunitete- tem

Czy to dobrze, że polskie służby mają słynnego Pegasus, czyli nowoczesny system do inwigilacji? Pewnie w normalnych okolicznościach trzeba by się zgodzić z Jarosławem Kaczyńskim, że tak. Problem w tym, że w 2019 r. służby wykorzystały go nie do ścigania terrorystów, lecz do inwigilacji szefa sztabu opozycyjnej wobec PiS formacji. A zgodził się na to Bogdan Świączkowski.

Świączkowski jest postacią doskonale znaną w świecie politycznym. Jego kariera powinna się zakończyć po samobójczej śmierci Barbary Blidy, bo to funkcjonariusze Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego zaniedbali podstawowe procedury. A szefem ABW był wówczas właśnie Świączkowski, z jednej strony człowiek Zbigniewa Ziobry, a z drugiej postać ze znakomitymi koneksjami w PiS i u prezesa Jarosława Kaczyńskiego.



Po wygranych przez PiS wyborach w 2015 r. Święczkowski został prokuratorem krajowym, czyli prawą ręką Ziobry. Jest tajemnicą poliszynela, że to on dowodzi całą grupą prokuratorów, która stoi murem za „dobrą zmianą”. I to właśnie Święczkowski w 2019 r. podpisał wniosek

jednego z tych prokuratorów (Grzegorza Ocieczka, w przeszłości kandydat PiS w wyborach samorządowych) o objęcie inwigilacją Krzysztofa Brejzy, który był wówczas szefem sztabu wyborczego Koalicji Obywatelskiej! – To nie miało nic wspólnego z wyborami – zapewnia Kaczyński, sugerując, że syn prezydenta Inowrocławia jest zamieszany w poważne przestępstwa w tym mieście. Tyle że mijają miesiące, a nie ma na to żadnych dowodów. W dodatku Brejzy nie podsłuchiowano, ale zainfekowano mu telefon Pegasusem. Oznacza to możliwość pełnej kontroli wszystkich aplikacji w telefonie, ale też zamiany telefonu w mikrofon nagrywający wszystko, co dzieje się w pobliżu aparatu! Trwało to od kwietnia do października 2019 r.

Rząd, gdy tylko wyszła na jaw sprawa Pegasusa, najpierw zaprzeczał, że Polska w ogóle ma ten system. – Nie wiem, o jaki system pan pyta. Nie mam wiedzy, co to może być za system – mówił na początku stycznia wiceminister sprawiedliwości Michał Woś. Komentował w ten sposób publikację „Gazety Wyborczej”. Ujawniła ona, że w 2017 r. to Woś podpisał się pod przekazaniem 25 mln zł z Funduszu Sprawiedliwości dla Centralnego Biura Antykorupcyjnego właśnie na zakup Pegasusa. Posłowie na komisji zatwierdzili tę zmianę, bo nie mieli pojęcia, że taki jest cel tego przesunięcia środków. Chodziło o „inne działania” mające „służyć zapobieganiu przestępczości”. Kilka dni później Kaczyński ujawnił, że Pegasusa mamy, kupiliśmy go i że „Polska jest z tego dumna”. A dlaczego z Funduszu Sprawiedliwości? – To sprawa o charakterze technicznym, bez większego znaczenia. Pieniądze publiczne wydano na ważny cel publiczny, związany z walką z przestępczością, ochroną obywateli – tłumaczył Kaczyński w wywiadzie dla tygodnika „Sieci”.

Świączkowski chyba jednak czuje, że mógłby mieć kłopoty przez podpisanie wniosku o inwigilację Brejzy i inne działania prokuratury z wykorzystaniem Pegasusa. Od kilku miesięcy jest już sędzią Trybunału Konstytucyjnego. Ma ogromną ochotę zastąpić Julię Przyłębską na stanowisku prezesa tego gremium. ■

PiS daje miliony z podatków na nacjonalistę Bąkiewicza

Jeszcze kilka lat temu Jarosław Kaczyński uważałby Roberta Bąkiewicza za jednostkę niegroźną, o ile nie ma środków na działalność. Dzisiaj ten radykalny działacz narodowy zbudował się dzięki pieniądзом, jakie dostaje od rządu.

Robert Bąkiewicz o sobie mówi, że w młodości był „zwykłym dresiarzem” z Pruszkowa. Studiów nie ma. Z żoną, koleżanką z podstawówki, mają czwórkę dzieci i fikcyjny rozwód. Najbardziej przerażają go „zniewieściali mężczyźni na ulicach”, co wyznał w „Dzienniku Gazecie Prawnej” w 2017 r. – Nie wiem, czy te 27 lat Polski w systemie demoliberalnym nie spowodowało większego spustoszenia niż 50 lat komunizmu – mówi. Na oficjalnej stronie Ruchu Narodowego napisał o sobie: „Jestem doświadczonym biznesmenem i menedżerem. Przez 11 lat z powodzeniem prowadziłem własną działalność gospodarczą w sektorze budowlanym. Po przejęciu sektora przez zagraniczne koncerny, w czasach rządu Platformy Obywatelskiej, zostałem zmuszony do zamknięcia firmy”. Faktycznie, co opisała „Gazeta Wyborcza”, zostawił na lodzie wielu wierzycieli i ogłosił upadłość. Z polityką nie miało to nic wspólnego.



**Dawny działacz ONR
jest głównym beneficjentem
tzw. Funduszu Patriotycznego**

W 2010 r. wstępuje do Obozu Narodowo-Radykalnego (ONR). – Czemu nie do PiS-u? Bo PiS się z tymi układa, z tamtymi układa... Wcześniej Platforma, dziś oni – dwie strony tego samego medalu. Ruch Narodowy jest bardziej jednoznaczny – tłumaczy potem swoją decyzję.

W 2015 r. po deklaracji premier Ewy Kopacz o przyjmowaniu uchodźców organizuje wielką manifestację „Polacy przeciw imigrantom”. Jest ok. 10 tys. ludzi. Gwiazdą zostaje po pogrzebie Danuty Siedzikówny „Inki”. Pod bazyliką Mariacką jego ekipa ściera się z grupką Komitetu Obrony Demokracji. A 10 tygodni później pierwszy raz idzie na czele ogromnego Marszu Niepodległości w stolicy. 2 lata później dochodzi do rozłamu w ONR. Bąkiewicz przechodzi do partii Roberta Winnickiego. Zbiera podpisy pod projektem „ustawy broniącej polskie mienie przed nielegalnymi roszczeniami środowisk żydowskich”. W niespełna 4 miesiące ma ich 200 tys. W mediach zaczyna atakować Donalda Tuska, że sprzyja działalności Kremla. Gdy jesienią 2020 r. na ulice wychodzą tysiące kobiet po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji Bąkiewicz reaguje na apel Jarosława Kaczyńskiego do „obrony świątyń”. Przemianowuje Straż Marszu Niepodległości na Straż Narodową (dalej SN). To dostrzega PiS. Powołuje Fundusz Patriotyczny z budżetem, bagatela, 30 mln zł rocznie. Na projekty kulturalne, edukacyjne i naukowe, np. grupy rekonstrukcyjne, ale i na duże przedsięwzięcia inwestycyjne i infrastrukturalne czy szkoleniowe, „które mają na celu wzmacnianie instytucjonalne/organizacyjne zaplecza obozu patriotycznego”. Niedługo potem Bąkiewicz staje się beneficjentem Funduszu. Aż 10 procent środków dostają organizacje, które tworzy. Kupują za to m.in. wypasiony sprzęt nagłośnieniowy, którym potem zagłuszają wiec Tuska na placu Zamkowym. Dzięki rządowej dotacji organizacja Bąkiewicza kupiła ośrodek wypoczynkowy w Mazowieckim Parku Krajobrazowym.

Artur Warcholiński z TVN wyliczył w czerwcu, że wszystkie organizacje Bąkiewicza dostały w ciągu 12 miesięcy aż 4 mln państwowych dotacji. Teraz Bąkiewicz ubiega się o następne 4 mln na „dofinansowanie budowy Centrum Niepodległości w Warszawie”. O finansowo trudnych czasach zapomniał. Teraz musi trzymać kciuki, by PiS nie straciło władzy, bo Fundusz Patriotyczny mógł przejść szybko do historii. Oby to były kciuki, a nie pięści...■

Ustalenia mediów potwierdziła NIK: minister edukacji działał nielegalnie!

Czy można założyć fundację jednego dnia, a za tydzień dostać na nią miliony? Można! Jest jeden warunek: trzeba mieć za kolegę ministra edukacji. Przemysław Czarnek w kilku konkursach organizowanych przez swój resort zapewnił wielu kolegom status milionerów. Tyle, że już nawet Najwyższa Izba Kontroli wytyka ten skandal. Kto rozliczy Czarnka?

Jak donosi TVN24, NIK stwierdziła, że minister Czarnek nielegalnie przyznał 6 mln zł w programie, który media określiły jako Willa+. W konkursach rozdzielał pieniądze nierzetelnie.

Miliony trafiły do organizacji nieuprawnionych nawet do udziału w konkursach. Do fundacji bez **żadnego**⁽⁶⁾ doświadczenia. Mimo negatywnych ocen ekspertów i konfliktu interesów. O jakich kwotach mowa? NIK doliczyła się aż 84,9 mln zł dotacji dla podmiotów, których wnioski nie dostały rekomendacji ekspertów. I to ekspertów powołanych przez Czarnka!

Kontrolerzy NIK potwierdzili ustalenia mediów, że minister nielegalnie przyznał 6 mln zł dofinansowań „trzem podmiotom niespełniającym kryterium otrzymania dotacji”, z czego jednemu w „wysokości 4,5 mln zł poza trybem naboru wniosków”. To nie byle jaki podmiot – to Fundacja Wolność i Demokracja założona przez... kolegę Czarnka z rządu PiS, ministra Michała Dworczyka. W zarządzie fundacji zasiada

m.in. Radosław Poraj-Różecki, mąż posłanki PiS i szefowej sejmowej komisji edukacji Mirosławy Stachowiak-Różeckiej. Za te pieniądze Fundacja kupiła sobie dom w eleganckiej dzielnicy w Warszawie



Pieniądze z programu Willa+ dostało też m.in. Muzeum Regionalne w Kutnie, rodzinnym mieście zastępcy Czarnka w MEN, Tomasza Rzymkowskiego. I to mimo że eksperci podważyli kosztorys przedstawiony przez placówkę. Ponad 1 mln zł trafił też do Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej, którą prowadzi Jan Żaryn, były senator PiS, a prywatnie ojciec rzecznika prasowego koordynatora służb obecnego rządu...

Pięć organizacji dostało łącznie ponad 13 mln zł choć, jak potwierdziła NIK, „nie posiadały doświadczenia w obszarze realizacji działań na rzecz wspierania systemu oświaty”, a taki był wymóg konkursu! Czarnek ze zdaniem ekspertów się nie liczył. Najwyraźniej uznał, że skoro im sownie płaci, to żaden nie zaprotestuje. W sumie całe grono ekspertów zarobiło w komisjach niemal 1 mln zł. Wśród nich był dyrektor Departamentu Programów Naukowych i Inwestycji w resorcie edukacji Wojciech Kondrat. Miał szczególne powody do zadowolenia, bo 840 tys. zł dotacji dostało Stowarzyszenie na rzecz Rozwoju Lokalnego Mokrelipie, którego prezesem jest... ojciec Kondrata!

– Rząd PiS, zgodnie ze swoją zapowiedzią, nie zostawia Polaków w biedzie, nie zostawia w biedzie nauczycieli – powiedział.■

Polski nie-Ład, czyli jak zapłaciliśmy za niekompetencję rządu

Polski Ład to chyba najlepszy obraz, jak prawdziwe jest przysłowie, że sukces ma wielu ojców, a porażka jest sierotą. Program zmiany podatków, który miał przywrócić porządek wywrócony przez pandemię, spowodował wśród Polaków ogromne straty, nie mniejszy stres niż COVID-19 i spadek zaufania do państwa. A ówczesny minister finansów Tadeusz Kościński nie ma sobie nic do zarzucenia.

Maj 2021 r. – Przypadł mi dzisiaj zaszczyt przedstawienia wstępu do omówienia programu Polski Ład – mówi prezes PiS Jarosław Kaczyński. Dodaje, że jest to program oparty na „polskich wartościach”. – To coś więcej niż program, bo Polski Ład to nowa umowa społeczna dla wszystkich Polaków – wtórował mu premier Mateusz Morawiecki. – Zależy mi na tym, aby Polski Ład przywrócił ten porządek, który został wywrócony przez epidemię. Dlatego wierzę, że różnego rodzaju stare podziały, problemy, odejdą w niepamięć i razem będziemy mogli skoncentrować się na budowie lepszej Polski – dodawał.



Co więc poszło nie tak? Można powiedzieć, że jak w soczewce skupiły się wszystkie wady tej ekipy rządzącej. Po pierwsze, robienie zmian na kolanie. Sejm przepychał Polski Ład w zaledwie dwa tygodnie – 277 stron nowego prawa podatkowego! Po drugie, oczywiście nie było żad-

nych konsultacji społecznych. Wszystko było sprowadzone do rządowej propagandy. A ta koncentrowała się jedynie na korzyściach płynących z reformy i wskazywania, kto, ile zyska na nowych rozwiązaniach. Kompletnie pomijano kwestie techniczne, a tu w systemie zmieniało się sporo: jak np. składanie nowego druku PIT-2, aby móc skorzystać z kwoty wolnej już w ciągu roku. Rząd opowiadał, że nikt nie straci na Polskim Ładzie, a nowy system obliczania kwoty wolnej sprawił, że mnóstwo ludzi dostało pensje za styczeń 2022 r. o kilkaset złotych niższe niż za grudzień! Nauczyciele stracili, bo ktoś założył, że zawsze uczą tylko w jednej szkole. Przedsiębiorcy, bo nagle nie mogli odliczać składki zdrowotnej. Ulga dla klasy średniej okazała się łamigłówką, której często nie potrafili wyjaśnić nawet doświadczeni doradcy podatkowi.

Rząd szybko się zorientował, co narobił. Zaczął więc... naprawiać system. Naprawa Polskiego Ładu trwała do lipca. Wiele złych rozwiązań i tak pozostała. Nie ostał się jednak minister finansów. Na początku lutego Tadeusz Kościński odszedł z rządu. Po odwołaniu tłumaczył, że Polski Ład... to nie jego pomysł, a zatem i nie jego wina. – Naszym zleceńdawcą był głównie pan premier. A on zbierał wszystkie pomysły, które wychodziły z Nowogrodzkiej, z innych ministerstw i z różnych instytucji, na przykład Polskiego Instytutu Ekonomicznego – tłumaczył w RMF FM. I buńczucznie dodawał: – Jeszcze nikt mi nie pokazał, która ustawa w którym miejscu jest błędna. Błędne są koncepcje, a one przychodziły z zewnątrz. Inne zdanie miał ten, który zachwalał Polski Ład na starcie. Zdaniem Kaczyńskiego ci, którzy wprowadzali program, „niezupelnie zapanowali nad tym, co jest im podległe, i tam, być może, zadziałał brak dostatecznych kwalifikacji, być może także i brak dobrej woli”.

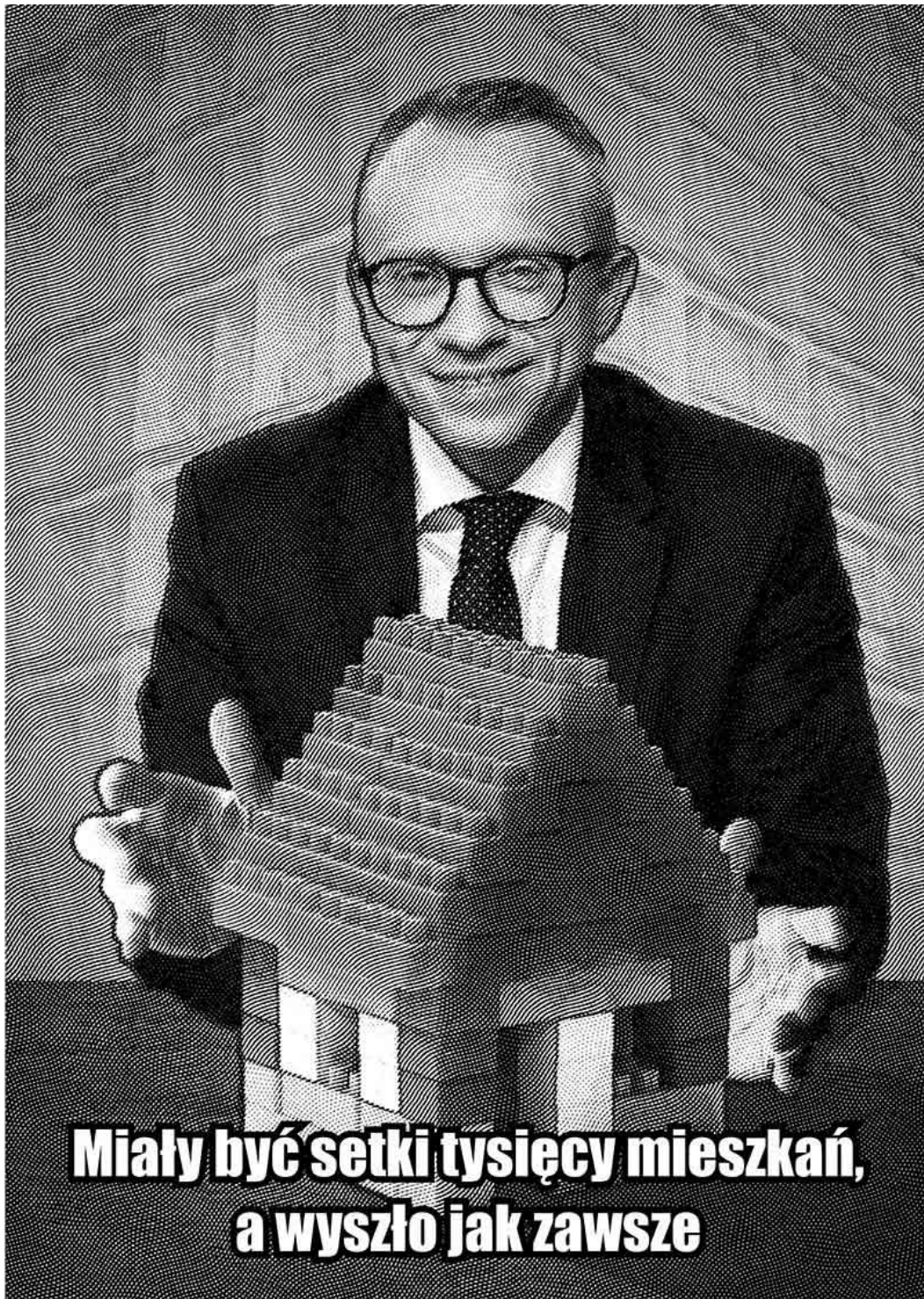
4 miesiące po odejściu z rządu po tej kompromitacji Kościński został powołany na stanowisko sekretarza stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów oraz pełnomocnika rządu ds. pozyskiwania źródeł finansowania dla przedsięwzięć służących wzmocnieniu bezpieczeństwa

i obronności państwa. Jak widać, nieważne, że niekompetentny.
Ważne, że swój.■

Artur Soboń był pewny, że Mieszkanie Plus będzie sukcesem

Miało być rozwiązanie problemów mieszkaniowych wielu Polaków. I setki tysięcy tanich mieszkań na wynajem. Miało być jak nigdy. A wyszło... jak zawsze. Program Mieszkanie Plus okazał się kompletną klęską rządu, a zapowiedzi odpowiedzialnego za jego realizację wiceministra Artura Sobonia dzisiaj śmieszą jak dobry kabaret.

Mieszkanie Plus niestety nie wyszło – rzucił w ubiegłym roku Jarosław Kaczyński. Oczywiście winnych, jak zwykle, szukał poza rządem i swoją formacją. – Opór deweloperów okazał się tak silny, a także pewne inne cechy naszego społeczeństwa doprowadziły do tego, że nie zdołaliśmy przełamać wszystkiego, co utrudnia zdobywanie tanich terenów pod budowę mieszkań, bo żeby mieszkania były tanie, to także tereny muszą być tanie czy nawet bardzo tanie – wyjaśnił Kaczyński. Zapomniał dodać, że tereny pod budowę mieszkań miało przekazać np. PKP SA, czyli spółka, nad którą on ma pełnię władzy.



Mieszkanie Plus to rządowy program budowy mieszkań na wynajem, z opcją dojścia do własności. – Takich realnych inwestycji na koniec tego roku będzie na 100 tysięcy mieszkań. Oddanych do użytku będzie pewnie około 1,5 tysiąca. W faktycznej budowie będzie pewnie kilka tysięcy

– tak mówił o programie Mieszkanie Plus w 2019 r. na antenie TVN24 BiS wiceminister inwestycji i rozwoju Artur Soboń. To on odpowiadał za realizację pomysłu, z którym PiS szedł do kampanii. Zbliżały się kolejne wybory i zaczynały się pytania: co z tymi mieszkaniami? – Ja jestem dzisiaj pewny co do jednego. Te 100 tysięcy mieszkań do końca roku uruchomimy, na różnych etapach realizacji – zadeklarował Soboń.

My jesteśmy pewni czego innego. To było nawijanie wyborcom makaronu na uszy przed wyborami. Według raportu Najwyższej Izby Kontroli z 2021 r. w ramach rządowego programu do użytku oddano nieco ponad 15 tys. mieszkań, a w budowie było 20,5 tys. lokali. Na koniec 2022 r. ukończonych było około 19 tys. lokali mieszkalnych, a⁽⁸⁾ trwała budowa około 31,5 tys. mieszkań. Dla porównania rocznie zaczyna się w Polsce budowa ok. 200 tysięcy mieszkań...

Co sprawiło, że program nie wyszedł? Na pewno brak koordynacji, która świetnie sprawdza się w PiS przy przepychaniu kolanem ustaw czy uchwał oraz organizacji konwencji. Gorzej, gdy efektem zmian w prawie ma być działanie, a efekty działań da się dość prosto policzyć. Tak było z pomysłem samochodów elektrycznych, tak samo jest z mieszkaniami. – Rzeczywistość rynkowa pokazała, że jesteśmy poddawani jako państwo przy Mieszkaniu Plus takim samym mechanizmom, dokładnie takim samym zasadom, jak wszyscy na rynku – mówił parę lat temu zaskoczony tym faktem wiceminister Soboń. Rzeczywistość, która zaskakuje polityka: jakie to przewidywalne, prawda?

Soboń mówił wtedy: „Tak naprawdę ten program, jego skalę, oceniać będziemy w roku 2022, 2023, kiedy będziemy oddawali dziesiątki tysięcy mieszkań”. Nie ma dziesiątków tysięcy mieszkań, ale tym łatwiej ocenić ten program i jego skalę. A Soboń? Już od dawna nie zajmuje się mieszkaniami. Nimi zresztą zajął się, gdy przestał zajmować się w rządzie górnictwem. Teraz jest w ministerstwie finansów i zajmuje się podatkami. Anegdota głosi, że gdy przeszedł do ministerstwa, od razu polubili go urzędnicy, bo przyznał, że się nie zna. Cenna to umiejętność,

wielu politykom jej brakuje. Ale może pójść za ciosem i po prostu nie zajmować się rzeczami, na których się nie zna?■

Taki mamy klimat, że minister się na nim nie zna

Ten widok do dzisiaj wydaje się nieprawdopodobny: z Odry, jednej z największych polskich rzek, wyławiane były tony śniętych ryb. Z dnia na dzień piękna rzeka stała się miejscem ekologicznej katastrofy. A w samym środku tej katastrofy minister klimatu Anna Moskwa wyjechała na urlop. Jedyłą jej kompetencją okazał się... mąż.

Katastrofa ekologiczna Odry zaczęła się pod koniec lipca. Mimo to Anna Moskwa nie miała problemu z tym, by w samym jej środku pojechać na urlop, o czym donosiła „Gazeta Wyborcza”. Kiedy wróciła, rozkładała bezradnie ręce, mówiąc, że nic nie wiadomo. Nie wiadomo, dlaczego rządzone przez nią Ministerstwo Klimatu i Środowiska nie wiedziało o tragedii Odry. Pierwsze doniesienia o występowaniu znaczących ilości śniętych ryb w okolicach Oławy pojawiły się już w ostatniej dekadzie lipca. Zastępca Moskwy, wiceminister Jacek Ozdoba, przyznał, że o skali problemu dowiedział się... z mediów. Moskwa z urlopu wróciła dopiero, gdy o Odrze mówiła już cała Polska. Mimo to bagatelizowała sprawę. Twierdziła, że „to pojedyncze przypadki śnięcia”. – Oczywiście są zupełnie niepotrzebnie nagłaśniane – dodała w dobrym, PiS-owskim stylu.



**Anna Moskwa
w szczycie katastrofy na Odrze
pojechała na urlop**

Wtedy wydawało się, że Moskwa nie ma skąd mieć pojęcia o takiej tragedii. Nigdy wcześniej nie zajmowała się ani klimatem, ani środowiskiem, ani energetyką, która także jej obecnie podlega. Nie miała też doświadczeń w administracji państwowej ani rządowej. Od młodości była

związana z ruchem oazowym, potem studiowała na KUL. Była też prezesem Fundacji Nowy Staw. Wbrew nazwie nie ma ona nic wspólnego z wodą – organizacja zajmowała się komunikacją międzykulturową, pomocą rozwojową i rynkiem pracy. O fundacji zrobiło się głośno, gdy okazało się, że nagle jej partnerem strategicznym został Orlen. To tam trafiła Moskwa... z rządu. Tak, tak – zaraz po wyborach w 2015 r. dostała posadę w rządzie premier Beaty Szydło – od razu jako dyrektor Departamentu Współpracy Międzynarodowej Ministerstwa Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej. W kwietniu 2017 r. awansowała. Była już wiceministrem. Gdy jesienią 2020 r. ten resort został zlikwidowany, przeszła do Grupy Orlen. Daniel Obajtek namaścił ją na prezesa spółki Baltic Power, zajmującej się projektem budowy morskich farm wiatrowych. Rok później nieoczekiwanie wróciła do rządu. Już jako konstytucyjny minister.

I przyszła katastrofa na Odrze. Szukano kozła ofiarnego i został nim prezes Wód Polskich Przemysław Dacą. Zwolniony został w sierpniu, wypowiedzenie wręczono mu **we**⁽²⁾ wrześniu, do końca listopada zarabiał 40 tys. zł jako prezes, by od razu odnaleźć się jako zastępca dyrektora ds. zmian klimatu Instytutu Ochrony Środowiska. To jednostka podlegała Moskwie, która... wyjaśnia przyczyny sytuacji z Odrą. Jak to się stało, że Dacą spadł jak kot – na cztery łapy? Bo o jego losach decydowała Moskwa i... jej mąż. Jak ujawniła „Gazeta Wyborcza”, jest nim Paweł Rusiecki, wiceprezes Wód Polskich ds. zarządzania środowiskiem wodnym. Wcześniej był zastępcą dyrektora departamentu zarządzania środowiskiem wodnym w Wodach Polskich. Jest fachowcem, a formalnie Wody Polskie nie podlegają minister Moskwie, bo są nadzorowane przez Ministerstwo Infrastruktury. Wygląda więc na to, że jedyne kompetencje, jakie pani minister ma w wyjaśnianiu katastrofy ekologicznej Odry, to... jej mąż.■

Jak Narodowe Centrum Badań i Rozwoju stało się politycznym łupem

Adam Bielan, przez lata bliski współpracownik Jarosława Kaczyńskiego, a teraz szef Partii Republikańskiej. I Jacek Żalek, kiedyś w Platformie, potem u Jarosława Gowina. Co łączy obu panów? Jedna partyjka. Co dzieli? Kłótnia o to, kto odpowiada za skandal w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju. Nie rozstrzygamy kto. Obaj są siebie warci.

NCBiR to rządowa agencja wykonawcza podlegająca Ministerstwu Funduszy i Polityki Regionalnej. Od lat była „kluczowym ośrodkiem wspierania i tworzenia innowacyjnych rozwiązań technologicznych i społecznych” i rozdelała pieniądze na projekty, które mają przyczynić się do „cywilizacyjnego rozwoju kraju”. I to nie byle jakie środki, bo mówimy o 5–6 mld zł rocznie (zdecydowana większość to pieniądze unijne). Jednym z największych konkursów, którym zarządza NCBiR, jest „Szybka Ścieżka – Innowacje Cyfrowe” – ponad 801 mln zł w 2022 r.

Zacząło się od informacji ujawnionej w Radiu Zet i dotacji na 55 mln zł dla Postquant na projekt „Rozwiązanie IOT do śledzenia towarów w łańcuchu dostaw i monitorowania parametrów ich transportu”. Dziennikarze ujawnili, że spółkę zarejestrowano... 10 dni przed terminem składania ofert w konkursie. Więcej – projekt otrzymał najniższą ocenę kwalifikującą do dofinansowania. Za to dotacja, jaką dostał, była najwyższa, 10 razy wyższa niż średnia. Z kontrolą poselską do NCBiR weszli posłowie opozycji i ujawnili, że właściciel firmy to barman z Gdańska, że trudno będzie mu zebrać 17 mln zł kapitału własnego na

start projektu i że... nie jest on wcale innowacyjny. Jeszcze jeden „przy-
padek” – siedziba Postquant ma ten sam adres co dawna siedziba partii
Adama Bielana, którego ludzie rządzą NCBiR, i Jacka Żalka, który nad-
zoruje tę instytucję jako wiceminister.



Kolejna podejrzana dotacja to już niemal 123 mln zł dla Chime Networks z Białegostoku. Wspólnikiem jest tam Piotr Maziewski ze Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej. Wiceprezesem Stowarzyszenia jest... brat żony Żalka, a prezesem – dr hab. Karol Kramkowski z rady NCBiR. „Gazeta Wyborcza” ujawniła jeszcze związki Maziewskiego i Kramkowskiego z biznesmenem Pawłem B., podejrzany o wyłudzenie milionów z unijnych dotacji i znajomym Jacka Żalka. Posłowie KO ujawnili też, że Chime Networks jest na granicy upadłości.

Po ujawnieniu tych informacji Żalek stracił nadzór nad NCBiR. Potem odszedł także szef instytucji Paweł Kuch, powiązany z Bielanem. Śledztwo prowadzi CBA. Postępowanie wszczęto z art. 231 par. 2 Kodeksu karnego, czyli nadużycia władzy w celu osiągnięcia korzyści majątkowej lub osobistej. Grozi za to od roku do 10 lat pozbawienia wolności. Onet opisał zeznania Żalka w prokuraturze. Wiceminister miał zeznać, że w trakcie rozmów kierownictwa NCBiR ustalano, „w jaki sposób Partia Republikańska miała zabezpieczyć się finansowo na wypadek przegranych wyborów parlamentarnych”. Była to akcja polityczna, której nadano kryptonim „Czarny węgiel”, a szefa republikanów, Adama Bielana, nazywano „sponsorem”.

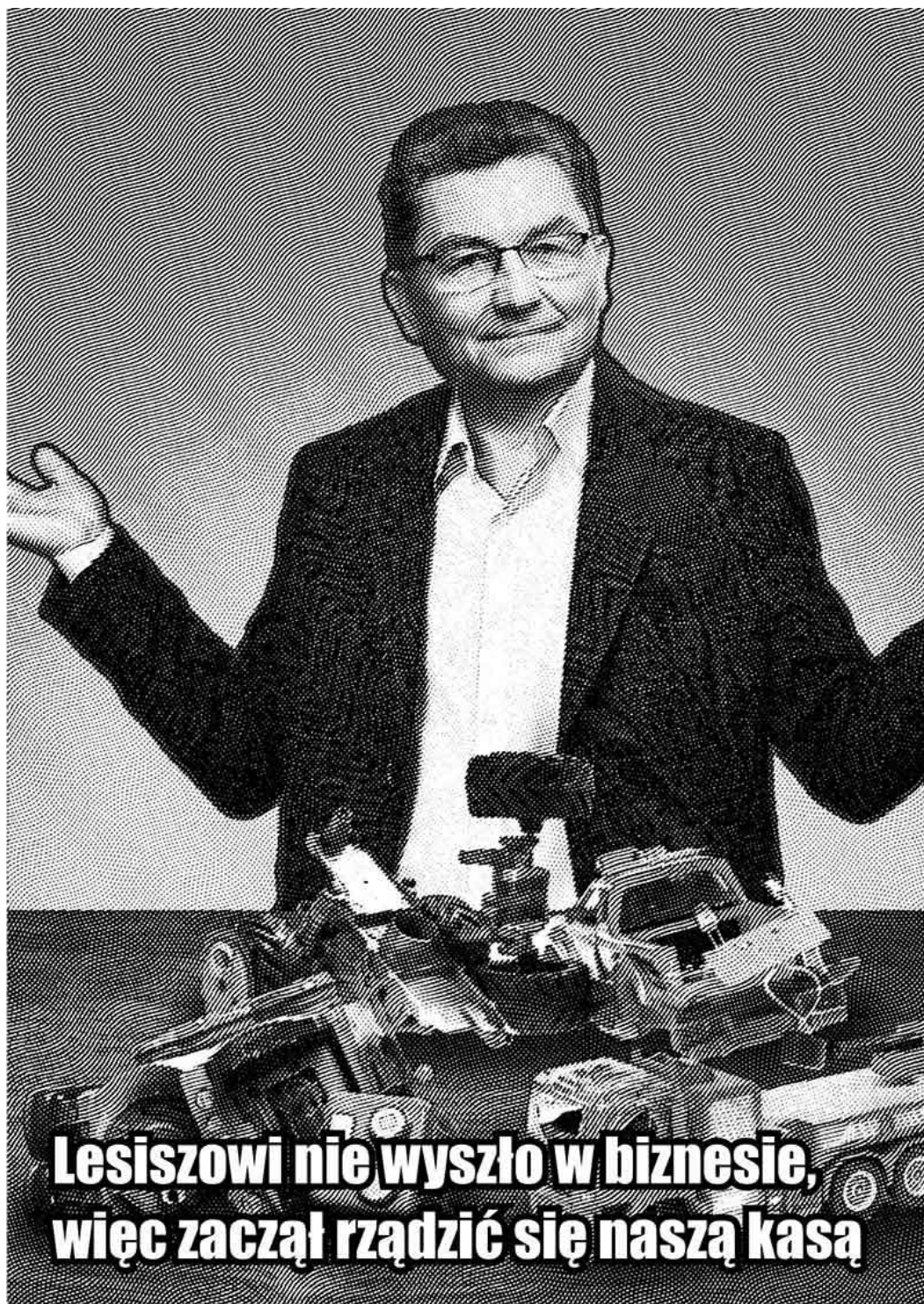
W dniu tej publikacji Żalek złożył rezygnację z ministerialnej funkcji „dla dobra toczącego się postępowania”. Na jego miejsce została powołana Ewelina Owczarska, od lat najbliższa współpracownica Bielana. Wtedy Żalek poszedł do TVN, by obciążyć szefa partii. – Zaczął mnie atakować po tym, jak wcześniej prosił mnie o zawieszenie broni, a ja odrzuciłem jego propozycję „opcji zerowej” – stwierdził Żalek. Wojna trwa. A NCBiR dalej pod rządami Republikanów...■

Agencja nie do Rozwoju Przemysłu, bo kolega premiera rządzi

Czego się nie dotknął w zawodowym życiu, bankrutowało. Czy można się dziwić, że Cezariusz Lesisz jako szef Agencji Rozwoju Przemysłu także zalicza klęskę za klęską? Właśnie doprowadził do upadłości firmę, która w obecnych warunkach gospodarczych powinna przebierać w zamówieniach, także od państwowych koncernów.

W kwietniu 2019 r. Agencja Rozwoju Przemysłu (ARP) przejęła kontrolę nad spółką Energomontaż-Północ Gdynia. W materiale informującym o tym fakcie zapisano, że ma to na celu zapewnienie „pełnego wpływu na spółkę i w konsekwencji możliwości dalszego rozwoju EPG”. Niemal dokładnie 4 lata później, do sądu wpłynął wniosek o upadłość spółki EPG. Sprawę ujawniło radio RMF.

Podstawowym przedmiotem działalności spółki Energomontaż-Północ Gdynia SA jest produkcja wielkogabarytowych konstrukcji metalowych i ich części dla sektora Offshore: poczynając od urządzeń dźwigowych poprzez konstrukcje podwodne aż do kompletnych modułów procesowych dla jednostek pływających. – Firma tłumaczy wojną, pandemią, że to przez to są kłopoty, ale to nieprawda. My możemy produkować pod farmy wiatrowe, pod elektrownie jądrowe. To właśnie z powodu elektrowni przed kilkudziesięciu laty ta spółka powstała, miała wspomagać budowę Żarnowca. I atom, i wiatraki to jest przyszłość, ogrom pracy będzie dla zakładu. I taki zakład nagle upada? Ktoś powinien to zbadać – mówił RMF jeden z pracowników spółki.



A może wystarczy, żeby wiedział, że niedługo przed przejęciem EPG przez Agencję jej szefem został Cezariusz Lesisz? To przyjaciel Kornela Morawieckiego i dzięki temu jeden z najbliższych współpracowników premiera. W latach 80. był kierowcą jego ojca. W 1989 r. wyemigrował

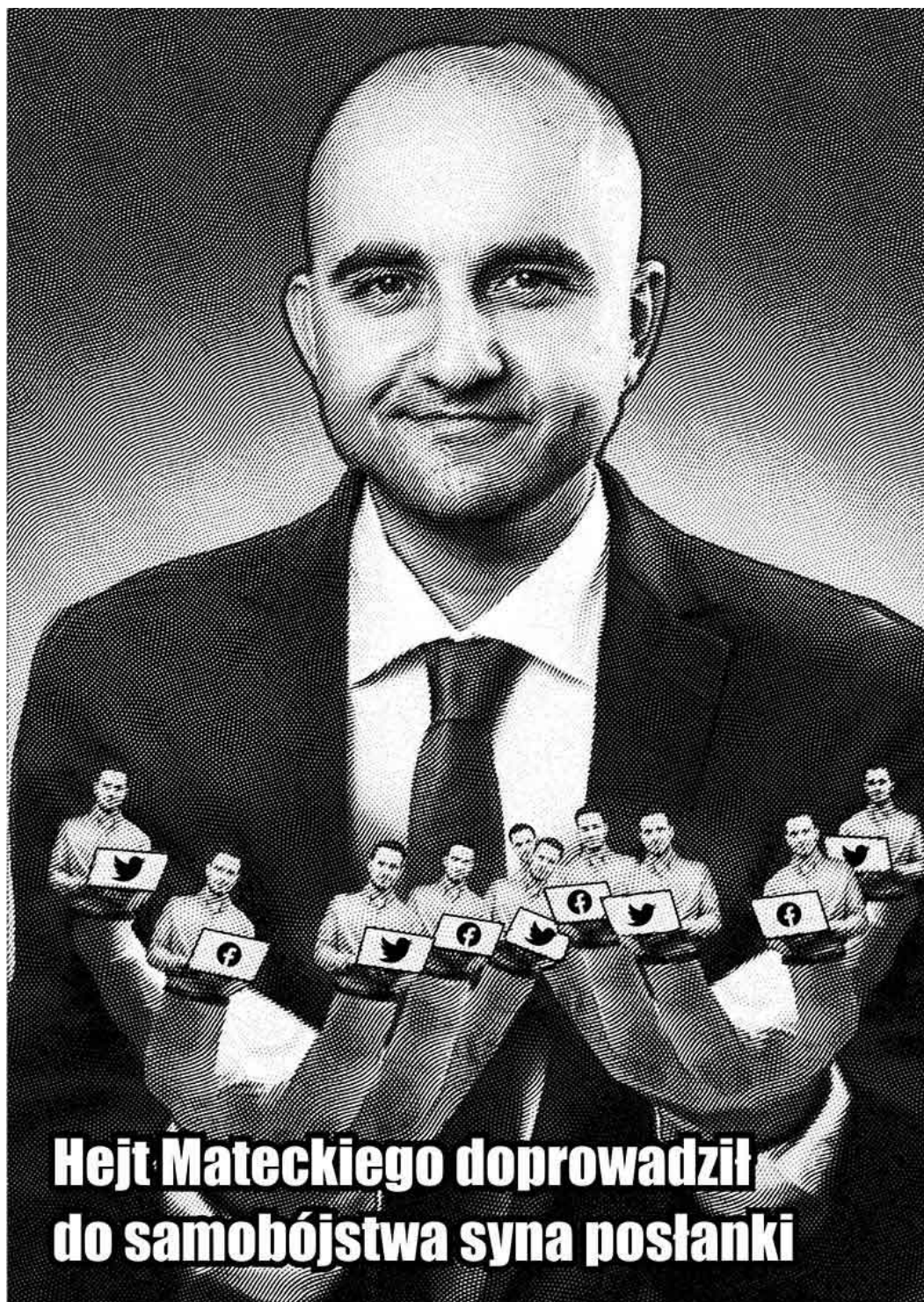
do USA. Tam, jak ujawnił „Newsweek”, prowadził małą firmę, która zbankrutowała, zostawiając dziesiątki tysięcy dolarów długu. Wrócił do Polski. Założył spółkę, która zamierzała budować drewniane domy. I ten biznes nie wypalił. 4 lata temu zniknął z rejestru firm. Kiedy został szefem ARP, napisano o nim w notce, że „przez ponad 20 lat aktywnie działał w sektorze małych i średnich przedsiębiorstw w Polsce i USA. Umożliwiło to zdobycie kompetencji w zakresie negocjacji, realizacji kontraktów w obszarze nieruchomości i inwestycji budowlanych”. Trudno to skomentować... ARP napisała o swoim nowym szefie, że pracował w sektorze bankowym. Owszem, pracował w BZ WBK. U Morawieckiego. W biurze bezpieczeństwa. W marcu 2017 r. został szefem gabinetu politycznego Morawieckiego, wówczas wicepremiera. W 2018 r. ten, już jako premier, stworzył stanowisko pełnomocnika ds. rozwoju gospodarczego i mianował nim Lesisza. Drugą pensję zarabiał w radach nadzorczych ARP i Totalizatora Sportowego, a potem jednej ze spółek KGHM. Jesienią został prezesem ARP.

To on w ARP nadzorował w pandemii projekt Polskie Szwalnie. Miał on zagwarantować Polakom dostęp do polskich maseczek zabezpieczających przed COVID-19. Projekt kosztował 258 mln zł. Wyprodukowano wprawdzie 178 mln maseczek, ale co najmniej 66 mln z nich bez atestu, a więc niechroniących przed koronawirusem. Dzisiaj zalegają w magazynach, a firmy, które zaangażowały się w ich produkcję, toną w długach. Ze słynnych mejli Michała Dworczyka wynika, że premier pisał do Lesisza, że odpowiada za ten projekt głową. Głowę wciąż ma. Stanowisko też. ■

Zemsta za ujawnienie, że pracował na lewym etacie w Lasach Państwowych?

Ta sprawa zbulwersowała opinię publiczną w Polsce. Dla osiągnięcia interesu politycznego i pokazania, że skazany pedofil należał do Platformy Obywatelskiej, ujawniono personalia ofiary. A molestowany chłopiec popełnił samobójstwo. Prym w tej sprawie wiódł radny od Ziobry, Dariusz Matecki.

2 dni przed Sylwestrem 2022 r. Niemal jednocześnie TVP Info i publiczne Radio Szczecin podają informację o byłym działaczu PO, który ponad 2 lata wcześniej molestował dzieci. Został skazany, odsiaduje wyrok i zgodnie z prawem sprawa została utajniona w interesie ofiar. Nie wydarzyło się w tej sprawie nic nowego. No, prawie nic. Nowością była polityczna potrzeba uderzenia w posłankę opozycji Małgorzatę Filiks, która ostro zaatakowała szczecińskiego radnego wówczas Solidarnej Polski, Dariusza Mateckiego. Podczas kontroli poselskiej odkryła, że Matecki ma etat w centrali Lasów Państwowych, bierze sutą pensję, ale nie przychodzi do pracy i nawet jego przełożony go nie kojarzy. Oficjalnie wciąż pracował zdalnie, choć pandemia dawno się skończyła. Filiks zasugerowała na Twitterze, że wie o jego dziwnym zatrudnieniu, ale nie zdążyła tego ujawnić, bo ją zaatakowano. To jej dzieci były ofiarami. A na podstawie materiałów w mediach publicznych i z konta Mateckiego łatwo było je zidentyfikować.



Hejt Mateckiego doprowadził do samobójstwa syna posłanki

6 tygodni później 15-letni Mikołaj Filiks popełnił samobójstwo. Specjaliści nie mieli wątpliwości, że był to skutek akcji mediów publicznych. W internecie zawrzało. Nie trzeba było długo czekać, by anonimowe konta znane z prorządowej agitacji ruszyły ze swoją narracją – że

winna jest matka dziecka. Po pogrzebie Mikołaja media publiczne pełne są tekstów w rodzaju „Politycy Platformy odpowiedzialni za śmierć dziecka”. Przekonują, że to nie dziennikarz Radia Szczecin ujawnił dane dzieci posłanki. Nie była to prawda. Poza tym bardzo dużo pisał o tym szczeciński radny Dariusz Matecki, którego nawet podejrzewano później, że to on dostarczył mediom informacje z sądu. Łatwo zostało bowiem udowodnione, że cały opis procesu nie wziął się z sądu. A zatem dostarczyć go mogła albo rodzina posłanki, co oczywiście wykluczone, albo inny uczestnik procesu – prokuratura, którą rządzi szef partii Mateckiego, czyli Zbigniew Ziobro.

OKO.press zrobiło analizę kont w mediach społecznościowych, które były szczególnie aktywne w powielaniu narracji broniącej Radio Szczecin. Konta te są powiązane – śledzą się nawzajem, podają dalej swoje wpisy, kopiują je, powtarzają narrację. Po zbadaniu powiązań między najaktywniejszymi okazało się, że wszystkie łączy jeden kontakt: Dariusz Matecki. OKO.press kilkakrotnie opisywało jego działalność internetową, m.in. to, jak przy pomocy botów i siatki fanpejdzy na Facebooku promował Ziobrę, czy szczał na uczestniczki Strajku Kobiet. To on jako pierwszy nagłaśniał w mediach społecznościowych publikację Radia Szczecin z 29 grudnia. Tego też dnia opublikował na Twitterze wizerunek posłanki Filiks tak, by nikt nie miał wątpliwości, o kogo i o czyje dzieci chodzi.

– Nie mam sobie kompletnie nic do zarzucenia – mówił Matecki pytany przez portal wyborcza.pl o swój udział w tej sprawie. Co pan osiągnął swoim hejtem? – na to kilkakrotnie powtórzone pytanie nie odpowiedział. I dodał: Oczywiście, że współpracowałem z Duklanowskim, to świetny dziennikarz. Całe szczęście, że wrócił do pracy mimo waszej perfidnej nagonki. Matecki twierdzi, że nikt mu nie przekazywał informacji ze śledztwa.■

Paweł Borys za grube miliony realizuje każdą zachciankę PiS. I Morawieckiego

Czy dla turysty korzystającego z kolejki na Kasprowy Wierch ma znaczenie, czy należy ona do rządu, czy nie? Ważne, by jeździła i bilety były jak najtańsze. Hasło „repolonizacja” króluje jednak w okresie rządów PiS. Więc po 5 latach odkupiono kolejkę. Drożej. Bilety też są droższe. Ale za to дума bezcenna.

Nabyliśmy pakiet 99,7% udziałów w spółce – pękał z dumy prezes PFR Paweł Borys na konferencji. – Polskie Koleje Linowe wracają do Państwa Polskiego. Rząd stawia na repolonizację, nie ma potrzeby wyprzedawać tego, co polskie – wtórował mu premier Mateusz Morawiecki, dziękując... prezesowi PiS Jarosławowi Kaczyńskiemu za to, że „zawsze podkreślał wagę odkupienia Polskich Kolei Linowych”. Minister infrastruktury Andrzej Adamczyk dorzucił, że to wypełnianie „testamentu mieszkańców Podhala, Sądeckizny i Żywiecczyny, którzy przekazywali ziemię pod budowę infrastruktury”. Historia trochę inaczej pamięta wydarzenia z lat 1934–1935. Takich protestów nie było chyba nigdy przeciwko jakiegokolwiek państwowej inwestycji.



Kolejka linowa na Kasprowy została sprzedana w 2013 r. Kupiła ją spółka Polskie Koleje Górskie założona przez cztery podhalańskie gminy, z Zakopanem na czele, za 215 mln zł. Ponieważ gminy nie miały takich pieniędzy, prawie cały zakup sfinansował Fundusz Mid Europa Partners i został *de facto* właścicielem kolejki. W umowie był zapis, że

nie może sprzedać kolejki przez 5 lat i ma zainwestować w nią 60 mln złotych.

PiS od początku krytykowało tę transakcję. Prokuratura ponownie ją badała, szukając ewentualnych nieprawidłowości, ale nic nie znalazła. Mimo zapowiedzi Kaczyńskiego, że „jeżeli PiS powoła rząd, to użyjemy wszystkich możliwości prawnych, aby kolejka była w polskich rękach”, trzeba było ją normalnie kupić. PFR zapłacił... 417,3 mln zł. Czyli 200 mln zł więcej, niż kosztowała 5 lat wcześniej. – Po pierwsze jestem przekonany, że nie przepłaciliśmy, a po drugie, że ta inwestycja przyniesie **nam**⁽⁵⁾ atrakcyjne stopy zwrotu. Zapłaciliśmy tyle, że pozwoli nam to zarobić 15 proc. rocznie. To jest bardzo dochodowy biznes – zapewniał Borys w Tok FM.

PKL zarabia w jeden sposób: na turystach. Ceny biletów do tanich nie należą. W 2018 r. dorosły, który chciał wjechać na szczyt Kasprowego Wierchu, a następnie również zjechać z niego kolejką płacił 63 zł. Bilety ulgowe kosztowały 53 zł. Jak kształtują się ceny dzisiaj? W sezonie, gdy do Tatr napływają tysiące turystów, normalny bilet kosztuje aż 109 zł. Ulgowy – aż 95 zł! A przecież państwowe powinno być tańsze, prawda?

Kolejka na Kasprowy to jednak tylko jeden z przykładów tego, do czego wykorzystywany jest PFR przez obecną ekipę. – Istotne i liczne nieprawidłowości stwierdzono w ramach kontroli przeprowadzonej w Polskim Funduszu Rozwoju w zakresie efektów wybranych działań państwa, podejmowanych w celu łagodzenia skutków w gospodarce – tak mówił niedawno w Sejmie Marian Banaś, prezes Najwyższej Izby Kontroli. Dodał, że „środki planowane na zadania publiczne poza ustawą budżetową nie tylko pozostają poza kontrolą parlamentu i społeczeństwa, ale również są wydatkowane poza wszelkimi zasadami i rygorami, w okolicznościach wysokiego ryzyka, uznaniowości i korupcji”. PFR gwałtownie zareagował na te słowa, grożąc Banasiowi pozwem.■

Specjalistka od głupich wypowiedzi, którą zrobili wiceministrem

Olga Semeniuk-Patkowska zasłynęła w tej kadencji Sejmu z wielu rzeczy: została szefową rady Polskiej Agencji Kosmicznej, wzięła ślub z wiceministrem finansów Piotrem Patkowskim i lansowała się z nim później na łamach tabloidów, chciała rozpadu Unii Europejskiej. Jednak w pamięci Polaków zapisze się po słowach o polskich kobietach...

Według danych Głównego Urzędu Statystycznego (podlega premierowi) w 2022 r. urodziło się w Polsce jedynie 305 tys. dzieci. Jest to najgorszy wynik od czasów II wojny światowej. Zdaniem Semeniuk-Patkowskiej to wina... Platformy Obywatelskiej i Lewicy.

– To wszystko jest siłą wypadkowa związana z tendencjami po lewej stronie sceny politycznej, ale dzisiaj coraz częściej widzę to po stronie Platformy, taki ten trend do zwiększania konsumpcjonizmu, zwiększania indywidualności społecznej, wygody ponad stan, bo to niestety są cechy charakterystyczne po stronie Platformy Obywatelskiej i Lewicy – przekonywała Semeniuk-Patkowska.



**Uważa, że dzieci się nie rodzą przez...
Platformę Obywatelską!**

„Empatia w polityce jest bardzo ważna. Zarówno w tematach dotyczących rodzin z dziećmi, jak i rodzin bezdzietnych. Przepraszam wszystkich, którzy mogli poczuć się dotknięci moimi słowami. Nie było to moją intencją” – napisała na Twitterze.

Tymczasem, jak wynika z badania CBOS, przyczyny niskiej dzietności w Polsce to przede wszystkim brak stabilności finansowej i niepewność co do przyszłości (59% badanych). Potem problemy z sytuacją mieszkaniową (44%), obawy kobiet przed utratą pracy (42%) i dopiero daleko w tyle chęć robienia kariery zawodowej przez kobiety (27%) czy trudność z pogodzeniem obowiązków rodzinnych i zawodowych. Od czasu wyroku Trybunału Konstytucyjnego coraz częściej mówi się⁽⁵⁾ też o tym, że kobiety boją się rodzić dzieci. Bo jeśli okaże się, że dziecko jest chore, to aborcja w Polsce już nie jest możliwa. A co jakiś czas słyhać o przypadkach, w których ciężarna umiera, bo lekarze – bojąc się prokuratora – nie podejmują próby usunięcia nawet obumarłego płodu! O tym jednak Semeniuk-Patkowska nie wspomina...

Kim jest ta polityczka? Blisko współpracowała z Michałem Dworczykiem. Była radną Warszawy. W 2019 r. próbowała dostać się do Sejmu. Nie udało się. Jak wiemy z ujawnionych potem mejli Dworczyka, napisała do niego z prośbą o załatwienie jej pracy w rządzie. I to nie byle jakiej! „Zgodnie z rozmową, dla mnie jedyną opcją przetrwania w polityce samorządowej jest: Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Inwestycji i Rozwoju” – napisała, dodając, że najbardziej by jej odpowiadała działka „fundusze europejskie w jednostkach samorządu terytorialnego”. Dworczyk odpisał jej „działamy!” i... dwa miesiące później Semeniuk-Patkowska została wiceministrem rozwoju! W tym roku ma ambicję być już posłanką. Ciekawe, czy zmieniła poglądy na temat Unii Europejskiej. „Mało kto dzisiaj potrafi głośno powiedzieć, że UE powinna być całkowicie rozwiązana. Jestem zdecydowanym przeciwnikiem UE” – napisała na swoim Facebooku w 2017 r., żałując, że we Francji wygrała nacjonalistka Marine Le Pen.■

Antoni Macierewicz zamienił wyjaśnianie katastrofy smoleńskiej w hucpę

Jest taki polityk, który „afery” powinien mieć na drugie, a może nawet na pierwsze imię. Ale na imię ma Antoni. Wszyscy wiedzą, o kogo chodzi. Czego się nie dotknie Antoni Macierewicz w polityce, zamienia się w aferę. Za przyzwoleniem prezesa sprowadził tragedię z 10 kwietnia 2010 r. do roli politycznej pałki do okładania opozycji. A przecież tych afer z jego udziałem jest co niemiara...

Za rządów PiS Macierewicz został obdarzony przez Kaczyńskiego ogromnymi zaszczytami. Był marszałkiem seniorem. Był szefem MON. W końcu szefem podkomisji smoleńskiej, której NIK zarzuca wydawanie milionów **bez**⁽⁶⁾ pokrycia. To jego protegowanym był Bartłomiej Misiewicz, który kazał sobie salutować oficerom. To Macierewicz wsadził do zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej człowieka, który wcześniej pracował w aptece. Kiedy po agresji Rosji na Ukrainę politycy PiS grzmieli o potrzebie budowania silnej armii, zapomnieli uderzyć się we własne piersi za spustoszenie, jakie spowodowały lata rządów w MON Macierewicza i jego ekipy. I nie chodzi tutaj o limuzynę rozbitą, gdy gnał z audycji u ojca Rydzyka z Torunia, by zdążyć do stolicy oklaskiwać prezesa na gali jednej z pisowskich gazetek. Chodzi o zaniedbania w kontraktach zbrojeniowych, skłócenie generalicji, pozbycie się z armii

wielu świetnie wykształconych oficerów i pogorszenie relacji z Waszyngtonem.



Jednak na całej liście tych afer pierwsze miejsce bezapelacyjnie zajmuje hucpa, w jaką Macierewicz zamienił wyjaśnianie okoliczności katastrofy smoleńskiej. Nie sposób opisać tutaj wszystkie lata pseudoeksperymentów. Teorii o osobach, które ponoć przeżyły katastrofę. Opowiadań o trzech strzałach i dobijaniu rannych. O bombie termobarycznej. O wszystkim tym, co sprawiło, że PiS „sprywatyzował” katastrofę, w której zginęli przedstawiciele całego państwa i wszystkich sił, i wykorzystuje od lat jako paliwo polityczne. Tylko w ciągu ostatnich kilkudziesięciu miesięcy Macierewicz znalazł się na ustach wszystkich w efekcie dwóch skandali. Najpierw, w 12. rocznicę tragedii opublikował raport, w którym znalazły się nieocenzurowane zdjęcia ofiar. Gdy przed laty wyciekły do internetu z akt rosyjskiego śledztwa, Macierewicz pierwszy grzmiał o obcej prowokacji. Gdy sam **to**⁽⁵⁾ zrobił, nie potrafił nawet odpowiednio przeprosić. Gdy posłanka Koalicji Obywatelskiej Barbara Nowacka, której matka zginęła w Smoleńsku, nazwała działanie MON „uderzeniem w nasze serca i nasze dusze”, Macierewicz przeproszał „zwłaszcza tych, którzy dziś mają tę refleksję, że takich rzeczy robić nie wolno, że nie wolno dopuszczać do zamiany ciał, atakować prezydenta RP i formułować kłamstwa o zbrodni smoleńskiej”. Uprzedzając wątpliwości – nie, nie siebie miał na myśli.

Kilka miesięcy później okazało się, że autorzy raportu mają na sumieniu większe przewiny. Otóż, jak udowodnili jego eksperci w filmie TVN24, Komisja ukryła dowody, które jednoznacznie przeczyły teorii o zamachu! Znów na mównicy w Sejmie pojawiła się wówczas Barbara Nowacka. – Panie premierze, zwracam się z prośbą o natychmiastowe rozwiązanie podkomisji smoleńskiej i ukaranie tego kłamcy smoleńskiego za fałszerstwa dokumentów – mówiła do Mateusza Morawieckiego. Odpowiedział jej sam Kaczyński. – Wiedziałem, że tu jest agentura Putina, ale że tak liczna, to nie – wykrzyczał z mównicy. Zapomniał tylko, że Rosji zawsze najbardziej zależało na skłóceniu Polaków. A od 30 lat w Polsce nikt tego nie robi lepiej od Macierewicza...■

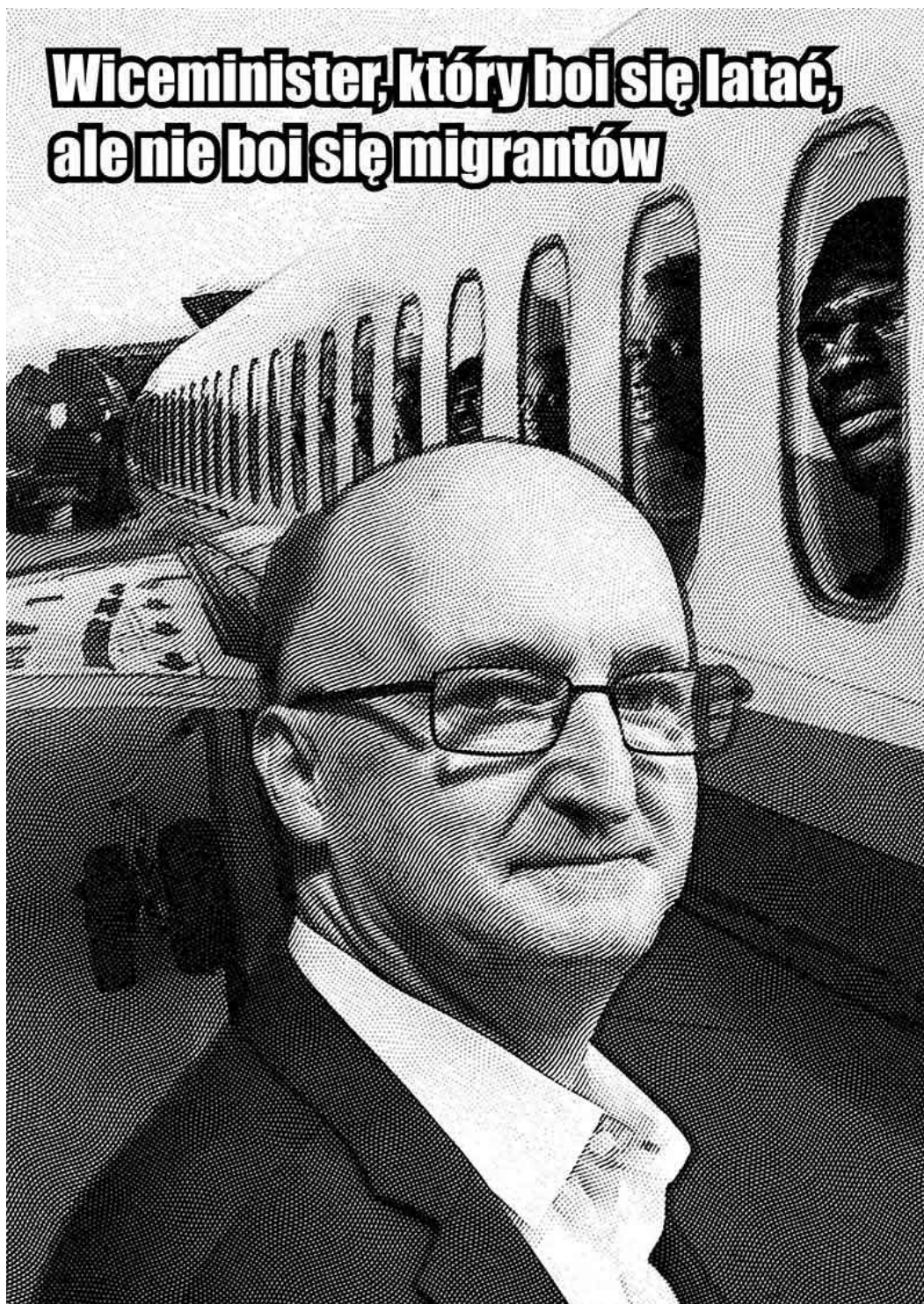
PiS rozpętało histerię, że UE chce nam przysłać 2 tys. migrantów. Sami ściągają o wiele więcej!

W 2015 r. straszenie przez PiS uchodźcami z Afryki, których Bruksela miała rozlokować także w Polsce, przyniosło efekt wyborczy. W 2021 r. PiS nie straszyło już uchodźcami, bo ten problem praktycznie zniknął. Problemem byli migranci ekonomiczni. 2 lata później dla takich ludzi rząd był gotowy przyjąć maksymalne ułatwienia w uzyskiwaniu prawa pobytu w Polsce. O co w tym wszystkim chodzi?

Agresja Rosji na Ukrainę najlepiej pokazała nam różnicę między uchodźcami a migrantami. Ci pierwsi, od wiosny 2022 r. głównie Ukraińcy, to ludzie, którzy uciekają przed wojną. Jedni drogim porsche, by zamieszkać w drogim hotelu w Warszawie. Drudzy pakują dobytek w jedną walizkę i jadą w nieznane. Jedno ich łączy: takiej „przeprowadzki” nie planowali. Uciekają przed wojną.

Migranci to ludzie, którzy raczej podejmują świadomą decyzję o wyjeździe do innego kraju. Najczęściej chcą opuścić swoją ojczyznę z braku perspektyw ekonomicznych. Chcą zmienić swoje życie na lepsze. Czasem mają wykształcenie – są lekarzami, inżynierami, informatykami, a czasem nie. Tak czy inaczej – szukają pracy i lepszego życia, a nie ucieczki przed śmiercią.

Wiceminister, który boi się latać, ale nie boi się migrantów



W latach 2014–2015 często powoływano się na to, że ludzie dopływający łodziami do wybrzeży Grecji czy Włoch to uchodźcy. To byli w większości migranci. Jarosław Kaczyński nie chciał ich jednak przyjmować w Polsce, bo mogą roznieść choroby. W 2021 r., gdy fala migran-

tów wspierana logistycznie przez Rosję i Białoruś dotarła do granic Unii Europejskiej innym kanałem, nikt już nie mówił o uchodźcach. Migran-
tów nie wpuszczano do Polski, a na granicy powstał mur.

Tym większym zaskoczeniem było ujawnienie planów rządu Mate-
usza Morawieckiego, który miał mocno zliberalizować proces przyzna-
wania wiz do Polski obywatelom takich państw jak Azerbejdżan, Indie,
Indonezja, Iran, Nigeria czy Pakistan. Rozporządzenie, które powstało
w MSZ, było uzasadniane „rosnącą presją ze strony podmiotów działa-
jących na rynku polskim oczekujących na przyjazdy cudzoziemców,
głównie w celu podjęcia pracy”. Uzasadnienie o tym nie wspomina, ale
sam Orlen ściągnął i dalej ściąga ok. 10 tys. pracowników z takich
państw jak np. Pakistan. Ale temat został wywołany wówczas, gdy PiS
usiłowało powtórzyć sytuację z 2015 r. – zbić kapitał polityczny na decy-
zjach Brukseli. Relokacja migrantów, o której dyskutuje Rada Europej-
ska, zakłada, że do Polski albo trafiłoby 2 tys. migrantów, albo trzeba by
zapłacić do wspólnej kasy za ich nieprzyjmowanie.

2 tys. migrantów z klucza unijnego kontra 10 tys. ściągniętych dla Or-
lenu kontra nawet 400 tys. na podstawie rozporządzenia... Po tym, jak
zrobiło się o sprawie głośno, rząd udawał, że rozporządzenie było
„urzędniczą pomyłką”. Pod nim był jednak podpisany wiceszef MSZ
Piotr Wawrzyk, który dotąd zasłynął tylko tym, że trafił do dyplomacji
wraz ze swoim strachem przed lataniem. W delegacje jeździł autem lub
pociągiem. Tyle że nie wszędzie jest to możliwe. Grunt, że Wawrzyk nie
boi się migrantów tak jak jego szef, Jarosław Kaczyński. Dlaczego jed-
nak razem z nim chce tymi ludźmi straszyć Polaków? Tym bardziej że
tylko w ubiegłym roku prawo pracy w Polsce zyskało niemal pół miliona
ludzi spoza UE, Ukrainy i Białorusi! Większość z nich z państw obcych
nam kulturowo. O tym jednak PiS woli milczeć.■

Marszałek lubelski sypie kasą, a na szpital w rodzinnym mieście nie ma

Jeszcze chwila i Kraśnik, powiatowe miasto w Lubelskiem, zostanie pozbawione własnego szpitala. To wynik niefrasobliwości władz z PiS, gdzie marszałkiem jest Jarosław Stawiarski – jeszcze niedawno wiceminister w rządzie Beaty Szydło.

Dług Szpitala Powiatowego w Kraśniku przekroczył już 30 mln zł i z każdym miesiącem rośnie o kilka milionów – alarmowała w końcu 2022 r. „Gazeta Wyborcza”. Już 2 miesiące przed tą publikacją nie było pieniędzy na pensje dla lekarzy, pielęgniarek i pracowników obsługi. W kolejnych miesiącach sytuację ratował starosta, pożyczając szpitalowi po 3 mln zł. Szpital to największy pracodawca w mieście. I jeszcze w 2018 r. był placówką przynoszącą zyski! Szpitalem rządził wówczas Marek Kos, chirurg, a jednocześnie radny wojewódzki PSL.

W powiecie także rządziła koalicja z PSL, wspierana przez PO. Wygrała wybory samorządowe w 2018 r., ale przewagą zaledwie jednego głosu. Dzień po wyborach radny Jarosław Czerw przeszedł jednak z klubu PO do PiS i w powiecie zmieniła się władza. Czerw dostał za ten ruch... nominację na sędziego Izby Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Sądzie Najwyższym.



Kos w maju 2019 r. przestał być dyrektorem. Wygrał za to konkurs na dyrektora szpitala w Sandomierzu, 60 km od Kraśnika. W przeciwieństwie do kraśnickiej placówki tamten był zadłużony. Dzisiaj jest na plusie, personel dostaje podwyżki.

Następcą Kosa zostaje fachowiec – Michał Jedliński pracował w departamentach zdrowia w urzędach marszałkowskim i wojewódzkim, był też dyrektorem Szpitala Wojewódzkiego w Chełmie. Nie wyszło mu. Odpowiedzialnością obarcza pandemię oraz rządzących – za zbyt niską wycenę świadczeń NFZ. Nieoficjalnie mówi się też o tym, że za duże podwyżki za dyżury dostały pielęgniarki. Dyrektor zaczął więc ograniczać im dyżury. Nie dało to dużych efektów. W listopadzie 2022 r. zrezygnował. Następczyni przedstawiła plan naprawczy. Jego pierwszy punkt to 18 mln zł pożyczki... z firmy pożyczkowej. Bo banki już nie chcą kredytować niewypłacalnego szpitala. Radni PiS przegłosowali plan.

Na początku grudnia Jarosław Stawiarski otwierał basen miejski w Kraśniku. Wiele pytań, jak relacjonuje „Gazeta Wyborcza”, padało o szpital. Marszałek uspokajał, by kraśniczanie czuli się bezpiecznie, bo... rozbudowywany jest Szpital Wojewódzki w Lublinie. Podkreślał, że dzięki otwarciu przez PiS drogi ekspresowej łączącej Lublin z Kraśnikiem dotrze się tam w niecałe 30 minut – opowiada uczestnik spotkania, były starosta kraśnicki z PSL Andrzej Maj.

Gdy nie ma pieniędzy na szpital w mieście, w którym marszałek mieszka, Stawiarski bez problemu znajduje miliony na nagrody w podległym sobie urzędzie. Tylko w ubiegłym roku poszło na ten cel aż 6 mln zł! A to i tak mniej niż rok wcześniej. Marszałek chce też budować w województwie... operę. Zasponsorował kupno do szpitala w Lublinie robota Da Vinci, który kosztuje ok. 15 mln zł. Fakt, to cud techniki, ale operacje, jakie wykonuje, są znacznie droższe niż te bez jego udziału. W Rzeszowie po zakupie tego robota w województwie wybuchł skandal i podejrzenia o korupcję. I tylko kraśnickiego szpitala żal...■

Tajemnica apartamentu Brudzińskiego

„Gazeta Wyborcza” oskarżyła obecnego szefa sztabu wyborczego PiS Joachima Brudzińskiego, że za pieniądze Polskiego Holdingu Hotelowego wyremontował swój prywatny apartament w centrum stolicy. Zarzuty były przestrelone. Co nie znaczy, że nic się nie stało.

Zaraz po publikacji Joachim Brudziński wydał oświadczenie, stwierdzając, że autor dopuścił się trzech kłamstw: że korzystał z pieniędzy państwowej spółki, że osoby, które pracowały podczas remontu w jego mieszkaniu, to stali podwykonawcy PHH oraz że stan majątku, który wykazuje obecny europoseł, przekracza jego dochody. No to po kolei.

Co napisała „Gazeta Wyborcza”? Że ma mejlową korespondencję pomiędzy Brudzińskim, prezesem PHH, który jest jego bliskim przyjacielem, oraz podległą mu dyrektorką ds. technicznych i szefem jednej z firm podwykonawczej. Wymiana mejli pochodzi z marca 2020 r., tuż przed wybuchem pandemii. Brudziński kupił mieszkanie w lutym 2020 r. Gheorghe Cristescu z PHH ze służbowego mejla informuje europosła PiS, że „pani dyrektor przygotowała wstępne rzuty, jeden z meblami w pokojach dzieci, drugi bez. Prosiła o twoje OK aby mogła pojechać do mieszkania i obliczyć te ściany. Wiem, że jest w stałym kontakcie z chłopakami”. Z odpowiedzi Brudzińskiego wynika jednoznacznie, że **nie**⁽⁸⁾ jest to pierwsza taka wizyta, a wymiana koncepcji wnętrza apartamentu jest dopracowywana na tej linii od jakiegoś czasu. A re-

mont trwa. Jednoznacznie wynika z tej korespondencji, że dyrektorka PHH jest co najmniej konsultantem w tym procesie. Wiadomo też, że 2 dni po opublikowanej przez „Gazetę Wyborczą” wymianie mejli zaczął się lockdown w Polsce. Być może ten fakt sprawił, że choć ekipa od pani dyrektor z PHH miała robić remont w apartamencie Brudzińskiego, to jednak go nie zrobiła? Fachowiec, który robił wycenę podłogi, przyznał dziennikarzowi, że się wycofał, gdy usłyszał, dla kogo ma pracować. – Nie było jasne, kto za to będzie płacił – stwierdził. Trudno znaleźć jakiegokolwiek racjonalne uzasadnienie faktu, że dyrektor z PHH raportuje mejlowo prezesowi PHH przez służbowe mejle w godzinach pracy stan negocjacji z ekipą remontową oraz szczegóły aranżacji wnętrza w mieszkaniu europośla.



**Czy kumpel
z Państwowego Holdingu
Hotelowego pomagał
europosłowi w remoncie?**

Kim jest Cristescu? Przez lata pracował w biznesie hotelarskim w Szczecinie, skąd pochodzi Brudziński. Karierę za rządów Zjednoczonej Prawicy rozpoczął w kwietniu 2016 r., gdy został prezesem Chopin Airport Development – państwowej spółki, która potem weszła w skład

PHH. Dzisiaj PHH to spółka, do której należy wiele hoteli. Brudziński przyznaje, że poprosił go o „polecenie kogoś”. – Każdy z nas, kto buduje, remontuje, pyta swoich kolegów, przyjaciół rodziny, czy mogą kogoś polecić. Pan prezes Cristescu poprosił swoją bardzo dobrą znajomą, która bodajże dwa razy była w moim mieszkaniu, spotkała się z moją żoną i powiedziała majstrowi, który tam był, że ściany należy wygładzić w taki sposób – zapewniał polityk PiS po publikacji.

I jakby nie dość było niejasności, to te finanse... Zdaniem „Gazety Wyborczej” Brudziński w 2 lata kupił mieszkanie za 280 tys. euro, za co zapłacił 80 tys. euro (tyle mniej więcej miał oszczędności) i spłacił 180 tys. euro z pożyczki, ale też zbudował na działce dwa domki za 420 tys. zł. A zarabiał rocznie ok. 382 tys. zł. Jego żona jest natomiast nauczycielką w publicznej szkole. Takie cuda tylko w PiS...■

Poszła do PZU, bo... znała program PiS

Stała się jednym z symboli „klubu milionerów PiS”, bo jako pierwsza porzuciła wysokie stanowisko państwowe dla wysokiej pensji w spółce Skarbu Państwa. Małgorzata Sadurska tuż przed przejściem do zarządu PZU była szefową kancelarii prezydenta Andrzeja Dudy.

Małgorzata Sadurska swoją zawodową karierę zaczęła od zatrudnienia w Miejskim Urzędzie Pracy w Lublinie. Zaczynała jako referent w wydziale finansowo-księgowym, a doszła do stanowiska kierownika działu prawnego i rzecznika prasowego urzędu. W 2002 r. kandydowała z listy Porozumienia Samorządowego Prawicy Puławskiej do rady powiatu. Mandatu nie zdobyła, ale przez trzy lata była w zarządzie powiatu. W trakcie tej pracy ukończyła podyplomowe studia (organizację i zarządzanie) w Lubelskiej Szkole Biznesu. Potem trafiła na Wiejską. Przez kolejne 10 lat była posłanką PiS. Przez kilka miesięcy była nawet sekretarzem stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Premierem był wówczas Jarosław Kaczyński. Dwukrotnie próbowała się dostać do Parlamentu Europejskiego. Dwukrotnie była to nieskuteczna próba, ale pokazująca, na czym jej najbardziej zależy. Wiadomo, że apanaże w PE są nieporównywalnie większe niż w polskim Sejmie.



**Małgorzata Sadurska szybko
zasiliła „klub milionerów PiS”**

Od samego początku swoją karierę związała z postacią o. Tadeusza Rydzyka i Radiem Maryja. Była wiceprzewodniczącą zespołu ds. przeciwdziałania ateizacji Polski, działała w zespole ds. wspierania dzieła misyjnego czy zespole na rzecz katolickiej nauki społecznej. Żadnych

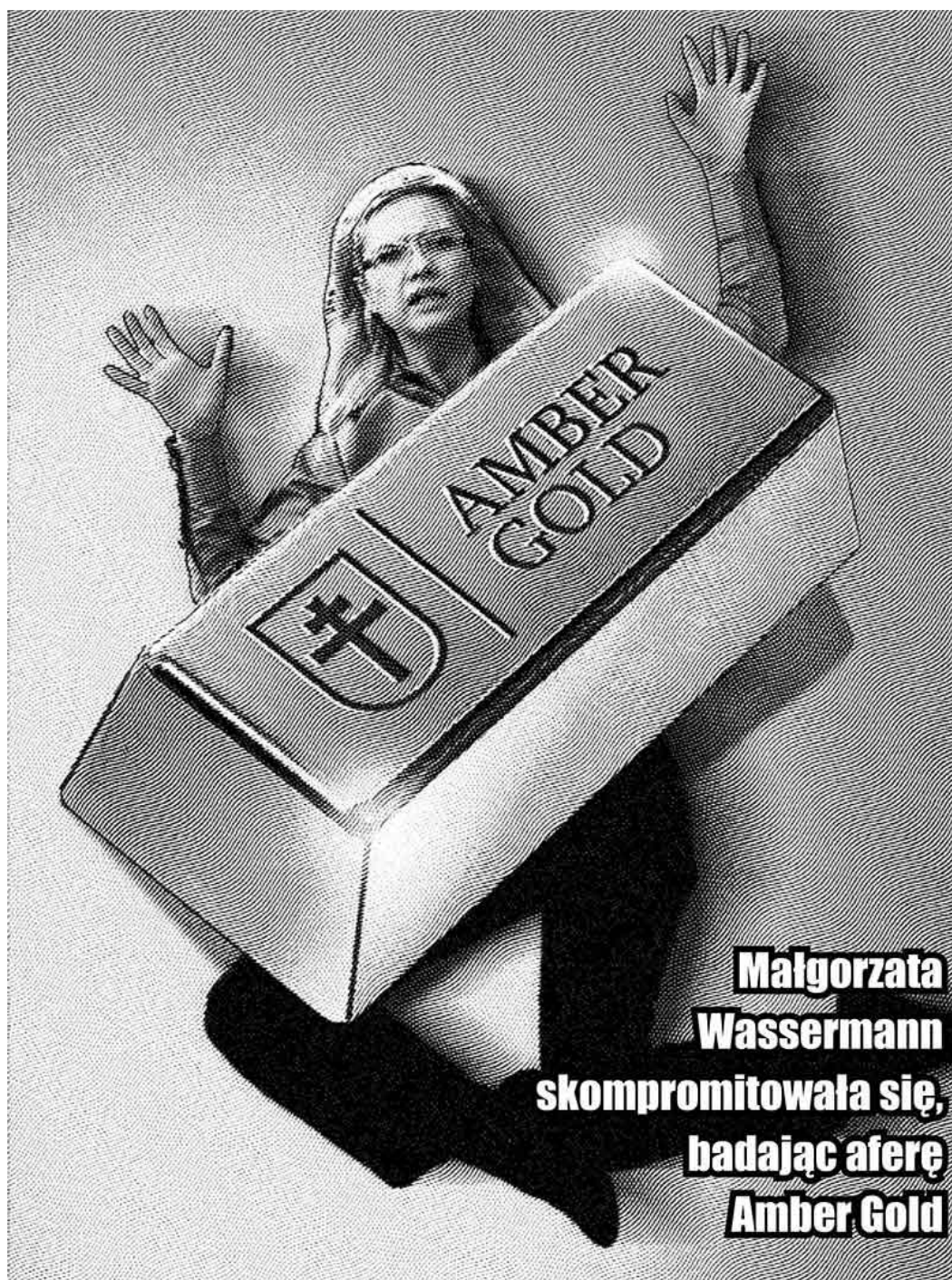
zainteresowań gospodarczych, finansowych, ubezpieczeniowych... Po wygranej Andrzeja Dudy w wyborach prezydenckich Sadurska została szefową jego kancelarii. To ważne stanowisko, bez wątpienia awans polityczny, ale... nie finansowy. Sadurska zarabiała nawet mniej niż poseł! Wytrzymała 2 lata, gdy gruchnęła wieść, że zostanie członkiem zarządu PZU, ubezpieczeniowego giganta. Rozpętała się burza. Wtedy jeszcze nikomu nie mieściło się w głowie, że osoba bez jakiegokolwiek doświadczenia w biznesie ma współrządzić największą w naszym regionie Europy grupą finansową. I zarabiać, bagatela, ok. 90 tys. zł miesięcznie. Politycy PiS jej jednak bronili. Marek Suski pytany o tę sprawę odpowiedział: „A dlaczego nie? W zarządzie PZU potrzebny jest ktoś, kto zna program PiS”. Późniejsza marszałek Sejmu Elżbieta Witek przekonywała, że Sadurska „jest bardzo przedsiębiorcza”, a ówczesny marszałek Senatu Stanisław Karczewski tłumaczył, że Sadurska „jest uczciwym politykiem, a w spółkach Skarbu Państwa potrzeba przede wszystkim uczciwości”.

Trudno się nie zgodzić z marszałkiem Karczewskim w tym, że uczciwości potrzeba. Ale czy jest uczciwe zajmowanie stanowisk, co do których nie ma się żadnych kompetencji i doświadczenia? Sadurska zarobiła w PZU już ponad 9 mln zł. – Też bym chciał tyle zarabiać, ale nie zarabiam – przyznał szef sejmowej komisji sprawiedliwości Marek Ast zapytany przez TVN24, czy to w porządku. Ast dodał też, że „tak jest w spółkach Skarbu Państwa”. – To są atrakcyjne wynagrodzenia, zatrudnia się tam fachowców – przekonywał. Od czego fachowcem jest Sadurska? Ciężko zrozumieć.■

Miała utopić Tuska, a pogrążyła samą siebie

Od wielu lat sugerowano, że może być lepszą wersją Zbigniewa Ziobry, bo jest córką Zbigniewa Wassermanna. Jej ojciec zginął w Smoleńsku, ale wcześniej był – tak jak Ziobro – wiceministrem u Lecha Kaczyńskiego. I nieżyjący prezydent lepiej go wspominał. Małgorzata Wassermann dostała za zadanie utopić Donalda Tuska w temacie Amber Gold.

Amber Gold to piramida finansowa stworzona przez Marcina P. w 2009 r. Spółka miała inwestować w złoto i inne kruszce. Kusila wysokim oprocentowaniem inwestycji, znacznie wyższym od lokat bankowych. W połowie 2011 r. Amber Gold stworzyła tanią linię lotniczą OLT Express, w której – jak się później okazało – znalazł pracę fan transportu, Michał Tusk – syn ówczesnego premiera. W wakacje 2012 r. najpierw zbankrutowały linie lotnicze, potem Amber Gold, a 19 tysięcy ludzi straciło ponad 851 mln zł swoich depozytów. Marcin P. i jego żona zostali skazani. PiS od początku uważało jednak, że działali oni pod ochroną państwa rządzonego przez Tuska. We wrześniu 2016 r. powstała w Sejmie komisja śledcza, która miała tego ostatecznie dowieść i pogrążyć jakiegokolwiek szanse ówczesnego szefa Rady Europejskiej na powrót do krajowej polityki. To zadanie powierzono Małgorzacie Wassermann. Nie podołała. A do historii przeszły przesłuchania, które miały być ostateczną porażką Tuska: jego samego i jego syna Michała.



W czasie przesłuchania Michała Tuska Wassermann posłużyła się fałszywymi zeznaniami drobnego kryminalisty. Informacja o kopercie z 200 tys. zł, jakie Marcin P. miał przekazać synowi premiera, była oparta na zeznaniach Krzysztofa Malinowskiego, drobnego przestępcy, który zeznał, że widział moment przekazania pieniędzy. Natychmiast

po ich przytoczeniu na komisji staje się to tematem nr 1 dla tzw. mediów publicznych. Tymczasem Wassermann cytowała zeznania z akt prokuratury z 2013 r., które śledczy przeanalizowali i uznali za kompletnie niewiarygodne. W dniu, w którym miałyby to mieć miejsce według zeznań Malinowskiego, Marcin P. przebywał w areszcie śledczym w Słupsku. Mimo że ta informacja została w czasie komisji przedstawiona przez innego członka komisji Wassermann dalej pytała o to Michała Tuska.

W trakcie przesłuchania Jacka Cichockiego, w czasach rządu Tuska koordynatora służb, Wassermann posłużyła się z kolei stenogramem z podsłuchów, który błędnie sugerował, jakoby to minister ostrzegł Marcina P. przed akcją ABW na kilka dni przed zatrzymaniem. Gdy udowodniono jej, że błędnie posługuje się stenogramem, dowodziła że... został on sfabrykowany przez służby za czasów Tuska, a taśmy zniszczono. Okazało się jednak, że płyty są. I przeczą wersji posłanki PiS.

Finałem było samo przesłuchanie Tuska. PiS przełożyło je na termin zaraz po wyborach samorządowych, w których Wassermann ubiegała się o fotel prezydenta Krakowa. Przegrała z kretesem w I turze. Próbowała szczypać Tuska bezskutecznie. Ten w końcu wypalił, że gdyby przyjąć jej logikę relacji Tuska z Amber Gold, to „w sprawie GetBacku premier Mateusz Morawiecki i jego ojciec powinni być przesłuchani, skazani i spaleni na stosie”. Chodziło o to, że w tej aferze były prezes spółki Konrad K. pisał do premiera, a jego ojciec wstawiał się za GetBackiem u syna. GetBack sprzedawał obligacje prywatnym inwestorom. Pokrzywdzonych jest niemal 10 tys. osób na kwotę 2,5 mld zł.■

Dziwni koledzy ministra Bortniczuka

Minister sportu Kamil Bortniczuk jako dyrektor gabinetu wicepremiera mieszkał niemal za darmo u kolegi oskarżonego o kradzież samochodów. I to w hotelu, który słynie z tego, że jest miejscem spotkań gangsterów. I interweniował w jego sprawie w resorcie sprawiedliwości. Nie widzi w tym nic złego.

Gdy jeszcze Bortniczuk nie był ministrem sportu i nie dostał się do Sejmu, był dyrektorem gabinetu wicepremiera Jarosława Gowina w ministerstwie nauki i szkolnictwa wyższego. Do pracy dojeżdżał z hotelu położonego na peryferiach Warszawy, którego właścicielem był wtedy jego „przyjaciel ze szkolnej ławki” z Głuchołaz Bartłomiej Cz. Bortniczuk zapewnia, że za pobyt płacił, choć – jak opisało Radio Zet – panowie mieszają się w zeznaniach. Jeden mówi, że było to 1000 zł miesięcznie „do ręki”, drugi, że 1500 zł za miesiąc na fakturę. A minimalna stawka „dla znajomych” to było 99 zł za dzień – czyli 3000 zł za miesiąc. To o tyle dziwne, że jako dyrektor biura ministra Bortniczuk mógł dostać mieszkanie na osiedlu rządowym – płaciłby wówczas ok. 1400 zł miesięcznie. Polityk od kolegi dostał też do użytkowania samochód, który był w leasingu. Nic za to nie płacił, a sprawa nie została zgłoszona do leasingodawcy, choć zgodnie z prawem powinna.

**Obecny minister sportu
z Republikanów otacza się
skazanymi lub podejrzanymi**



Bortniczuk wyprowadził się z hotelu w kwietniu 2017 r. Został wówczas członkiem zarządu Grupy Azoty. Do hotelu po rzeczy przyjechał już służbowym czarnym audi A6. Kilka miesięcy później jednak w tym samym hotelu wyprawił swoje 34. urodziny. Radio Zet opisuje, że z hote-

lem związany finansowo jest Tomasz S., słynny syndyk zatrzymany przez CBA. Inny partner w interesach Bartłomieja Cz. i Tomasza S., czyli Daniel B., ukrywa się za granicą. Sam Bartłomiej Cz. ma zarzuty czynnej napaści na policjanta i kradzieży samochodów. To w sprawie Tomasza S., na prośbę Cz., Bortniczuk interweniował u ówczesnego wiceministra sprawiedliwości Patryka Jakiego, kolegi z Opolszczyzny. Tomasz S. był już wtedy podejrzanym w śledztwie. Bortniczuk uważa, że była to przyjacielska przysługa i nie widzi w tym nic złego.

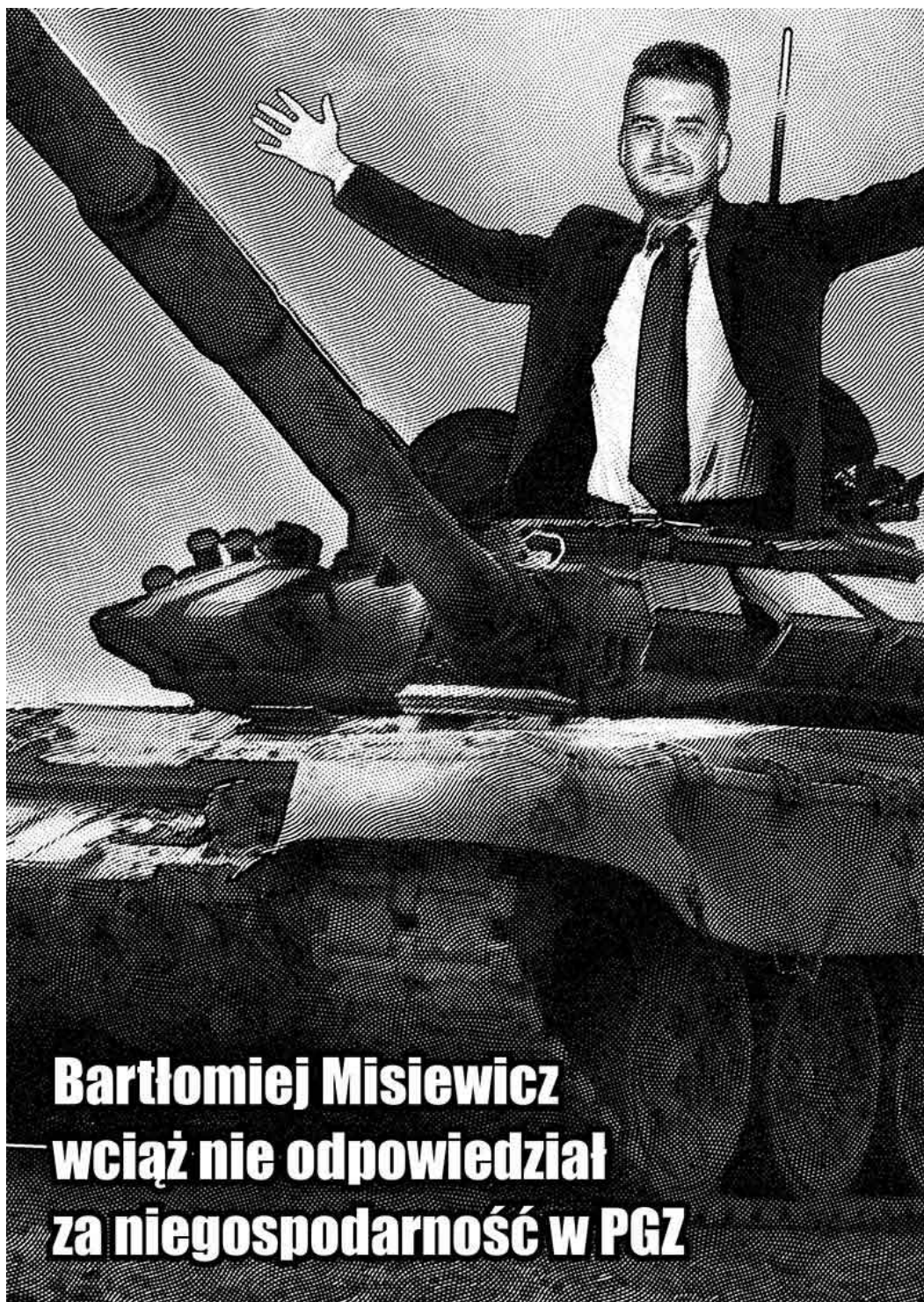
Imprezy w hotelu były przez kogoś nagrywane. Bortniczuk był tym szantażowany już jako poseł. Nie zgłosił tego służbom. Pytany o to przez Radio Zet przyznał, że „się nad tym zastanowi”. – Dałem się uwikłać w te znajomości, nie wiedząc, z kim mam do czynienia. Kontakty z nimi zerwałem i nie utrzymuję ich do dzisiaj – zapewnia. Jednak z kolegą z Głucholaz, Bartłomiejem Cz., utrzymuje kontakty do dziś. Nie jest to jedyny „podejrzanym” kolega ministra. Prezesem zależnej od wpływów jego samego i jego partii spółki SIM Opolskie został Bogdan Wyczałkowski, skazany w 2020 r. prawomocnie za niedopełnienie obowiązków jako burmistrz Paczkowa. Gdy zapadł wyrok, był on przewodniczącym rady powiatu nyskiego. Gdy inni radni chcieli go odwołać, Bortniczuk wysłał SMS do szefa PiS w powiecie: „Boguś Wyczałkowski będzie przez nas chroniony”. Za co Wyczałkowski został skazany? Przez 4 lata nie pobierał i nie naliczał podatku za dziewięć nieruchomości należących do lokalnego przedsiębiorcy. Jak się okazało, prywatnie dobrego znajomego pana burmistrza.

Widać, że koleżeńskie relacje Bortniczuka nie wzięły się znikąd. Przecież na zastępcę w resorcie sportu też wziął sobie kolegę, który dawno temu powinien usłyszeć zarzuty za swoją działalność, czyli Łukasza Mejzę.■

Ulubieniec Macierewicza, który kosztował nas miliony

Postać Bartłomieja Misiewicza stała się jednym z symboli rozpasania ekipy PiS w instytucjach państwowych i spółkach Skarbu Państwa. W przeciwieństwie do wielu podobnych historii, choć może nie aż tak spektakularnych, tutaj sprawa trafiła do prokuratury, a nawet do sądu. Mijają jednak kolejne lata i nic się z nią nie dzieje.

Najbliższy współpracownik Antoniego Macierewicza stał się powszechnie znany w sierpniu 2016 r., gdy dostał Złoty Medal „Za zasługi dla obronności kraju”. To odznaczenie zarezerwowane dotąd dla wybitnych przedstawicieli armii. Niedługo potem „Newsweek” ujawnił, że Misiewicz proponował bełchatowskiemu radnym PO stanowiska w spółce córce PGE w zamian za przystąpienie do koalicji z PiS. „Rzeczpospolita” napisała, że specjalnie dla niego... zmieniono statut spółki, by mógł być w radzie nadzorczej PGE GEiK mimo braku wyższego wykształcenia. Macierewicz bronił się, że potrzebował tam zaufanego człowieka.



Niedługo potem w mediach zaczęły się pojawiać kolejne zdjęcia i nagrania dokumentujące, jak wysocy rangą oficerowie oddają honory i salutują Misiewiczowi, gdy ten reprezentuje szefa MON w wielu delegacjach. Czarę goryczy w PiS przelała publikacja „Faktu” ze stycznia

2017 r., który ujawnił kulisy imprezy w jednym z białostockich lokali. Misiewicz przyjechał tam limuzyną MON, a przypadkowym imprezowiczom, którzy go rozpoznali, oferował pracę w ministerstwie obrony i spółkach Skarbu Państwa. Decyzją specjalnej komisji w PiS Misiewicz stracił członkostwo w partii. Okazało się, że publikacje medialne to było nic przy tym, co z kolegami robili w Polskiej Grupie Zbrojeniowej.

Śledztwo w sprawie niegospodarności w PGZ prowadziła Prokuratura Okręgowa w Tarnobrzegu. W połowie 2021 r. śledczy zakończyli je wysłaniem do Sądu Okręgowego w Warszawie aktu oskarżenia m.in. przeciwko Misiewiczowi. Zarzuty: przekroczył swoje uprawnienia, zawierając umowy niekorzystne dla spółki. Straty PGZ obliczono na ok. 1,2 mln zł. Misiewicz miał też powoływać się na wpływy w MON i za łapówki np. zorganizować wystawę. Sąd do tej pory nie wyznaczył pierwszej rozprawy w tym procesie. Misiewicz przekonuje, że jest niewinny, i z łatwością udowodni to przed sądem.

W styczniu br. „Gazeta Wyborcza” opisała kulisy operacji „Ksenon” dotyczącej nieprawidłowości w PGZ. W jej trakcie najpierw podsłuchiwano rozmowy telefoniczne, kontrolowano korespondencję SMS i sprawdzano rachunki bankowe Bartłomieja Misiewicza oraz współpracującego z nim byłego posła PiS Mariusza Antoniego K. Podobno prokuratura nie wykorzystała całego materiału, jaki dzięki Pegasusowi udało się zebrać od obu panów. Niektóre wątki ich działalności zostały wyłączone do osobnych postępowań i wciąż są badane przez śledczych. Ciekawe, czy przewijają się w nich także nazwiska osób, które pozwoliły Misiewiczowi przez wiele miesięcy traktować armię i PGZ jak salę zabaw.■

Jak Kaczyński NIE rozbija lokalnych układów

Prezes PiS Jarosław Kaczyński od lat szuka w Polsce przeróżnych układów. Pewnie dzisiaj mówi o tym coraz mniej, bo coraz częściej te układy to kliki stworzone przez jego formację. Tak było w Zgierzu, gdzie lokalną klikę stworzył poseł Marek Matuszewski.

Kaczyński wielokrotnie podkreślał, że „nie może być tak, że w Polsce są uprzywilejowani, są te tzw. elity z własnego nadania”. – Nie może być tak, żeby były jakieś nadzwyczajne kasty, które o wszystkim decydują – grzmiał, jeżdżąc po Polsce. Szkoda, że swego czasu nie zajrzał do Zgierza. Tam dzielili i rządził były hokeista, poseł Marek Matuszewski. Jak opisał „Fakt” w 2018 r., polityk stworzył w swoim mieście pajęczynę powiązań. Żona posła Jolanta Matuszewska była powiązana z firmą, która w Zgierzu ma dwie stacje benzynowe i myjnię samochodową, którą mogła wybudować niemal w środku... miejskiego parku. Protestowała opozycja, a władze Zgierza tłumaczyły, że teren jest przeznaczony pod usługi i nie mają na to wpływu. Trudno się dziwić – Zgierzem rządzili wówczas protegowani Matuszewskiego. Potem się pokłócili i część radnych z prezydentem na czele opuściła PiS. Matuszewski podmienił ich na listach w wyborach samorządowych na swoich ludzi. Przy czym „swoich” nie znaczy, że z partii, ale z... rodziny. I tak jedna z kandydatek na liście do sejmiku łódzkiego Alicja Antczak przedstawiała się jako szwagierka posła. Matuszewski zarzekał się, że nie jest jego rodziną. „Fakt” przyznał mu rację, bo to... cioteczna siostra jego

żony. A jak mówi znane powiedzenie, „dzieci to krew z krwi, a żona obca osoba”.



Na pewno więc nie była rodziną posła rodzina Alicji Antczak. Jej mąż został radnym powiatu zgierskiego z listy PiS, a po wygranej PiS w wyborach parlamentarnych dostał posadę dyrektora w PGE GiEK SA. Jej syn dostał jedynekę na liście PiS do powiatu zgierskiego, a jego żona – do Rady Miasta Zgierza. Matuszewski zadbał też o „swoją rodzinę”. W jednym z okręgów w wyborach samorządowych 2018 r. listę do Rady Miasta Zgierza otwierał jego syn Piotr. Córka Karolina została nr 2 na liście w wyborach do rady powiatu. Wcześniej dostała posadę w oddziale PGNiG w Łodzi. – To są młodzi, inteligentni ludzie, zatwierdzeni przez struktury, od lat związani z PiS – zapewnia Matuszewski.

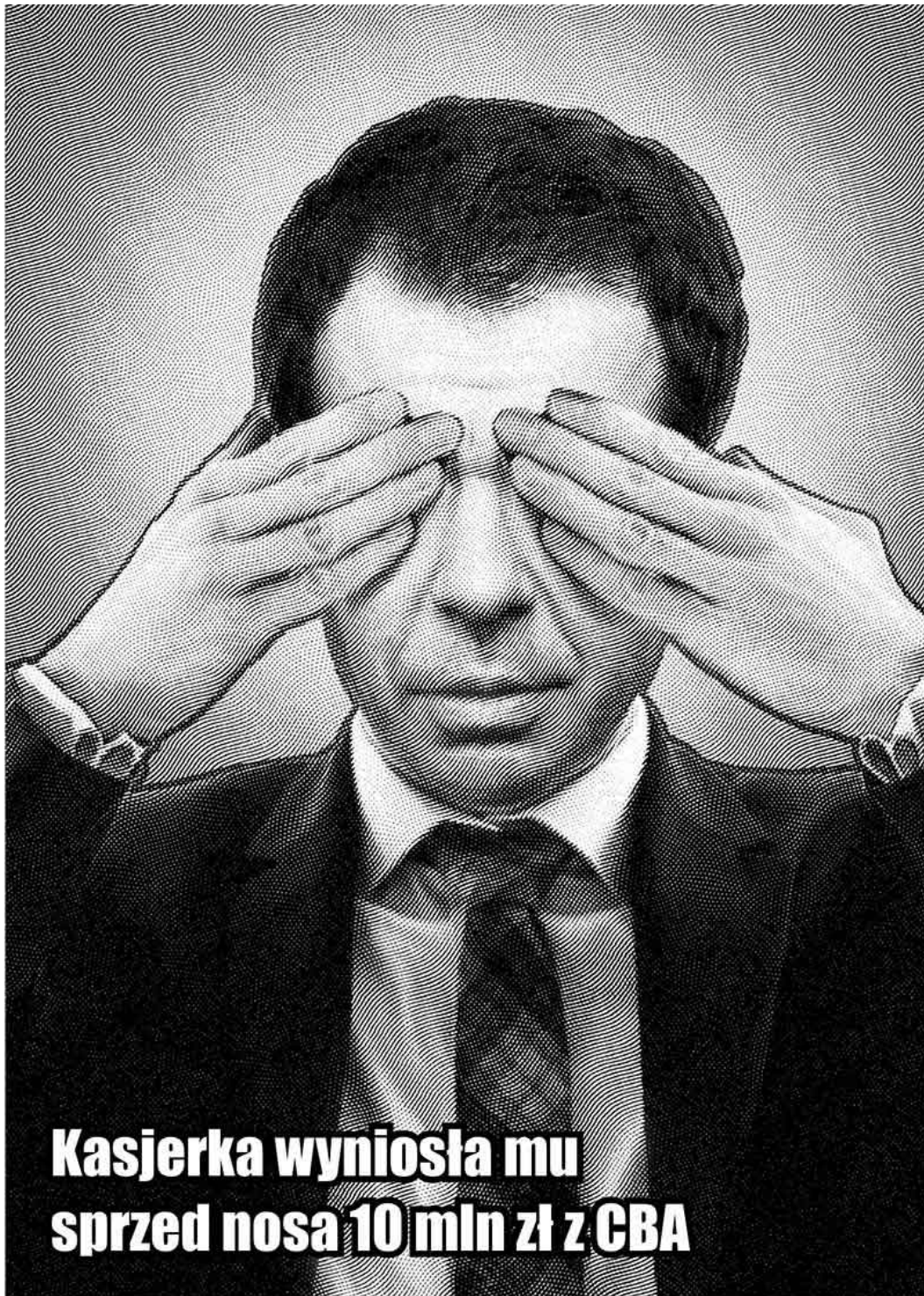
Jeszcze mało? Rodzinnie z Matuszewskim powiązany jest radny powiatu zgierskiego, który zrezygnował z mandatu, gdy został dyrektorem Oddziału Elektrociepłowni w Zgierzu PGE GiEK SA. W wyborach wystartowali też dyrektor biura poselskiego Matuszewskiego, Zbigniew Linkowski i jego brat, a także powiązany z nim rodzinnie inny radny Krzysztof Łebedowski i jego żona.

Efektom działań Matuszewskiego były tylko trzy mandaty dla PiS w 10-osobowej radzie powiatu. W efekcie dwa tygodnie po wyborach prezes pozbawił Matuszewskiego funkcji pełnomocnika partii. Jednak nie była to kara za zbudowanie układu, ale za słaby wynik wyborczy. I poseł szybko wrócił do łask. PiS rządzi bowiem w sejmiku województwa minimalną większością. Ma 17 z 33 mandatów, a rodzina Matuszewskiego ma dwa głosy w PiS. Z silnymi Kaczyński zawsze się liczył. I nieważne co robią – ważne, że są „po naszej stronie”.■

Zamiast odpowiedzieć za brak nadzoru, Ernest Bejda dostał zarząd PZU!

Za bezpieczeństwo finansowe w ubezpieczeniowym gigancie państwowym PZU SA odpowiada od kwietnia 2020 r. Ernest Bejda. Do tego czasu był szefem Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Odszedł, gdy okazało się, że z funduszu operacyjnego tej służby zniknęło w sumie niemal 10 mln zł. Kasjerka finansowała z tych pieniędzy hazard swojego męża. Nikt jej nie kontrolował.

W połowie stycznia 2020 r. media obiegała informacja, że w CBA zginęły pieniądze. Padały różne kwoty – od 5 do nawet 15 mln zł. Pracę stracili szefowie pionu finansowego i bezpieczeństwa wewnętrznego. „Nie jest prawdą, jakoby Centralne Biuro Antykorupcyjne utraciło jakiegokolwiek środki finansowe” – zapewniał rzecznik Biura Temistokles Brodowski. Wtórował mu Bejda. Na pytanie dziennikarki portalu wyborcza.pl, ile pieniędzy zginęło, odpowiedział ze zdziwioną miną: „Jakich pieniędzy? Do żadnej defraudacji nie doszło. Nie ma żadnych strat piętnastu milionów, o których mówicie, dziesięciu milionów itd. Nie ma żadnych strat”.



W kwietniu 2020 r. odszedł z CBA do zarządu PZU. W listopadzie 2020 r. prokuratura wysłała akt oskarżenia przeciw kasjerce CBA Katarzynie G. To, co wszyscy podejrzewali od roku, stało się pewne: Bejda kłamał, a jego podwładna wyniosła przez kilkanaście miesięcy niemal

10 mln zł. – Byłbym w stanie zrozumieć, gdyby ktoś nie zauważył straty kilku tysięcy złotych. Ale milionów? Przecież to jest kwota przekraczająca budżety operacyjne niektórych jednostek policji. Nie jestem w stanie pojąć, jak oni w takim razie rozliczali ten fundusz – komentował dla TVN24 były szef CBA Paweł Wojtunik. Dla niego sprawa była oczywista: kierownictwo biura nie dopełniło obowiązków. Zabrakło nadzoru.

Kasjerka została skazana na 6 lat więzienia. Jej mąż, który za ukradzione pieniądze grał u bukmachera – na 8 lat. W lipcu 2023 r. do sądu trafiły kolejne akty oskarżenia związane z tą sprawą. Chodzi o trójkę przełożonych kasjerki. Najwyżej postawionym funkcjonariuszem objętym aktem oskarżenia jest Daniel A., dyrektor pionu finansów służby antykorupcyjnej, którego na to stanowisko jeszcze w 2006 r. powołał Mariusz Kamiński. Zarzuty zostały tak skonstruowane, że A. nie straci ani emerytury, ani służbowego mieszkania.

To nic zaskakującego, skoro jego szef Ernest Bejda został ukarany w taki sposób, że prosto z CBA wskoczył do zarządu PZU. Po publikacji raportu rocznego za 2020 r. okazało się, że w 9 miesięcy zarobił tam 1,35 mln zł. Dla porównania prezeska zarządu Beata Kozłowska-Chyła, pracując dwa miesiące dłużej, zarobiła 1,479 mln zł.

Posadę Bejdy w PZU poprzedził jego telefon do szefa kancelarii premiera Michała Dworczyka. Ten relacjonował tę rozmowę Mateuszowi Morawieckiemu w ten sposób: „Dzwonił do mnie dziś Bejda. Prosił, aby przekazać Ci, że dzwonił wyłącznie z podziękowaniami za możliwość dotychczasowej pracy. Przyjął wszystkie decyzje i jest, jak podkreśla, w 100 procentach lojalny” – pisał Dworczyk. Lojalności Bejdy chyba nikt nie kwestionował – w przeszłości pracował w spółce Srebrna, a tego szczytu dostępują tylko ci, którzy są lojalni wobec Jarosława Kaczyńskiego.■

Jak poseł został lobbystą, a potem wrócił do polityki

Wzoruje się na marszałku Piłsudskim, ma ambicje sięgające najwyższych zaszczytów w państwie, a teraz jako lider małej partyjki nawet uważa się za koalicjanta PiS. Zbigniew Girzyński to jednak polityk, który w przerwie bycia posłem został... lobbystą.

Choć pierwszy raz posłem został w 2005 r., nigdy nie wyszedł z drugiego czy nawet trzeciego szeregu polityków tej partii, choć próbował sztuczek, na jakie nikt przed nim się nie porwał. Był jedynym członkiem PiS, który zadeklarował bycie kontrkandydatem Jarosława Kaczyńskiego w wyborach na prezesa PiS. Było to w 2009 r., ale ostatecznie nie wystartował, bo Rada Polityczna PiS tak zmieniła zasady wyborów, że kandydat na prezesa musiał przedstawić listę poparcia 20 proc. delegatów na kongres. Girzyński „zrezygnował”. W partii był jeszcze kolejne 5 lat. Wyleciał, gdy wybuchła tzw. afera madrycka. „Fakt” ujawnił, że grupa posłów PiS z Adamem Hofmanem z żonami awanturowała się na pokładzie samolotu do stolicy Hiszpanii. Rychło wyszło na jaw, że polecili tam jako sejmowa delegacja. Media wzięły pod lupę wyjazdy innych posłów i okazało się m.in., że Girzyński rozliczał delegację zagraniczną jako samochodową kilometrówkę, a latał z matką samolotem. Był 2014, rok do wyborów parlamentarnych. Girzyński na listach się nie znalazł. Miał etat na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, ale po wygranych przez PiS wyborach zaczął szukać miejsc, gdzie można lepiej zarobić. Dostał zlecenia z Polskiej Wytwórni Papierów Wartościo-

wych, gdzie szefami zostali jego koledzy. Pracował też dla R4S. To agencja, którą założył Hofman. Girzyński zarobił tam 152 tys. zł w rok. W 2019 r., jak ujawniła „Gazeta Wyborcza”, za namową Hofmana właśnie, Girzyński postanowił oficjalnie wrócić do polityki. Dostał się z list PiS, a prowadzenie kampanii wyborczej zlecił... R4S, gdzie jego syn Michał trafił na staż.



Jako swego społecznego asystenta Girzyński wprowadził do Sejmu Kacpra Godka, byłego pracownika agencji Hofmana. Po aktywności w Sejmie widać było, jak pokrywa się z interesami firm, o których na mieście huczało, że pracuje dla nich R4S. Tyle że działa się to w kadencji, w której standardy obniżono już tak, że nikogo w PiS to nie raziło

i nie interesowało. I dlatego wcale nie za to Girzyński został zawieszony w partii, a za... skorzystanie z okazji zaszczepienia się przeciw COVID-19 poza kolejnością.

Portal nowosci.com.pl informował, że na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika szczepienia objęły nie tylko pracowników i studentów Collegium Medicum UMK (mieszczącego się w Bydgoszczy), ale również pracowników naukowych uczelni, którzy nie są medykami. Wśród nich miał się znaleźć wykładowca Wydziału Nauk Historycznych UMK Zbigniew Girzyński. Dopiero miesiąc później rozpoczęły się szczepienia seniorów powyżej 70. roku życia. W rządowym rozporządzeniu dotyczącym kolejności szczepień wykładowcy akademicy (spoza uczelni medycznych) wymienieni byli po seniorach i osobach z chorobami przewlekłymi.

Girzyński wrócił do łask prezesa (ale nie do PiS), gdy zabrakło głosów do większości. Nieoficjalnie mówiło się, że śledczych w zamian przestaną interesować umowy, jakie zawierał w przeszłości ze spółkami Skarbu Państwa. Na czerwcowym spotkaniu wyborczym w Bogatyni, które miało być demonstracją jedności Zjednoczonej Prawicy, Girzyński był w gronie liderów formacji obok Kaczyńskiego, Zbigniewa Ziobry, Adama Bielana i Marcina Ociepy (były współpracownik Jarosława Gowina).■

Adam Hofman obłowił się na fuzji Orlenu z Lotosem. Płacił węgierski MOL

Adam Hofman formalnie odszedł z polityki w 2014 r., ale faktycznie wciąż w niej jest. I zarabia na niej miliony. Wymknął się z sideł CBA dzięki przeciekowi. A potem znalazł żyłą złota – współpracę z koncernem paliwowym MOL, który wszedł na polski rynek dzięki fuzji Lotosu z Orlenem. Na czele Orlenu stoi... kolega Hofmana Daniel Obajtek.

W lipcu br. dziennikarz Jacek Harłukowicz został uniewinniony w procesie karnym wytoczonym mu za tekst w „Gazecie Wyborczej” o kulisach biznesu byłego rzecznika PiS Adama Hofmana. Opublikowany w grudniu 2020 r. artykuł ujawnił tajny raport Centralnego Biura Antykorupcyjnego dotyczący spółki R4S, powstałej w 2015 r.

Nowo powstała firma, w której oprócz Hofmana znalazł się m.in. były prezes KGHM Robert Pietryszyn, w krótkim czasie zbudowała potęgę finansową na zleceniach od spółek Skarbu Państwa, do których wchodził znajomi Hofmana. Tylko do połowy sierpnia 2016 r. R4S zarobiła na współpracy ze spółkami Skarbu Państwa ponad 1,2 mln zł. „Gazeta Wyborcza” nazwała tę grupę „układem wrocławskim”, bo z tego miasta wyszły drogi wszystkich kluczowych osób, które spotkały się w R4S, a przede wszystkim Hofmana i jego politycznego patrona, Dawida Jackiewicza, który w rządzie Beaty Szydło został ministrem skarbu. Ich znajomi wchodzić do zarządów i rad nadzorczych m.in. Grupy Azoty,

KGHM, LOT, Totalizatora Sportowego, Tauronu czy Energi. Jednym słowem spółek z finansowego topu Skarbu Państwa. Od początku służby podejrzewały, że może dochodzić tu do różnych dziwnych transakcji. Gdy zrobiło się o nich głośno, w kwietniu 2006 r. CBA zaczęła operację, której nadała kryptonim „Argon”. Zakończyła się fiaskiem przez... przeciek z CBA! Podejrzewany o to jest wysoki rangą pracownik CBA, który zna się i lubi z niektórymi rozpracowywanymi osobami.



Z wyliczeń CBA, które publikowała „Gazeta Wyborcza”, wynika, że w ciągu niewiele ponad roku na rachunek bankowy agencji R4S wpłynęło ponad 4,3 mln zł, w tym prawie 1,2 mln zł z państwowych firm. Agencja ma biuro na 26. piętrze prestiżowego biurowca w centrum

Warszawy. Po dymisji Jackiewicza wiele układów w spółkach się posypało, ale został ten najważniejszy, w Orlenie, którym rządzi Daniel Obajtek.

Prezes Orlenu dużo zawdzięcza Hofmanowi. To on jako rzecznik PiS nakręcił jego karierę i poznał jego, skromnego wójta Pcimia, z Jarosławem Kaczyńskim. Obajtek nie zapomina o ludziach, którym dużo zawdzięcza. Gdy wpadł na pomysł fuzji PKN Orlen z Lotosem, zatrudnił R4S. Zgoda Komisji Europejskiej została uzależniona od tego, że płocki koncern sprzeda znaczną część stacji paliw Lotosu podmiotowi, z którym nie jest powiązany kapitałowo. Postanowiono, że będzie to węgierski MOL, który stanie się właścicielem 417 stacji paliw Lotosu, a w zamian za to Orlen dostanie 144 stacje na Węgrzech i 41 stacji na Słowacji. Jak ujawnił TVN24, półtora roku wcześniej R4S zawarła z MOL umowę. Teoretycznie firma miała zbierać informacje na temat tego, jak MOL jest postrzegany w Polsce i jak opinia publiczna zareagowałaby na wiadomość, że angażuje się w polski rynek. Tylko w rok R4S zarobiła na tym na czysto... 1,6 mln zł! I kolega Hofmana faktycznie wybrał MOL. Co za przypadek... Czy prokuratura kiedyś wyjaśni ten niesamowity zbieg okoliczności i ogromne pieniądze płynące z MOL na konta spółki Hofmana?■

Najpierw jeździła po Polsce Szydło-busem, potem rozbijała się limuzyną

„Pokora, praca, umiar” – te słowa Beaty Szydło z jej exposé sprzed niemal 8 lat brzmią dzisiaj jak mało śmieszny żart. PiS lubi ją przedstawiać jako szefową rządu, która była blisko ludzi. A to ona stała się ikoną wielkiego skoku na kasę pierwszego rządu PiS. Nagrody dla ministrów oburzyły Polaków. A jeszcze bardziej tłumaczenie Szydło, że „te pieniądze po prostu się należały”.

Koniec z arogancją władzy i koniec z pychą – mówiła wówczas Szydło z mównicy sejmowej. Już wówczas wielu posłów opozycji zareagowało na to śmiechem. Dzisiaj tak samo reaguje każdy uczciwy Polak. Bo jej partia przez lata rządów to nie żadne prawo i sprawiedliwość, a właśnie pycha i arogancja!

– Wiem doskonale, że nie ma wielkich osiągnięć i sukcesów bez tych małych codziennych kroków. Pamiętajmy – suma małych spraw tworzy wielkie sprawy – podkreślała Szydło w exposé. Szybko się okazało, że ta „suma małych spraw” to tak naprawdę nie „wielkie sprawy”, a wielkie kwoty! Jak napisał „Fakt”, w 2016 r. 23 ministrów z rządu Szydło otrzymało w sumie 84 nagrody. Rok później tych wypłat było już trzy razy więcej – 266 nagród dla 21 ministrów. Dziennikarze ujawnili, że – wbrew zapewnieniom premier Szydło – nie były to nagrody za ciężką pracę, a mechanizm stworzony w rządzie w wakacje 2016 r.!



**Szydło
dała po 500 zł na dzieci,
a swoim ministrom
miliony**

„W połowie lipca 2016 r. z hukiem upadł projekt okrzyknięty przez Pawła Kukiza i „Fakt” mianem Koryto+. I dlatego w ostatnich 4 miesiącach roku wypłacano ministrom dodatki w średniej wysokości 7018 zł.

W kolejnym roku nagród było w sumie 266 dla 21 ministrów, ale już po 5504 zł” – czytamy w „Fakcie”.

Wybuchła afera. Jak to zwykle w takich sytuacjach, „Kaczyński się wściekł”. Kazał ministrom oddawać nagrody na cele charytatywne. Wielu się od tego próbowało wymigać. Finalnie raptem 12 ministrów wpłaciło jakieś kwoty na Caritas. Jeszcze w maju 2018 r. Jacek Sasin, wówczas szef Komitetu Stałego Rady Ministrów, zapewniał, że rząd „chce ujawnić listę, kto z ministrów zwrócił nagrody”, bo domagali się tego dziennikarze i⁽⁸⁾ opozycja. Lista oczywiście nigdy nie powstała.

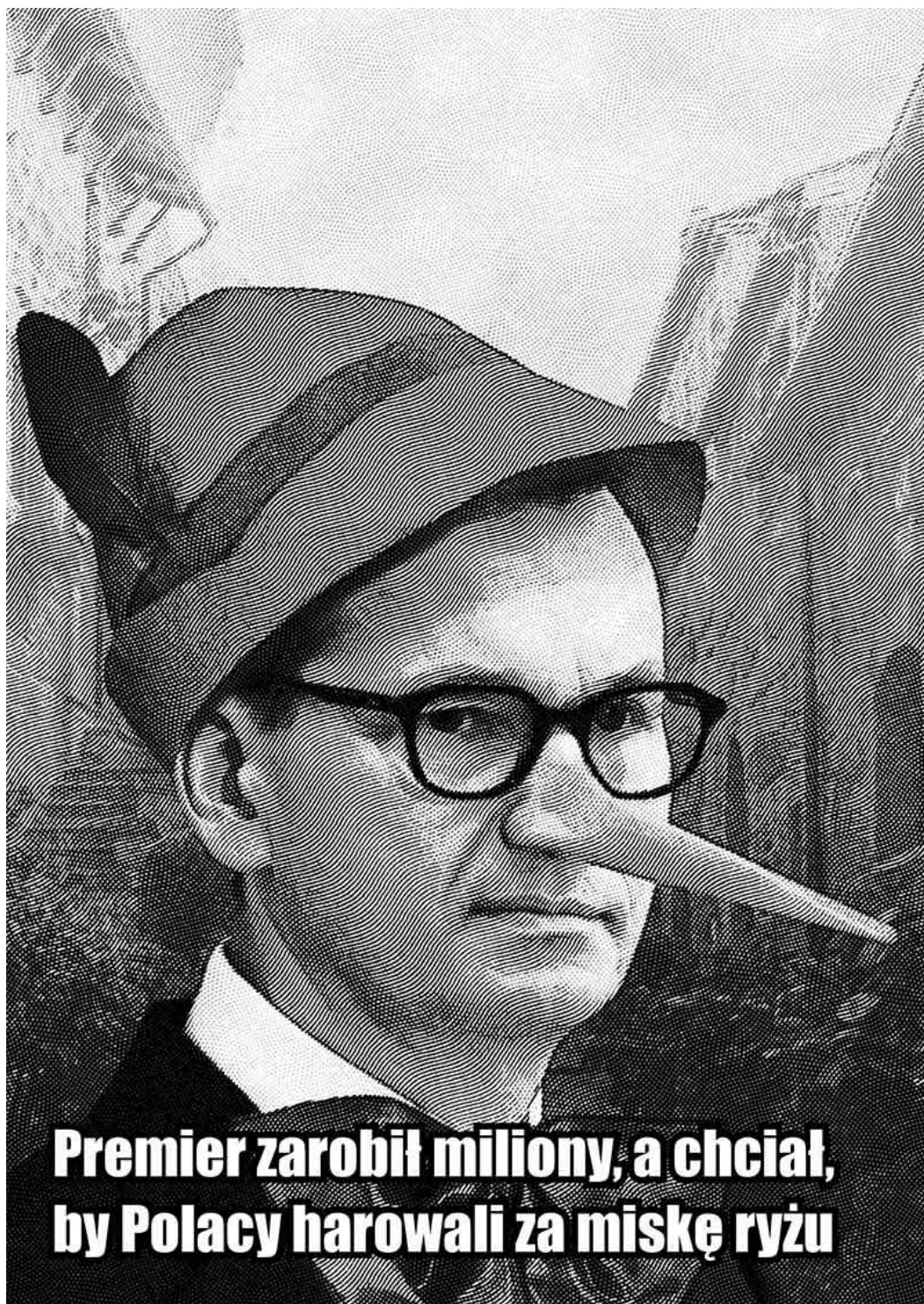
A co z Szydło? Po tej aferze straciła fotel premiera, ale i tak szybko została wicepremierem. Od czego? W sumie od niczego. I za to brała co miesiąc prawie 20 tys. zł. Aż do startu w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Tam zarabia się ponad 40 tys. zł. Plus zwrot kosztów podróży, a także słynne dodatki po ponad 300 euro (to, bagatela, prawie 1500 zł!) za posiedzenia sejmowych komisji Unii Europejskiej, na których europosłowie często jedynie składają podpis pod listą obecności.

Gdy Szydło miała zostać premierem, jeździła Szydłobusem i pochyliła się nad krzywdą Polaków, którym źle się ponoć wiodło za czasów rządu PO-PSL. Potem oglądała już świat z za szyb służbowej limuzyny. W lutym 2017 r. wioząca ją do domu kolumna staranowała seicento, którym kierował Sebastian Kościelniak. Mimo że świadkowie wzięli jego stronę, nie miał szans w starciu z szefową rządu. Sąd go skazał. Jeden z członków ochrony Szydło przyznał w śledztwie, że kolumna Szydło nie włączała sygnałów dźwiękowych, żeby ludzie nie widzieli, że władza „się wozi i panoszy”.■

Prawdziwa twarz Morawieckiego - liberał udający obrońcę biednych

Stoi na czele rządu Zjednoczonej Prawicy od 6 lat i nie szczędzi razów obecnej opozycji, opowiadając ze swadą, jak to poprzednicy PiS wyprzedawali Polskę i za nic mieli zwykłych ludzi. A sam przez lata zarabiał miliony jako bankster! Nagrania od Sowy dowodzą, że miał w pogardzie ciężko pracujących, którym teraz schlebia, udając ich obrońcę.

Gdy Morawiecki już był premierem, „Onet” ujawnił niepublikowane wcześniej zapisy rozmów z restauracji Sowa i Przyjaciele. Co za zaskoczenie: kiedy ujawniano te taśmy, by pozbawić władzy Platformę Obywatelską, akurat nagrania z udziałem nowego pupila Jarosława Kaczyńskiego nie zostały mediom podrzucone. A przecież Morawiecki nie był postacią anonimową! Stał na czele banku BZ WBK (późniejszy Santander) od maja 2007 r.! Zrezygnował z tej świetnie płatnej posady dopiero 2 tygodnie po wygranych przez PiS wyborach w 2015 r., a więc, gdy było już pewne, że czeka na niego rządowa posada. Zaczął od roli wicepremiera i ministra rozwoju, potem był jeszcze ministrem finansów, by w grudniu 2017 r. zastąpić Beatę Szydło w fotelu premiera. I zajmuje go do dzisiaj dzięki temu, że robi wszystko, co każe mu Kaczyński.



**Premier zarobił miliony, a chciał,
by Polacy harowali za miskę ryżu**

Morawiecki woli o tym nie pamiętać, ale przez ponad 2 lata był doradcą... premiera Donalda Tuska! Tego samego, którego teraz lekką ręką oskarża o najgorsze przewiny i kolaborację z Władimirem Putinem. Razem z chórem polityków PiS przekonuje, że w czasie spotkania

na Westerplatte w 2009 r. Tusk sprzedał Polskę Putinowi. Wspólnie sugerują, że zaplanował z prezydentem Rosji zamach w Smoleńsku. Morawiecki nie mówi jednak, dlaczego w takim razie i po 10 kwietnia doradzał Tuskowi!

To jednak nie są jedyne fakty, o których obecny premier nie chce pamiętać. Tak jest z okolicznościami, w jakich okazji kupował pod Wrocławiem działki od kościelnych włodarzy. Potem oddał żonie, byle tylko nie przyznać się Polakom, jaki ma majątek. „Zapomniał” podzielić się z Polakami wiedzą o zbliżającej się ogromnej inflacji, ale sam na niej skorzystał, kupując za miliony specjalne obligacje. Zarobił na nich majątek! A zwykli Polacy na inflacji potracili. Morawiecki nie chciał też pamiętać o suto zakrapianych ucztach u Sowy i Przyjaciół, w których brał udział. A wiemy o tym z nagrań ujawnionych przez Onet. Człowiek, który dzisiaj chętnie stawia się w roli obrońcy zwykłych ludzi, wtedy mówił, że Polacy są „głupi, bo wierzą w reklamy banku”. Dzisiaj głośno atakuje PO, że za ich rządów Polacy mało zarabiali. A wtedy ze swadą przekonywał, że Polacy „mają zap...ć za miskę ryżu”. Czy przeprosił Polaków za te słowa? A skąd! – Pewne rzeczy, które tam powiedziałem, jakieś przekleństwa, to wolałbym, żeby ich oczywiście nie było. Wprawiają mnie w zakłopotanie – to był jedyny komentarz Morawieckiego!

A warto pamiętać, że w aktach sprawy są jeszcze – co również ujawnił Onet – zeznania kelnerów, którzy nagrywali w restauracji. Jak wiadomo, często odsłuchiwali oni zarejestrowane spotkania. Twierdzą, że była tam również rozmowa, na której Morawiecki omawiał z nieznanym im mężczyzną zakup nieruchomości na podstawie osoby. Tego nagrania nie ma w aktach śledztwa. A w świetle wielu informacji o działkach wartych miliony a kupionych przez Morawieckich za grosze, brzmi to szczególnie ciekawie.

Premier nie tylko jest zapominalski jak Słoń Trąbalski. Kłamie jak inny bajkowy stwór – Pinokio. Polacy do tego tak przywykli, że dali mu nawet taki pseudonim. Sąd skazywał Morawieckiego za mówienie nie-

prawdy! I to dwa razy! Jak długo kłamca będzie premierem Polski? Jest 6 lat! Już dość!■

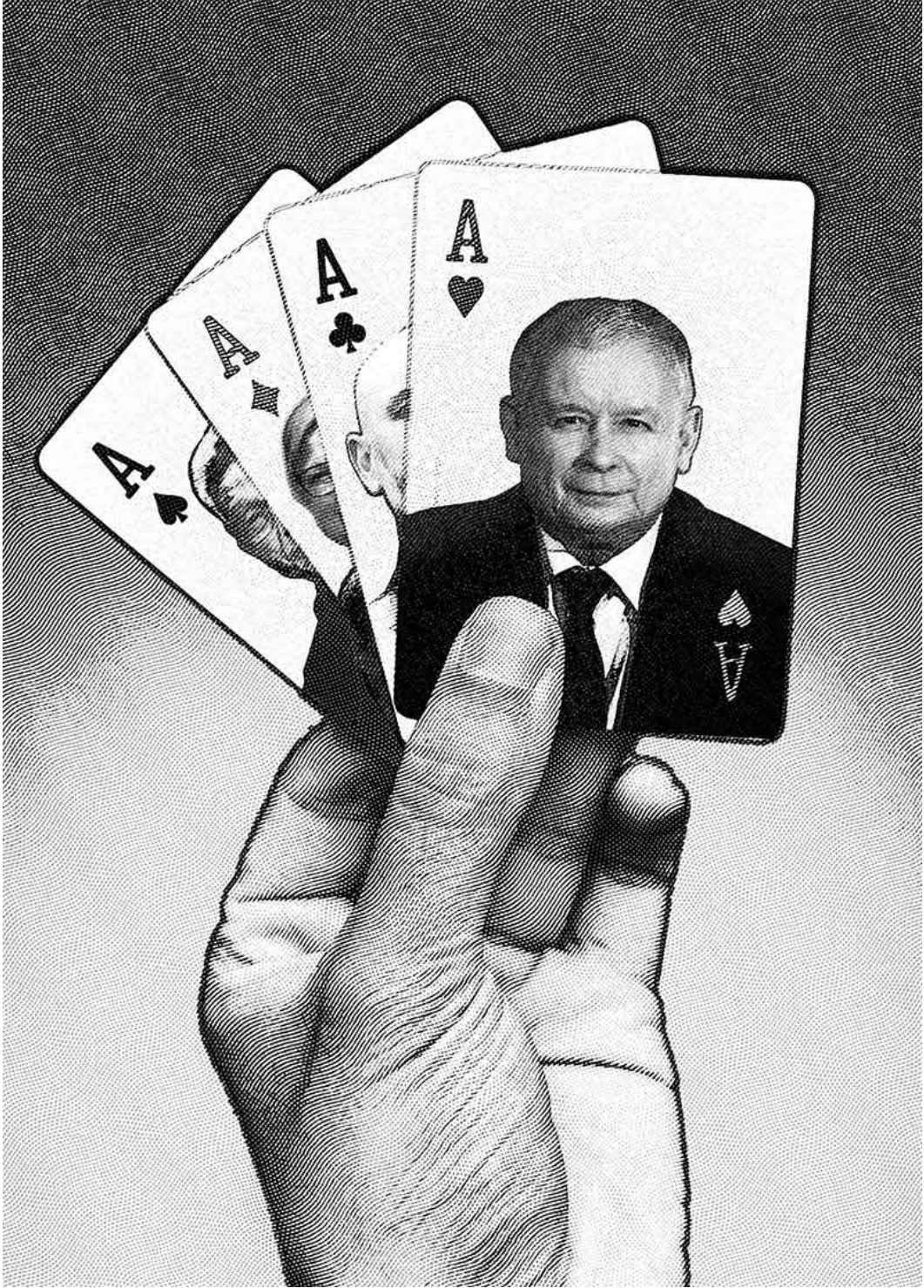
A czy wymienieni tu politycy PiS próbowali bronić swego „dobrego imienia” przed sądem?

Czy wymienieni tu politycy pozwalają dziennikarzom za to, że ujawniając poszczególne afery i skandale, minęli się z prawdą lub naruszyli czyjeś dobra osobiste? W ogromnej większości nie. Nie zdobyli się na to ani Mateusz Morawiecki, ani Beata Szydło, ani Julia Przyłębska, Marek Kuchciński, Stanisław Karczewski czy Adam Glapiński...

- **Przemysław Czarnek** zapowiedział z mównicy sejmowej, że zdementuje wszystkie kłamstwa i pomówienia na swój temat, ale najwyraźniej miał na myśli wystąpienia w mediach publicznych.
- Po publikacjach Wp.pl do rodzin dzieci, które rozmawiały z mediami, trafiały pisma przedprocesowe od **Łukasza Mejzy**, ale był to raczej element zastraszania ludzi, by nie opowiadali dalszych historii. **Żadne**⁽⁸⁾ pozwów za tym nie poszły.
- **Daniel Obajtek** wynajął kancelarie prawne, prawdopodobnie na koszt Orłenu, ale przegrywa z mediami sprawę za sprawą. Czy **płacze**⁽⁸⁾ z tego powodu?
- W styczniu 2017 r. – po ujawnieniu przez „Fakt” kompromitujących informacji na temat **Leonarda Krasulskiego** – podczas konferencji prasowej w swoim elbląskim biurze polityk deklarował, że pójdzie z ga-

zeta do sądu. Nie chciał odpowiadać na żadne pytania dziennikarzy. Zastaniał się przygotowaniem do sprawy w sądzie. Potem zaczął udawać, że sprawy w ogóle nie ma. Pozwu nigdy nie złożył.

- Onet.pl musiał sprostować informacje, które pojawiły się w tekście o **PFN** i **WHWG** – że PFN zapłaciła firmie WHWG zaliczkę w kwocie 135 tys. dolarów, że PFN zapłaciła 2,6 mln dolarów jako honorarium dla WHWG, że PFN wydało dla firmy WHWG 5,5 mln dolarów, że pieniądze trafiały do firmy Edelman, która – zdaniem Onetu – nic nie robiła dla konsulatu, że firma WHWG wzięła pieniądze za stworzenie profili w mediach społecznościowych, że firma WHWG organizowała konferencję w Hudson Institute, za którą miała wziąć 80 tys. dolarów”.
- W sprawie **Andrzeja Kosztowniaka** wystosowano co prawda pozew, ale dotyczy on wątku którego nie poruszamy w naszym tekście. „Gazeta Wyborcza” w artykule autorstwa dziennikarzy gazety oraz Radia Zet podała, że w 2016 roku CBA miało materiał do postawienia zarzutów korupcyjnych dwóm posłom PiS z Radomia. Według „Gazety Wyborczej” po zmianie władzy sprawę wobec nich wyciszono, a funkcjonariusz, który ją prowadził, odszedł ze służby. Jest to więc tylko odprysk afery. TVN24 pozwu nie dostała.
- **Jacek Kurski** procesy wytoczył dwa, ale obie sprawy przegrał.
- Pozew złożyła **Beata Kempa** i dziennikarka musiała przeprosić za zdanie o tym, że plecaki niemal zgniły w magazynie.
- **Joachim Brudziński** pozwał „Gazetę Wyborczą” za stwierdzenia o tym, że z pieniędzy PHH remontował prywatne mieszkanie oraz autora za zaatakowanie jego córki. Finału tej sprawy na razie nie ma.



Lista „bohaterów” tej broszury

Krzysztof Ardanowski [----](#)

Marek Gróbarczyk [----](#)

Jarosław Szymczyk [----](#)

Mariusz Kamiński [----](#)

Dariusz Rudnik [----](#)

Michał Moskał [----](#)

Henryk Kowalczyk [----](#)

Paweł Kukiz [----](#)

Edward Siarka [----](#)

Michał Kurtyka [----](#)

Piotr Patkowski [----](#)

Anna Zalewska [----](#)

Dawid Jackiewicz [----](#)

Łukasz Mejza [----](#)

Jacek Bogucki [----](#)

Adam Andruszkiewicz [----](#)

Daniel Obajtek [----](#)

Sławomir Z. [----](#)

Przemysław Czarnecki [----](#)

Michał Cieślak [----](#)

Arkadiusz Czartoryski [----](#)

Mariusz Błaszczak [----](#)

Julia Przyłębska [----](#)

Marek Kuchciński [----](#)

Małgorzata Zwiercan [----](#)

Krystyna Wróblewska <<<>
Rafał Bochenek <<<>
Jacek Kurzępa <<<>
Małgorzata Janowska <<<>
Norbert Kaczmarczyk <<<>
Andrzej Gut-Mostowy <<<>
Jadwiga Emilewicz <<<>
Waldemar Buda <<<>
Elżbieta Witek <<<>
Krzysztof Jurgiel <<<>
Krzysztof i Sylwia Sobolewscy <<<>
Jarosław Zieliński <<<>
Piotr Sak <<<>
Stanisława Kasprzycka <<<>
Michał Dworczyk <<<>
Lech Kołakowski <<<>
Piotr Gliński <<<>
Marcin Horąa <<<>
Stanisław Karczewski <<<>
Grzegorz Puda <<<>
Ryszard Legutko <<<>
Mieczysław Baszko <<<>
Błażej Poboży <<<>
Jacek Sasin <<<>
Leonard Krasulski <<<>
Anna Paluch <<<>
Wojciech Kałuża <<<>
Grzegorz Bierecki <<<>
Maciej Świrski <<<>
Zbigniew Ziobro <<<>
Dariusz Barski <<<>

Janusz Kowalski [----](#)

Jarosław Kaczyński [----](#)

Marek Suski [----](#)

Andrzej Kosztowniak [----](#)

Sebastian Chwałek [----](#)

Maciej Wąsik [----](#)

Krzysztof Tchórzewski [----](#)

Kazimierz Kujda [----](#)

Tadeusz Rydzyk [----](#)

Andrzej Jaworski [----](#)

Stanisław Piotrowicz [----](#)

Grzegorz Witkowski [----](#)

Jacek Kurski [----](#)

Janusz Cieszyński [----](#)

Łukasz Piebiak [----](#)

Marcin Warchoń [----](#)

Marcin Romanowski [----](#)

Andrzej Adamczyk [----](#)

Beata Kempa [----](#)

Adam Glapiński [----](#)

Bogdan Świączkowski [----](#)

Robert Bąkiewicz [----](#)

Przemysław Czarnek [----](#)

Tadeusz Kościński [----](#)

Artur Soboń [----](#)

Anna Moskwa [----](#)

Adam Bielan [----](#)

Jacek Żalek [----](#)

Cezariusz Lesisz [----](#)

Dariusz Matecki [----](#)

Paweł Borys [----](#)

Olga Semeniuk-Patkowska [----](#)

Antoni Macierewicz [----](#)

Piotr Wawrzyk [----](#)

Jarosław Stawiarski [----](#)

Joachim Brudziński [----](#)

Małgorzata Sadurska [----](#)

Małgorzata Wassermann [----](#)

Kamil Bortniczuk [----](#)

Bartłomiej Misiewicz [----](#)

Marek Matuszewski [----](#)

Ernest Bejda [----](#)

Zbigniew Girzyński [----](#)

Adam Hofman [----](#)

Beata Szydło [----](#)

Mateusz Morawiecki [----](#)

CZARNE MYŚLI

HASŁÓWKA

W tekstach, wewnątrz publikacji, znajdziesz słowa zaznaczone szarym tłem. Po dopasowaniu do diagramów otrzymasz czarne myśli polskiej polityki. Uwaga! Nie mylić ze złotymi.

1. _ I _ _ _ _ _ _ _ _ _ I
2. _ _ _ _ _ E _ _ _ Y _ _ _ _ _
3. _ _ _ _ _ Y _ I _ _ _ _ _
4. U _ _ _ _ _ _ _ _ _ A _ _ _ _ _
5. _ _ _ _ _ O _ O _ _ _ _ _ Y
6. _ _ _ _ _ O _ Y _ _
7. _ E _ _ _ _ _ Y _ O _ _ T O U _ _ _ _ _ _ _ _ _ I
8. _ _ _ _ _ Z _ I _ _ _ _ _ A _ _ _ _ _ A,
- ŻE _ _ _ _ _ _ _ _ _ A _ _ _ _ _ S _ _ _ _ _ .

1. Ciemny lud to kupi
2. We mnie jest czyste dobro.
3. Wystarczy nie kraść
4. Uczciwi nie mają czego się bać
5. Nam się to po prostu należy
6. Bez żadnego trybu
7. Seks dla przyjemności to upadek wartości.
8. Żadne krzyki i płacze nas nie przekonają, że białe jest białe a czarne jest czarne

Prawdziwa twarz MORAWIECKIEGO

- liberal, który udaje obrońcę biednych



Premier zarobił miliony, a chciał, by Polacy harowali za miszkę ryżu

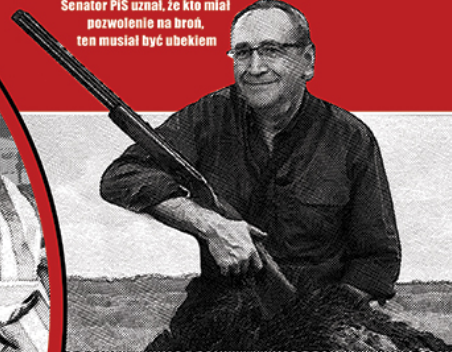
Jak Krzysztof Jurgiel zniszczył dumę Polski, czyli stadniny z Janowa i Michałowa

KOŃ BY SIĘ UŚMIAŁ ALE NIE MA Z CZEGO



Obraził myśliwych którzy ratowali nas przed dzikami z ASF

Senator PiS uznał, że kto miał pozwolenie na broń, ten musiał być ubeikiem



Anna Zalewska

udaje, że jej ta sprawa nie dotyczy, a oskarżeni to jej ludzie!
Działacze PiS finansowali kampanię wyborczą ze środków PCK

100 największych afer ostatnich lat



ISBN 978-83-66095-45-8



9 788366 095458

Artur Soboń

był pewny, że Mieszkanie Plus będzie sukcesem.

Miały być setki tysięcy mieszkań.

A WYSZŁO JAK ZAWSZE

